

„Pomiędzy Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem
rozciągają się Martwe Dni – zawieszony
pomiędzy światami czas duchów i grózy...”

Księga Martwych Dni

Marcus Sedgwick



Nominacja
do Guardian Children's
Fiction Award 2003



Księga Martwych Dni

Pomiędzy Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem rozciągają się Martwe Dni – zawieszony pomiędzy światami czas duchów i grozy. Zanim wybiję ostatnia chwila starego roku, mag Valerian musi zapłacić za pakt zawarty przed laty. Ani wiedza alchemiczna, ani sztuka czarnoksięska nie powstrzymają demonów, które upominają się o swą własność. Ocalić go może tylko Chłopiec – bez imienia i bez przeszłości. To on trzyma klucz do sekretu starego grobowca i tajemnicy potężnego zaklęcia...

Marcus Sedgwick

Marcus Sedgwick został w ostatnich latach okrzyknięty jednym z najciekawszych pisarzy dla młodych czytelników. Za swoją pierwszą powieść otrzymał nagrodę Branford Boase. Kolejne książki Sedgwicka były wychwalane przez krytykę i nominowane do prestiżowych nagród: Guardian Children's Fiction Award i Carnegie Medal.

Księga Martwych Dni, nominowana w 2003 roku do Guardian Children's Fiction Award, to przesycona złowróżbną atmosferą książka z gatunku *dark fantasy*, dramatyczna i emocjonująca opowieść o innym czasie, o władzy i magii, o mocach zła i potędze dobra.

Intrygująca, mroczna opowieść przemawiająca do wyobraźni wizją czarnej magii i dramatycznego wyścigu z czasem. Philip Reeve

Hipnotyzujący fantastyczny dramat rozgrywający się pośród cieni bezimiennego Miasta. „The Bookseller”

Cena det. zł 24,80



Księga Martwych Dni

Marcus Sedgwick



Tytuł oryginału
THE BOOK OF DEAD DAYS

Redaktorzy serii
MAŁGORZATA CEBO-FONIOK
EWA TURCZYŃSKA

Redakcja stylistyczna
AGATA NOCŃ

Redakcja techniczna
ANDRZEJ WITKOWSKI

Korekta
KATARZYNA KUCHARCZYK
MAGDALENA KWIATKOWSKA

Ilustracja na okładce

GEOFF TAYLOR

Opracowanie graficzne okładki
STUDIO GRAFICZNE WYDAWNICTWA AMBER

Skład WYDAWNICTWO AMBER

Wydawnictwo Amber zaprasza na stronę Internetu

<http://www.amber.sm.pl>

<http://www.wydawnictwoamber.pl>

THE BOOK OF DEAD DAYS
Copyright © Marciu Sedgwick 2003.
First published in Great Britain in 2003 by Orion Children's Books,
a division of the Orion Publishing Group, Ltd.,
Orion House, 5 Upper St. Martin's Lane, London WC2H 9EA
The right of Marcus Sedgwick to be identified as the author of this work has been asserted.
AU rights reserved.

For the Polish edition Copyright ©
2003 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 83-241- 1 665-6

27 grudnia

Dzień Przebiegłego Ofiarodawcy

Ciemność. Dwie godziny do północy. Chłopiec siedział skulony w skrzyni. Jak zwykle zdrętwiały mu nogi, podkurczone w ciasnym ciemnym wnętrzu. Z góry dobiegał głos Valeriana, stłumiony, jakby dochodził z daleka. Chłopiec próbował odgadnąć, ile jeszcze zostało do końca numeru. Byłoby niedobrze, gdyby przegapił sygnał. Bardzo niedobrze. Ale właściwie nie musiał się martwić. Zwykle starał się odliczać czas, ale zawsze się gubił. Zresztą nie potrzebował odliczania - sygnał był dostatecznie wyraźny.

Spróbował odrobinę zmienić pozycję, żeby odzyskać czucie w nogach. Na próżno. Skrzynię zaprojektowano specjalnie dla niego i z żadnej strony nie zostawiono więcej niż centymetr wolnego miejsca. Poruszył palcami u nóg. Z tym akurat nie było problemu, bo miał za duże buty, identyczne jak buty Valeriana.

Mocne uderzenie w wieko skrzyni - pierwszy sygnał, który oznaczał: „Przygotuj się, Chłopcze”.

Chłopiec usłyszał stłumioną wrzawę. Nie widział publiczności, ale wiedział, co znaczy ten hałas. Podniecenie, pomruk oczekiwania. Valerian właśnie wszedł do gabloty i jeszcze bardziej rozpałał emocje, opisując niezwykle widok, jaki za chwilę ukaże się oczom widzów.

Poszczególne słowa dochodziły nawet do Chłopca przez masywne dębowe deski.

- ...istny cud... niezwykły pokaz...

Oho! - pomyślał Chłopiec. To znaczy, że już prawie pora.

- ...Przepełowiony człowiek...

Łup! Łup!

Sygnal! Chłopiec powinien teraz wysunąć nogi przez klapę na zawiasach, ale nagle złapał go okropny skurcz. Palce stóp podwinęły się boleśnie i natychmiast go zemdliło. Jeśli zepsuje pokaz...

Desperacko spróbował kopnąć jeszcze raz. Skurcz ciągle oplatał mu nogi jak wąż, ścisnął, paraliżował.

Łup! Łup!

Valerian zaczynał się irytować. Chłopiec zadrżał na samą myśl o karze. Zdobył się na ostatni wysiłek i znowu kopnął. W końcu nogi go posłuchały. Wysunął je przez otwór w skrzyni.

Nareszcie wyprostowany, lekko pomachał nogami. Teraz właśnie powinien nimi poruszać, żeby pokazać, że są prawdziwe. Miały wyglądać jak nogi Valeriana, stąd jednakowe buty.

Kiedy Valerian wszedł do przedniej części skrzyni, nogi Chłopca nie pojawiły się tam, gdzie powinny. Przez ten skurcz wysunął się trochę za późno, ale publiczność chyba nie zwróciła na to uwagi. Ból wreszcie trochę zelżał. Do środka napływało więcej powietrza i Chłopiec słyszał wyraźne odgłosy z zewnątrz.

- Patrzcie! - krzyknął Valerian.

Chłopiec poczuł, że skrzynia zaczyna się przesuwac na lewą stronę sceny. Usłyszał, jak widzowie wzdychają z podziwu, kiedy zrozumieli, co się dzieje.

- Patrzcie! - ktoś krzyknął. - On się przepełowił!

Istotnie ze swoich miejsc publiczność widziała głowę i ramiona Valeriana wystające z jednej połowy skrzyni, podczas gdy druga połowa z nogami odsuwała się coraz dalej. Gablota rozdzieliła się na dwie skrzynie, jadące na metalowych szynach. Publiczność oszalała.

- To prawda! - krzyknęła jakaś kobieta w pierwszym rzędzie.

Oczywiście to nie była prawda. To była iluzja. Chłopiec wprawdzie wiedział, co myślała publiczność, kiedy połówki ciała Valeriana rozjeżdżały się w przeciwnych kierunkach na scenie, ale wiedział również, jak to zrobiono.

Przecież sam brał udział w tej sztuczce. Uśmiechnął się mimo woli, słysząc gromkie brawa. Potem przypomniał sobie, że marnie się dziś spisał. Co powie Valerian?

Otrzeźwiony, przygotował się do wciągnięcia nóg w odpowiedniej chwili. Czuł, jak automatyczny mechanizm urządzenia zaczyna obracać ciężkie mosiężne tryby w drugą stronę i dwie połówki skrzyni znowu się zbliżają. Stuknęły lekko o siebie. Sygnał dla niego. Pospiesznie wciągnął nogi do środka, kiedy Valerian wyszedł z drugiej połowy urządzenia. Idealnie wymierzył wszystko w czasie i teraz, znowu skulony w skrzyni, odetchnął najgłębiej, jak tylko mógł. Poczł, że maszynę znoszą ze sceny. Sprzątano rekwizyty przed finałem, podczas gdy Valerian zbierał oklaski.

Za kulisami Chłopiec wypchnął głową wieko skrzyni i zrobił trochę miejsca, żeby je podnieść rękami.

- No to wylaż - powiedział maszynista.

Chłopiec z wdzięcznością przyjął wyciągniętą rękę, bo nogi ciągle nie bardzo chciały go słuchać. Wygramolił się ze skrzyni i stał przez chwilę za kulisami, rozcierając obolałe łydki i patrząc, jak Valerian rozpoczyna wielki finał.

Znikająca kraina czarów.

W tej części przedstawienia Chłopiec nie był potrzebny, mógł przyglądać się z boku.

Ile razy Valerian już to robił? Chłopiec nie potrafiłby powiedzieć, jak długo pracuje u Valeriana, ale na pewno wiele lat. Nie umiał zliczyć, ile tysięcy razy chował się w skrzyniach, pociągał za dźwignie, wypuszczał błyskawice i otwierał zapadnie. Pomagał Valerianowi przy kolejnych sztuczках tydzień po tygodniu w Wielkim Teatrze, który był dla niego niemal domem. W ostatnich latach Chłopiec spędził chyba tyle samo czasu w teatrze, co w domu Valeriana, zwanym Żółtym Domem, na Starówce.

Postanowił obejrzeć wielki finał z widowni, ale nie razem z publicznością. Miał swoje specjalne miejsce i wolał się znajdować jak najdalej, kiedy Valerian zejdzie ze sceny.

Minął malowane płócienne dekoracje, płataninę sznurów i drutów ukrytych przed wzrokiem publiczności, przeszedł obok maszynistów. Zerknął przelotnie na dziewczynę-węża, która siedziała w kącie i zaplatała warkocze, czekając

na występ. Potem, popędzany przez aktorów, którzy właśnie zakończyli swój popisowy numer, skręcił za róg i całym rozpędem wpadł na kogoś.

To była Willow, dziewczyna, która służyła u madame Beauchance, otyłej śpiewaczki. Willow była smukła i wiotka. Madame dołączyła do zespołu gdzieś przed rokiem i od razu przydzielono jej Willow jako garderobianą. Chłopiec rozmawiał z dziewczyną właściwie tylko raz. Madame w garderobie wrzeszczała o gorącą wodę i Chłopiec oddał jej dzbanek wrzątku, który niósł dla Valeriana. Później oczywiście, nie wiedząc dlaczego, dostał za to burę od swojego pana.

- Nie widzisz, gdzie idziesz? - warknęła Willow. - Och, to ty - mruknęła, gdy go rozpoznała. Pobieгла dalej, zanim Chłopiec zdążył coś powiedzieć. Na pewno niosła coś dla madame. Miała trudną służbę, chociaż nie tak, jak Chłopiec u Valeriana. Nikt nie był taki ja Valerian.

- Przepraszam - powiedział Chłopiec, ale ona już znikła.

Chłopiec ruszył dalej. Miał inne zmartwienia. Wiedział, że dzieje się coś niedobrego. Coś z jego panem. Valerian zawsze był nieobliczalny, zgryźliwy i wybuchowy. Gwałtowny.

Taki już był. Ale ostatnio Chłopiec zauważył coś jeszcze, coś, czego nigdy przedtem nie widział. Nie bardzo potrafił to nazwać, gdyby jednak się zastanowił, uświadomiłby sobie, że Valerian był zatroskany. Zmartwiony albo nawet przestraszony. Chłopiec nigdy by nie pomyślał, że Valerian może się bać. To Chłopiec się bał i martwił - za najdrobniejsze uchybienie czekała go zwykle chłosta.

Skierował się w stronę schodów. Kilku muzyków zastąpiło mu drogę.

- Skończyłeś na dzisiaj, Chłopcze? - zapytał skrzypek, starszy mężczyzna z haczykowatym nosem.

Chłopiec nie odpowiedział, tylko uśmiechnął się z przymusem i przecisnął dalej.

- Biedna małpka - usłyszał głos innego muzyka, kiedy ruszył do sekretnej galerii na jaskółce nad najwyższym rzędem łóż. Wąziutkie schody prowadziły prawie pod sam dach i wychodziły na ciasny korytarzyk. Właściwie nie wolno mu było wchodzić do łoży. Nikomu nie było wolno. Ten sekret powinien znać jedynie Korp, dyrektor Wielkiego Teatru, chociaż w rzeczywistości znali go wszyscy.

Drzwi były zamknięte na klucz, ale Chłopiec wyjął z kieszeni kawałek drutu i w okamgnieniu odsunął trzy zapadki zamka. Nauczył się paru rzeczy od Valeriana. Właściwie oprócz tego, czego zdążył dowiedzieć się o życiu na ulicy, całej reszty nauczył go Valerian.

Wśliznął się do łoża. Stały tam stołeczek obity czerwonym aksamitem i mały stolik ze skrytką w środku, w której, jak wiedział Chłopiec, kryła się butelka ulubionego sznapsa dyrektora. Chłopiec ostrożnie uniósł roletę zasłaniającą małe okienko i wyjrzał. Oślepiły go jaskrawe światła rampy.

Wiedział co nieco o sztuczkach Valeriana. Wiele z nich pomagał przygotować, w wielu sam brał udział. Lecz wielki finał przewyższał wszystko. Iluzja była tak doskonała, że rozślawiła imię Valeriana w całym Mieście. Chyba tylko dzięki niej Wielki Teatr jeszcze nie splajtował.

Teatr stał w samym sercu Dzielnicy Sztuki, niegdyś najwspanialszej części Miasta, która obecnie popadła w dekadencję. Sam teatr także chylił się ku upadkowi, dając beznadziejne, zenujące przedstawienia. Tłum jadł, pił, gadał i niewiele zwracał uwagi na to, co się działo na scenie. Większość przyszła tylko z jednego powodu. Niektórzy przychodzili co wieczór, żeby zobaczyć znikającą krainę czarów. Inni, obcy przybysze, czasem z bardzo daleka, mieli ją zobaczyć po raz pierwszy.

Chłopiec nie znał mechanizmu tej sztuczki. Widział ją tysiąc razy, może więcej, i wciąż go zachwycała. Przypuszczał, że była zbyt cenna, zbyt niezwykła lub skomplikowana, żeby Valerian zdradził komuś jej sekret.

Występ zaczął się na dobre. Chłopiec wyciągnął szyję tak daleko, że wysunął przez okienko koniuszek nosa.

Valerian zdążył odegrać kilka scenek swojej słynnej sztuki. Traktowała ona o pijaku, który zabłąkał się między czarodziejski ludźki tańczący na wzgórzu. Wróżki i inne magiczne istoty umknęły z powrotem do krainy czarów, ale pijak podsłuchiwał ich sekretne słowa i poszedł za nimi. Postanowił bowiem porwać jedną z wróżek, sprowadzić do ludzkiego świata i wykorzystać do zdobycia fortuny.

Valerian zbliżał się do kulminacyjnego punktu przedstawienia. Podszedł do skrzyni wbudowanej w pień drzewa, po prawej stronie sceny. Po lewej stronie stał identyczny pień ze skrzynią ukrytą w środku. Valerian grał bez zapału. Nie musiał się wysilać, żeby rozgrzać publiczność. Widzowie i tak już wyłazili ze skóry.

Chłopiec obserwował uważnie. Coś było nie tak - Valerian wydawał się jeszcze bardziej znudzony niż zwykle. Jakby się spieszył i niecierpliwiał, jakby chciał mieć to wreszcie za sobą. Tuż przed występem otrzymał wiadomość. Musiała być zła, bo po przeczytaniu kartki wyraźnie spochmurniał.

Teraz na oświetlonej scenie po raz tysięczny recytował swój tekst.

- Co mówiły te małe ludziki? - zapytał, wpatrując się w sufit. - Aha! Mam! - Wszedł do skrzyni ukrytej w pniu drzewa. - Ho! W drogę do krainy czarów!

I zniknął. Najwyżej pół sekundy później z drugiego pnia wypłynęła smużka dymu i Valerian pojawił się ponownie, trzymając w rękach małą ludzką figurkę przystrojoną w liście i kwiaty. Istotka zamknięta w jego dłoniach wydawała się żywa. Szamotała się i przysięgłbyś, że krzyczała ciekawym głosikiem. Trudno byłoby orzec, jakiej jest płci, ale z pewnością należała do świata czarów.

Chwilę później dwukrotnie zajaśniała błyskawica, tajemnicza istota na ułamek sekundy urosła do rozmiarów dorosłego mężczyzny, po czym znikła razem z Valerianem, powróciwszy do krainy czarów.

Tłum wiwatował. Wybuchły grzmiące brawa, rozległy się okrzyki radości.

Chłopiec usiadł z powrotem na czerwonym aksamitnym stołku i poczuł, że coś wbija mu się w plecy. Obejrzał się i podskoczył jak oparzony. Za nim stał Valerian z groźną miną.

- Chłopcze - powiedział - zawiodłeś mnie.

2

Wymień pięć reguł Cavalla - warknął Valerian. Szli spieszenie przez ciemne uliczki Miasta - rozległego, starożytnego Miasta, które rozciągało się wokół nich okryte mrokiem, w całym swoim gnijącym

majestacie. Niegdyś wspaniałe, teraz stanowiło chaotyczną płataninę wytwornych alej i nędznych, zrujnowanych uliczek. Opasłe domy przysiadły po obu stronach, niczym dzikie bestie czyhające w ciemnościach.

Miasto. Niegdyś stolica potężnego imperium, które teraz istniało jedynie w chorym umyśle Fryderyka, osiemdziesięcioletniego cesarza, zamkniętego gdzieś za wysokimi murami Pałacu.

Wspomnienia cesarza i przebrzmiała sława imperium niewiele obchodziły Chłopca. Jego świat zaczynał się i kończył na Valerianie. Obaj weszli właśnie w Koci Zaulek, paskudną, zakazaną uliczkę, kiedy dzwony zaczęły wybijać północ. Nastął dwudziesty siódmy grudnia.

Valerian szedł krok przed Chłopcem, ale trzymał go za poty płaszcz a i szarpiąc brutalnie na wszystkie strony, włókł za sobą. Sprawdzał go na ciele i umyśle.

- No? - warknął.

- Tajemnica - wydyszał Chłopiec, przyspieszając kroku. - Tajemnica i przygotowanie, i... przepraszam.

Potknął się na kocim łbie, Valerian dosłownie przeciągnął go w powietrzu za róg, w boczną uliczkę. Skrót do domu.

- Co? - ryknął. - Tajemnica, przygotowanie i co?

- Wodzenie?

- Zwodzenie, ty baranie!

- Zwodzenie - powtórzył Chłopiec i zanim Valerian zdążył znowu wrzasnąć, dokończył: - ...praktyka i biegłość. Naturalna biegłość - dodał pospiesznie.

Valerian odchrząknął z satysfakcją, ale nie zwolnił kroku. Chłopiec ni to biegł, ni to kuśtykał, z trudem przebijając nogami.

Po przedstawieniu Valerian przez długi czas groźnie spoglądał na Chłopca, dając mu wyraźnie do zrozumienia, że wpadł w poważne kłopoty. Następnie wyciągnął go z łoży, przez wąski korytarzyk, w dół po schodach i prosto w noc. Nawet nie pofatygował się, by odebrać pieniądze za występ. Chłopiec nie miał czasu pomyśleć, ale coś mu nie pasowało. Przejście zza kulis do łoży zajęło mu co najmniej trzy minuty. Valerian dokonał tego w parę sekund. Przynajmniej tak się wydawało, ale Chłopiec wiedział z doświadczenia, że jeśli chodzi o Valeriana, nigdy nie należy wierzyć własnym oczom. Nigdy nie można mieć żadnej pewności.

Wędrowali przez Miasto i Valerian wciąż trzymał Chłopca za płaszcz. Z daleka musieli wyglądać jak jakieś osobliwe zwierzę. Znaleźli się na ulicy Ściekowej. Chociaż w tej części Miasta nie było tabliczek z nazwami ulic (zbyt nędzna dzielnica na takie luksusy), Chłopiec łatwo się orientował. Minęli gospodę Pod Zielonym Ptakiem. Miał nadzieję, że Valerian wstąpi tam na kieliszek czy dwa. Albo więcej. Wtedy zapomni o całej sprawie. Lecz Valerian wciąż maszerował, nie zaszczyciwszy gospody nawet jednym spojrzeniem. Chłopiec przełknął ślinę i niezdarnie truchtał dalej za swoim panem.

- No dobrze - powiedział Valerian. - A jeśli nie przestrzegasz pięciu reguł, możesz tylko liczyć na łut szczęścia, do czego nas zmusiłeś dzisiaj wieczorem. Każdy głupi by zobaczył...

- Przepraszam - wymamrotał Chłopiec.

Valerian obejrzał się na niego i przystanął tak nagle, że Chłopiec wpadł mu na plecy.

- No - mruknął, zniżywszy głos - to nieważne. Naprawdę.

Puścił wreszcie płaszcz Chłopca i szybkim krokiem skierował się w stronę domu.

Chłopiec dostawał już cięgi za znacznie mniejsze przewinienia. Coraz bardziej zbity z tropu, przez chwilę tylko stał i patrzył. Wysoka postać Valeriana właśnie zniknęła za rogiem. Długie siwiejące włosy powiewały lekko. Chociaż Chłopiec znał tę okolicę, ogarnął go strach.

Ostatnio w Mieście działy się nieprzyjemne rzeczy. Nawet w lepszych dzielnicach czuło się tchnienie grozy. Popelniono serię morderstw, więc w gospodach i tawernach, na dworach i salonach nie mówiono o niczym innym. Zbrodnie wyróżniały się nadzwyczaj krwawym charakterem i to dosłownie, ofiary zmarły bowiem z wykrwawienia. Krążyły pogłoski, że sprawcą jest upiorna zjawa - Fantom. Obrabowano również wiele grobów na kilku z licznych cmentarzy otaczających ogromne Miasto. Ludzie powiadali, że jedno wiąże się z drugim.

- Hej! - krzyknął Chłopiec. - Zaczekaj na mnie!

Panowała głęboka noc, a oni znajdowali się w najgorszej części Miasta. Prawie w domu.

Korp, dyrektor teatru, zaczął zamykać. Pół godziny temu wreszcie zdołał wyrzucić ostatniego pijanego głupca i zatrzaskał za nim drzwi, zanim jeszcze tamten runął w błoto. Nie musiał się silić na uprzejmość dla widzów. I tak co wieczór waliły tłumy, dopóki Valerian pokazywał ten numer z wrózkami.

Dyrektor Korp siedział za biurkiem w swoim gabinecie, wpatrując się w przestrzeń. Czuł się stary, tłusty i zmęczony, całkiem słusznie. Zatonął w marzeniach, wspominając lata, kiedy podróżował po kontynencie z największym przedstawieniem wszech czasów. Miał olbrzyma, pięciu karłów, dwugłowe ciele, kobietę-węża, lewitującego mężczyznę, parę dzikich bliźniaków i wiele, wiele innych atrakcji. To wszystko dawno jednak przeminęło i chociaż tęsknił za barwną, burzliwą młodością, teraz kierował teatrem i zamierzał nim kierować najlepiej, jak potrafił, aż do samej śmierci.

Na ścianach dookoła wisiały portrety gwiazd, które wystąpiły w jego teatrze. Kilka obrazów przedstawiało Wielkiego Cavalla, legendarnego magika. Był też Grolsh, słynny specjalista od ucieczek, którego kariera zakończyła się ostatecznie pewnego wieczoru, kiedy nie zdołał uciec, i Czarny Bertrand, poskramiacz niedźwiedzi, którego spotkał równie nagły koniec na scenie. Wszystkie te twarze należały do przeszłości, do innych, lepszych czasów.

Korp przez chwilę drapał się po tysej głowie, potem, nie patrząc, wsunął rękę do szuflady ozdobnego biurka. Pomacał w środku, ciągle na ślepo. Natrafił na pistolet i odepchnął go. Nie tego potrzebował.

- Oj! - mruknął, marszcząc brwi. - Gdzie się podziała?

Potem przypomniał sobie butelkę, którą zostawił w swojej tajnej loży. Ze znużeniem dźwignął się na nogi i poczłapał przez zaciemnione korytarze za sceną. Mijając kolejną garderobę, zauważył światło.

- Jest tam kto?! - zawołał.

- Och, dyrektorze - odpowiedział głos ze środka. - To ja, madame.

Dyrektor wsadził głowę w drzwi.
- Ach! - zawołał. - Madame! Madame Beauchance! Jakże pięknie pani dzisiaj śpiewała, jeśli wolno mi powiedzieć!
Madame Beauchance zignorowała ten komplement.
- To się musi zmienić - oświadczyła.
- Madame?
Dopiero teraz Korp zauważył dziewczynę, pomocnicę madame, która klęczała u stóp śpiewaczki i masowała jej kostki. Dziewczyna podniosła na niego wzrok.
- Madame chciała powiedzieć... ? - zaczął jeszcze raz.
- Chciałam powiedzieć - rzuciła madame, nawet nie patrząc na Korpa - że nie zamierzam nadal występować w podrzędnej roli. Wobec tego prestidigitatora.
Korp zamrugał.
Czuł się zmęczony. Chciał już leżeć w łóżku, z Lily, wierną suką, zwinętą wokół stóp.
- Ten magik - szepnęła dziewczyna, niemal niedosłyszalnie.
- Właśnie! - potwierdziła madame Beauchance.
- Ach! - zrozumiał Korp. - Och!
Valerian.

4

Pólnoc.
Chłopiec dogonił Valeriana u wylotu następnej alejki - brudnego zaułka zwanego Laską Ślepca, tak wąskiego, że dachy budynków po obu stronach miejscami się stykały. Tu i tam pomiędzy nimi prześwitywało nocne niebo, ale Chłopca nie interesowały gwiazdy. Jeszcze nie.

Przywarł kurczowo do Valeriana, kiedy szybko przemierzali cuchnący zaułek. Chwilę później wyszli na dość szeroką ulicę. Środkiem płynął otwarty ściek.

Valerian pokonał go jednym krokiem. Chłopiec, mały jak na swój wiek, musiał skoczyć. Wylądował po drugiej stronie, ale poślizgnął się i zjechał na dno rynsztoka.

Oszołomiony, usiadł w strumieniu, a potem poderwał się na nogi, jakby dopiero teraz spostrzegł, gdzie trafił.

- Och! - zawołał. - Fúj!

Obejrzał swoje ubranie. Od pasa w dół był utyłany w jakimś paskudztwie.

- Fúj! Tfu!

Valerian nawet się nie obejrzał.

Chłopiec pobiegł za nim. Skręcili za róg i przecięli ostatnią ulicę.

Valerian przystanął na chwilę przed bramą z kutego żelaza, osadzoną w wysokim kamiennym murze. Wyjął z kieszeni pęk wielkich kluczy, i wybrawszy właściwy, z chrzęstem przekręcił go w zamku. Pchnął bramę. Dopiero po chwili obejrzał się, żeby sprawdzić, czy Chłopiec zdążył wejść. Potem zamknął bramę. Głośno szczęknął klucz.

Wrócili do domu.

Chłopiec stał, ociekając wodą, i próbował nie wciągać w nozdrza własnego zapachu, kiedy tak czekał na małym, ogrodzonym murem dziedzińcu pomiędzy żelazną bramą a frontowymi drzwiami. Valerian otworzył je innym kluczem z wielkiego pęku i wszedł do środka.

Dom jakby zamarł, kiedy zamknęły się za nimi drzwi. Valerian nic nie mówił, tylko stał w absolutnym bezruchu, jakby czekał. Potem odwrócił się i spojrzął na Chłopca.

- Co to za paskudny smród? - warknął.

Chłopiec wzruszył ramionami.

- Przewróciłem się...

- Na litość boską, idź się umyj! Potem przyjdź do wieży.

- Tak, panie - mruknął Chłopiec.

- Powłócząc nogami, skręcił w jeden z korytarzy, które prowadziły z holu.

- I pospiesz się. Masz robotę!

Chłopiec przebiegł przez dwa korytarze i wspiał się na trzy kondygnacje rozchwierutanych drewnianych schodów, prowadzących do jego pokoju. Określenie „pokój” zatraćło zresztą o przesadę. W miejscu, gdzie Chłopiec spał, najbardziej brakowało właśnie miejsca. Leżał tam materac, nawet całkiem wygodny, Chłopiec żałował, że nie mógł spędzać na nim więcej czasu. Mały otwór („okno” to zbyt szumne słowo) wpuszczał odrobinę światła. Otwór znajdował się w pochylonym dachu, tworzącym jedną ścianę pomieszczenia. Łóżko przylegało do jedynej pionowej ściany, wejście kryło się w rogu, a w kącie naprzeciwko widniały maleńkie drzwiczki, zamykające jeszcze mniejszy kredens. W kredensie spoczywał cały dobytek Chłopca. Łyżka, którą znalazł na ulicy i szczególnie lubił. Para starych butów, za małych i zbyt zniszczonych, żeby w nich chodzić. Jedwabny szal ukradziony bogatej damie, ten z kolei za ładny, żeby go nosić. Kilka małych pustych puszek włożonych jedna w drugą i parę ołówków, które dał mu Valerian, żeby się ćwiczył w pisaniu.

To był jego pokój.

W dniu, kiedy Valerian tam go umieścił, Chłopiec zszedł prosto na dół i w końcu znalazł Valeriana popijającego porto w bibliotece.

- Ale ja nie mogę stanąć tam prosto - poskarżył się.
- Więc uklęknij, Chłopcze - odparł Valerian i wytargał go za ucho.

Chłopiec przyzwyczał się do ciasnych miejsc. Spędzał w nich całe życie: na scenie w skrzyniach przypominających trumny i poza sceną, kiedy zakradał się do rzekomo sekretnej loży Korpa. No i w domu, gdzie gnieździł się w maleńkiej klitce, do której prowadził niski, wąski korytarzyk tuż pod dachem.

Małe, ciasne, ciemne miejsca wypełniały życie Chłopca. Właśnie w takim miejscu się chował tamtego dnia, kiedy Valerian znalazł go w starym kościele. Chłopiec wcisnął chude ciało w prześwit za kapitelem kolumny w głównej

nawie. To było dawno, dawno temu - nie pamiętał kiedy. Odkąd pracował dla Valeriana, rzadko widywał światło dnia i ledwie sobie zdawał sprawę z upływu dni czy miesięcy. W istocie Valerian znalazł Chłopca szóstego marca, ale Chłopiec o tym nie wiedział. Tylko Valerian znał daty i czas, miejsca i nazwy, i tym podobne rzeczy. Chłopiec pracował dla niego i na tym koniec. Kiedy nie pracował, wspinał się do swojego pokoju i padał wyczerpany na wąski materac.

Ale jak to było, kiedy go Valerian znalazł? Chłopiec przypomniał sobie, jak kulił się w ciasnej, ciemnej szczelinie. Pewnie dlatego Valerian go wybrał, przyjął do siebie - ponieważ Chłopiec potrafił wcisnąć się w najmniejszą szparę. Zapominał już wiele szczegółów; to było takie odległe i nieważne w porównaniu z codziennymi sprawami. Na co dzień starał się unikać kłopotów, starał się nie rozgniewać pana, nie popełnić żadnych błędów i...

Chociaż pamiętał jedno. Z małej szpary w miejscu, gdzie łuk odchodził od kolumny, zobaczył Valeriana po raz pierwszy. Zatopionego w rozmowie z kimś, kogo teraz Chłopiec znał jako Korpa, dyrektora teatru.

Nawet wtedy Valerian wyglądał blado i mizernie. Marszczył długi, cienki nos w kurzu przesycającym wnętrze starego kościoła. Skórę miał szarą, podobnie jak włosy. Przypominał trupa. Tylko jego niebieskie oczy, pełne życia, rozglądały się bystro po mrocznej nawie.

Potem Chłopiec usłyszał jego posepny, grzmiący głos, głos tak głęboki, że wprawił w wibrację kamienną kolumnę.

- Lekarz - oznajmił Valerian - stwierdził, że jestem albo poważnie chory, albo nieżywy.

Właśnie próbując zrozumieć te dziwne słowa, Chłopiec bezwiednie rozluźnił chwyt i runął na posadzkę kościoła. Leżał, patrząc na Valeriana i nerwowo drapiąc się w nos, a jego krótkie czarne włosy sterczały pod interesującymi kątami, jak zawsze.

- Oho! - powiedział Valerian, przyglądając się chudzielcowi o czarnych, sterczących na wszystkie strony włosach. - Co my tu mamy?

I tak się spotkali.

Chłopiec ściągnął cuchnące ubranie i stanął nagi w ciemnej klitce. Zastanawiał się, co robić. Kupka łachów śmierdziała niemiłosiemie. W pokoju nie było wody.

Jedyny pokój z łazienką znajdował się na parterze. Chłopiec nie miał innego ubrania, tylko długi zimowy płaszcz. Ale jeśli teraz go włoży, pobrudzi go tym paskudztwem, które wciąż oblepiało mu nogi.

Westchnął, podniósł swoje brudne rzeczy oraz płaszcz i z powrotem przeczołgał się korytarzem do drabiny.

Zrzucił ubrania na podest drugiego piętra i zszedł, dygocząc z zimna.

6

Chłopiec siedział i drapał się w nos. Denerwował się, bo Valerian chodził tam i z powrotem po pokoju w wieży, przemierzał drewnianą podłogę po dziesięć razy, potem przystawał i przez chwilę wpatrywał się w przestrzeń, zanim znów podjął uporczywą wędrówkę od wąskiego, wysokiego okna w nachylonej ścianie do szczytu spiralnych schodów, stanowiących jedyną drogę do wieży. Duże lub ciężkie przedmioty trzeba było wciągać na wieżę przez klapę w podłodze. Pomimo zdenerwowania Chłopiec zauważył, że Valerian jak zwykle, bez najmniejszej obawy przechodzi po klapie. Chłopiec wiedział, że zasuwa trzyma mocno, ale sam wołał tam jednak nie wchodzić. Kłapa otwierała się nad podestem na pierwszym piętrze: wołał nie ryzykować upadku z tej wysokości.

Pokój wypełniały rozmaite rupiecie, akcesoria, sprzęt i mechanizmy wszelkiego rodzaju. Astrolabia, klepsydry, sfery armilarne, sekstansy, retorty, alembiki, naczynia do wytopu, moździerz z tłuczkami, kryształy, zamki z kluczami i bez kluczy, noże, sztylety, różdżki mosiężne i drewniane, kociołki, butle i słoje oraz mnóstwo innych drobiazgów wałało się wszędzie dookoła.

Chłopiec wiedział, do czego niektóre służyły - używali ich jako rekwizytów na scenie. Często zastanawiał się nad tymi, których zastosowania nie rozumiał.

Może stanowiły kolejne, jeszcze niewypróbowane elementy magicznego wyposażenia? Trochę w to wątpił.

Był tam wielki skórzany fotel, w którym Valerian często przesiadywał, rozmyślając posepnie nie wiadomo o czym. I mnóstwo książek. Sterty książek wszelkich kształtów i rozmiarów piętrzyły się pod ścianami.

Dokładnie pośrodku wieży stała maszyna. Chłopiec nigdy nie mógł zapamiętać, jak się ona nazywa. Siedząc i czekając, aż Valerian coś powie, próbował sobie przypomnieć. Zaprojektował ją i zbudował niejaki Kepler, jedyny człowiek, którego Valerian prawie mógł nazwać przyjacielem.

Chłopiec nigdy nie widział, jak działa maszyna, lecz odkąd ją zainstalowano, Valerian spędzał w wieży jeszcze więcej czasu. Miała jakąś dziwną łacińską nazwę i teraz Chłopiec przypomniał sobie, że tłumaczyła się jako „ciemny pokój”.

- Czy ty w ogóle nie znasz łaciny? - warknął wtedy na niego Valerian.

Chłopiec pokręcił głową.

- Idiota! Gdybyś chociaż trochę liznął łaciny, wiedziałbyś, co to znaczy! Ciemny. Pokój. *Camera* - pokój. *Obscura* - ciemny. Rozumiesz?

Chłopiec uśmiechnął się nerwowo, udając, że zrozumiał.

- Och, po co ja próbuję czegoś cię nauczyć? - burknął Valerian i za padł się głębiej w skórzany fotel.

Camera obscura - otóż to!

Zadowolony z siebie, Chłopiec zastanawiał się, do czego może służyć dziwne urządzenie.

Valerian dalej spacerował. Chłopiec siedział w samym płaszczu i coraz mocniej drapał się po nosie.

Potem Valerian przystanął.

- Chłopcze - powiedział - mam dla ciebie robotę.

Tego się obawiałem, pomyślał Chłopiec.

- Tak - odpowiedział na głos. - Cokolwiek mogę...

- Możesz siedzieć cicho! - warknął Valerian. - Słuchaj, a potem wykonaj. Zgoda?

Och, doskonale, pomyślał Chłopiec.

Nic nie odpowiedział, tylko kiwnął głową.

- Mam... - zaczął Valerian, nie patrząc na Chłopca, tylko na nocny pejzaż Miasta za oknem. - Mamy... mam kłopot. Rzeczy nie są takie jak przedtem. Rzeczy - ciągnął - są teraz... inne. Inne. Zmieniły się.

Przerwał i spojrzął na Chłopca.

- Jasne? - zapytał.

Chłopiec gwałtownie kiwnął głową.

- Sprawy nie poszły tak, jak się spodziewałem, i teraz... teraz czas nie pracuje na naszą korzyść. Bynajmniej. Musimy działać.

Chłopiec dalej kiwał głową.

- Sprawy nie ułożyły się... zgodnie z planem. Więc mam dla ciebie robotę. Dzisiejszej nocy.

- Dzisiejszej nocy? - powtórzył Chłopiec i szybko zamknął usta.

- Tak. Dzisiejszej nocy. Pod Trąbką. Wiesz, gdzie?

Chłopiec skrzywił się. Gospoda Pod Trąbką, oddalona o jakieś cztery kilometry, stała nad rzeką, w pobliżu doków. Był już tam kiedyś i odchodząc, modlił się, żeby to była pierwsza i ostatnia wizyta.

- Musisz tam pójść i przynieść mi coś. Pewną informację. Dzisiaj w nocy. Dobrze. Więc idź. Szukaj brzydkiego mężczyzny. Nazywa się Green.

Chłopiec przytaknął.

- Powiedz, że cię przysłałem i żeby ci przekazał informację. Potem wracaj tutaj. Nic więcej nie rób. Z nikim nie rozmawiaj.

Chłopiec zawahał się. Nie wiedział, czy zaryzykować pytanie. A co mi tam, pomyślał.

- Valerianie - powiedział ostrożnie - co to za informacja? Skąd będę wiedział, czy on mi powie to, co trzeba?

- Znikąd! - warknął Valerian. - No idź! I nie pomyśl się!

Chłopiec skinął głową.

- I pośpiesz się - dodał Valerian zimno.

Chłopiec czekał, nieme pytania przemykały w jego głowie.

- Więc na co jeszcze czekasz?! - wrzasnął Valerian.

Chłopiec zerwał się na nogi i zbiegł po schodach.

Zanim Korp wyprowadził z teatru tłustą śpiewaczkę razem z dziewczyną, zrobiło się późno. W żaden sposób nie mógł zrezygnować z Valeriana ani zmienić kolejności występów, ale zdołał nakłonić madame do zerwania stałego angażu w zagranicznym mieście, odległym o wiele kilometrów. Westchnął, wdrapując się na swoje poddasze. Wyczyn nie lada, biorąc pod uwagę okazałe rozmiary Korpa i ciasnotę przejścia.

Dotarł do drzwi i natychmiast zauważył, że nie były zamknięte na klucz. Co więcej, ktoś zostawił je uchylone, kołysały się lekko na zawiasach.

Przeklął wszystkich członków trupy, po czym wpadł do łoża. Stopą odrzucił wieko stolika, wbił zęby w korek butelki, wyrwał go i pociągnął długi, głęboki haust.

Odetchnął.

Nagle usłyszał hałas. Odgłos kroków dochodzący ze sceny. Dyrektor wychylił się do przodu i wyjrzał przez okienko.

Nic. Zresztą było za ciemno, żeby cokolwiek zobaczyć. Wstrzymał oddech.

Ciągle nic. Już zaczął myśleć, że to tylko złudzenie, kiedy ponownie usłyszał hałas.

Spojrzał w dół, na mroczną widownię.

Oczy zrobiły mu się wielkie jak spodki.

Chłopiec zmarnował pół godziny na rozważania, czy zaryzykować i wyznać Valerianowi, że nie ma żadnych suchych ubrań, w końcu jednak zdecydował, że lepiej nie zawracać mu głowy, i wyruszył do gospody ubrany w zimowy płaszcz, owinąwszy nogi workami, w butach wyczyszczonych jak najdokładniej.

Wyszedł i zatrzasnął za sobą drzwi. Valerian nie dawał mu kluczy do domu, ale zaprojektował specjalny zamek, który działał automatycznie; drzwi same się zamykały. Tego zamka Chłopiec nie mógł pokonać wytrychem. Wiedział, bo próbował. Valerian pokazał mu kiedyś, jak otwierać proste zamki, a niedługo potem Chłopiec znalazł się na dworze pod zamkniętymi drzwiami.

Wymknął się pewnego razu po przedstawieniu, żeby poszukać czegoś na ząb. W domu nigdy nie jadali obficie - Valerian niezbyt interesował się jedzeniem - więc Chłopiec wiecznie chodził głodny. Czasami udawało mu się naciągnąć któregoś z muzyków w teatrze. Tamtego wieczoru zjadł obiad dzięki uprzejmości starego skrzypka. Dopiero po powrocie Chłopiec odkrył, że nie może się dostać z powrotem do domu.

Aha! - powiedział sobie. Zobaczymy, czy dobrze się nauczyłem.

Poszukał w kieszeniach swojego drutu. Dawniej służył za sztuczne ścięgno w metalowej ręce, którą Valerian rozmontował, kiedy mu się znudziła. Chłopiec stwierdził, że drut doskonale się nadaje na wytrych.

Nachylił się nad zamkiem. Zajrzał do dziurki, wyężając wzrok, bo na ulicy panowały niemal kompletne ciemności. Wsunął wytrych, ale gdy tylko dotknął drutem metalowych wnętrzności zamka, odrzuciło go na drugą stronę ulicy. Wyładował bezwładnie w rynsztoku. Dłoń i całe ramię paliły jak po ugryzieniu smoka.

Chłopiec roztarł ramię drugą ręką, przeklinając swojego pecha. Pewnie Valerian zabezpieczył drzwi jakąś magiczną sztuczką, dla obrony przed złodziejami.

Dostał za swoje, kiedy Valerian znalazł go następnego dnia skulonego na progu, przemarzniętego po okropnej nocy spędzonej na dworze.

Wynalazki stanowiły kolejny z licznych obszarów zainteresowań Valeriana. Przed laty, bardziej zaangażowany w działalność Wielkiego Teatru, wynalazł system oświetlenia rampy - wskutek czego Korp zadłużył się u niego jeszcze bardziej. Światła działały na zasadzie jakiejś chemicznej reakcji, którą tylko Valerian rozumiał i potrafił kontrolować. Wydzielały lekki, lecz gryzący zapach, jednak również dzięki nim teatr Korpa zasłynął w Mieście.

Chłopiec wiele się nauczył od Valeriana, który pomimo swoich wad był wybitnym człowiekiem. Lecz chociaż spędzili ze sobą tyle lat, Chłopiec bardzo mało o nim wiedział. Skrzętnie gromadził wszelkie strzępki informacji i przez lata zdołał uzbierać ich dość, żeby poskładać z grubsza historię życia Valeriana.

Wiedział, że Valerian uczęszczał do Akademii, gdzie uczył się razem z Keplerem, tym samym, który niedawno wymyślił *camera obscura*. Studiowali filozofię naturalną. Valerian wyróżniał się nieprzeciętnymi zdolnościami i miał przed sobą wielką przyszłość. Stało się jednak coś, co zaprzepaściło jego dalszą karierę. Chłopiec słyszał kiedyś, jak Valerian wspominał niejasno, że popadł w niełaskę z powodu swoich badań. Musiał przeprowadzać jakieś szczególne eksperymenty, być może zgłębiał tajne lub zapomniane dziedziny nauki. Chłopiec nigdy się nie dowiedział, na czym konkretnie to polegało, ale z pewnością chodziło o mroczną, zakazaną wiedzę.

Mniej więcej w tym czasie Valerian i Kepler zerwali kontakty, a przynajmniej przestali się spotykać. Dopiero przed paroma laty odnowili znajomość i Valerian zaczął odwiedzać Keplera w jego wysokim, wąskim domu po drugiej stronie Miasta. Czasami zabierał ze sobą również Chłopca.

Chłopiec wiedział też, że Valerian był niegdyś bardzo bogaty i właśnie wtedy kupił ten dom - potężne, rozbudowane gmazysko, teraz było już tylko cieniem dawnej świetności. Nabył je od rodziny zmarłego sędziego. Wtedy była to jeszcze wspaniała rezydencja, godna jednego z najwyższych dostojników Miasta. Lecz Valerian stracił swój majątek, a dom popadł w zaniechanie i powoli obracał się w ruinę, podobnie jak cała dzielnica.

Chłopiec nie wiedział, w jaki sposób Valerian stracił pieniądze, ale na pewno nie był już bogaty i zachowywał się tak, jakby na niczym mu nie zależało. Całe godziny spędzał zamknięty w wieży, majstrując przy swoim diabelskim urządzeniu i czytając książki ze stosów zawałających cały pokój.

Chłopiec kochał ten dom, pomimo wielu pustych pokojów i haniebnie brudnych korytarzy, chociażby dlatego, że tylko to miejsce mógł nazwać swoim domem. Jeśli schodził Valerianowi z drogi, jeśli niczym go nie rozgniewał, znajdował w tych murach odrobinę spokoju. Kuchenne drzwi prowadziły do małego ogródka, gdzie w upalne dni Chłopiec szukał ochłody wśród paproci i dzikiego wina pnącego się po wysokich, wilgotnych kamiennych murach. Pośrodku stała niewielka studnia i Chłopiec czasami wyobrażał sobie, że słyszy stamtąd szum wody, jakby rzekę płynącą pod ziemią, chociaż dobrze wiedział, że prawdziwa rzeka, leniwa i cuchnąca, toczy się wiele kilometrów od domu, a studnia jest tylko suchą dziurą bez dna.

Chłopiec przyłożył dłoń do drzwi i pchnął mocno. Musiał się spieszyć. Na dworze panował przenikliwy ziąb, a on miał na sobie liche płaszcz i nogawice z worków. Żeby tylko zdążyć z powrotem, zanim Valerian się położy. Powinno się udać. Valerian na szczęście prowadził nieregularny tryb życia - pracował po nocach, czasami drzemał w dzień i wstawał wczesnym wieczorem na swój występ w teatrze. Chłopiec zerknął na wieżę górującą nad ulicą, ale nie zobaczył żadnego światła. Dziwne. To niepodobne do Valeriana, żeby spać w nocy! Może wyszedł? Dom był taki wielki, że ze swojego pokoju Chłopiec mógł nie usłyszeć zamykanych drzwi.

Zresztą nie warto się nad tym teraz zastanawiać. Zamek zatrzasnął się i Chłopiec znalazł się sam w Mieście.

Dochodziła pierwsza w nocy, w dzielnicy panował właśnie największy ruch. Tak naprawdę ożywiała się tylko późną nocą, kiedy uliczni handlarze jeszcze oferowali towary, a tawerny już trzęsły się od śmiechu. Ludzie pracowali do późna i wielu z nich tylko teraz mogło udawać, że ich życie to coś więcej niż wieczna harówka.

Chłopiec z zasady starał się nie rzucać w oczy i na ogół dzięki temu udawało mu się uniknąć kłopotów. Nie był ani wysoki, ani niski, ale bardzo chudy, a kiedy opróżniał umysł i odwracał wzrok, stawał się prawie niewidzialny, wędrując nocą przez Miasto.

Miasto usiłowało wyglądać jak najlepiej. Podczas świąt i festiwali ukrywało niektóre swoje niemiłe cechy. Zgodnie ze zwyczajem domy, sklepy i inne budynki udekorowano świerkowymi gałęziami. Tradycja nakazywała również zapalać wtedy świece, więc we wszystkich oknach migotały śliczne światełka, które płonęły długo w noc.

Noc. Tylko tę jedną porę widywał, zwłaszcza w zimie. Valerian pracował do późnych godzin i dopiero kiedy świt skradał się nad Miastem, pozwalał Chłopcowi powlec się do łóżka i spać prawie cały dzień. Po południu, wrzaskiem, od którego trząsał się cały dom, budził go na kolejne wieczorne przedstawienie.

- Jestem wampirem - mruknął ponuro Chłopiec, przemykając przez zaułek Zdechłej Kaczki. - I tyle. On jest przeklętym wampirem i ze mnie zrobił to samo!

Przysłapał się na tym, że mówi głośno do siebie, więc rozejrzał się szybko, ale nikt nic nie zauważył.

Znów powróciły niespokojne myśli o Valerianie. Najwyraźniej działo się z nim coś niedobrego. Zaczęło się niedawno, przed kilkoma tygodniami czy najwyżej miesiącami. Valerian zrobił się bardziej drażliwy. Zawsze łatwo zmieniał nastroje, przeskakując z jednej skrajności w drugą, ale teraz wyraźnie popadł w skrajność ostateczną. Pochłonięty własnymi sprawami, stał się mniej gwałtowny i rzadziej karmił Chłopca, choć był po dawnemu opryskliwy. Spędzał całe godziny w wieży i wychodził tylko po to, żeby wydać jakieś polecenie. Ostatnio Chłopiec dostarczył mu wiele listów i odebrał wiele odpowiedzi.

Listy, pomyślał Chłopiec. Listy?

To mu przypomniało pewien wieczór, pewien szczególny wieczór, kiedy zaniósł list do Keplera, na drugi koniec Miasta, do Dzielnicy Uniwersyteckiej.

Chłopiec nie bardzo go lubił. Sam nie wiedział, dlaczego. Może dlatego, że Valerian słuchał uważnie każdego słowa Keplera, ale zupełnie się nie interesował tym, co Chłopiec miałby do powiedzenia. Kepler miał w sobie coś, co mroziło Chłopca.

Kepler był chudy jak Valerian, ale niższy i nie tak silny. Zawsze mamrotał do siebie i przemykał się chyłkiem jak szczur, według opinii Chłopca. Lecz chociaż Chłopiec naprawdę nie lubił Keplera, musiał też przyznać, że Kepler go fascynował, ponieważ z zamiłowaniem gromadził osobliwe urządzenia i dziwaczne mechanizmy, całkiem jak Valerian.

Kepler nie tylko nosił tytuł doktora medycyny, ale prowadził też specjalistyczne badania niebios. Dzięki swoim tajemniczym przyrządom z metalu i szkła mógł spoglądać w gwiazdy, poznać ich ruchy, wyznaczać trajektorie planet i księżyców. Obserwacje zapisywał w grubych księgach oprawnych w skórę. Podobno potrafił wiele powiedzieć o ludziach i ich losie, jeśli tylko znał ich datę urodzenia. Chłopiec coraz częściej towarzyszył Valerianowi podczas wizyt w domu Keplera. Siadywał cichutko w kącie pokoju i jak urzeczony przysłuchiwał się dysputom, z których jednak niewiele rozumiał.

Marzył o tym, żeby ktoś odsłonił przed nim przyszłość, wyczytał z gwiazd jego losy. Jednak nawet Kepler nie mógłby tego dokonać, ponieważ Chłopiec nie miał pojęcia, kiedy przyszedł na świat.

Dawniej martwił się tym. Kiedyś, w przypiływie odwagi, zwierzył się Valerianowi.

- Jak myślisz, kim byli moi rodzice? - zapytał. - Tak bardzo chciałbym się dowiedzieć!

Ale Valerian tylko go ofuknął.

- Nigdy się nie dowiesz. Zresztą to bez znaczenia. I wcale nie musisz wiedzieć - dodał. - Jesteś Chłopcem, moim Chłopcem, i to wystarczy.

Chłopiec zawsze starał się wypełniać rozkazy Valeriana - tak było bezpiecznie. Więc próbował nie myśleć więcej o swoim pochodzeniu, ale nie zawsze mu się udawało.

Tamtego szczególnego wieczoru Chłopiec dostarczył Keplerowi list, a ten kazał mu zaczekać. Napisał odpowiedź dla Valeriana. Chłopiec patrzył, jak doktor zamazyście skrobie po papierze wytwornym piórem ze srebrną stalówką, przerywając co chwila, żeby się zastanowić. Potem posypał kartkę piaskiem, złożył ją i zaczął roztopiać wosk do pieczętowania. Kapiąc na list krwawoczerwonym woskiem i odciskając swój pierścień, odezwał się do Chłopca.

- Zanieś mu to - powiedział, nie podnosząc wzroku - i niech Bóg go strzeże.

Było coś dziwnego w zachowaniu doktora, Chłopiec wyraźnie to wyczuł. A kiedy dostarczył odpowiedź, Valerian wpadł w naprawdę zły nastrój.; Wtedy wszystko się zaczęło.

Okolo drugiej nad ranem Chłopiec zatrzymał się u wylotu Alejki Gołębiego Pasztetu. Od gospody Pod Trąbką dzieliło go kilkanaście metrów, ale już stąd słyszał, że w środku rozpętało się piekło.

Niezły pasztet! - pomyślał Chłopiec.

9

Korp wpatrywał się w scenę. Właśnie ujrzał ducha. To na pewno Czarny Książę. Stara teatralna legenda głosiła, że kiedy duch Czarnego Księcia przechadza się po scenie, zwiastuje katastrofę. Przed wielu laty teatr zależał od finansowego wsparcia Księcia. Jeśli nie spodobała mu się wystawiana sztuka, wpadał na scenę jak burza podczas prób, a czasem nawet w środku przedstawienia. Pewnego razu, kiedy chciał przerwać próbę, został zadżgany przez odtwórcę głównej roli, który był też bratem autora wystawianej sztuki. Złowróźbny duch Czarnego Księcia nawiedzał czasem teatr, chociaż ostatnio nie widziano go już od wielu lat.

Więc nad teatrem zawisło nieszczęście... Korp widział już w życiu wiele dziwnych rzeczy, a przy tym był przesądny, toteż od razu uwierzył, że ma przed sobą Czarnego Księcia.

A jednak Korp się mylił. Po kilku chwilach zjawa znikła, pozostawiając po sobie świetlisty obłoczek kurzu, który zawisł w powietrzu.

Sekundę później Korp usłyszał szelest za plecami.

Coś chlasnęło go z tyłu. Korp upadł do przodu, z głową i jednym ramieniem przewieszonym przez krawędź łoża. Umierał.

Chłopiec stał na ulicy i próbował zdecydować, co dalej. Wiedział, że w gruncie rzeczy nie ma wyboru. Skoro Valerian kazał mu iść Pod Trąbkę i spotkać się z wielkim, brzydkim mężczyzną, z Greenem, będzie musiał tak zrobić. Chociaż wcale nie chciał.

W środku niewątpliwie wybuchła bójka - Chłopiec słyszał to ze swojego miejsca na końcu alejki Gołębiego Pasztetu. Czekał w nadziei, że awantura ucichnie, ale po chwili zmienił zdanie. Teraz wszyscy w tawernie są zbyt zajęci, żeby go zauważyć; będzie mógł się wśliznąć i rozejrzeć niepostrzeżenie. Poza tym zamarał na kość w swoim zaimprovizowanym stroju. W środku przynajmniej ogrzeje się na chwilę i ucieknie od smrodu rzeki, oddalonej ledwie o dwie przecznice.

Ruszył przed siebie ciasną, wąską alejką ukrytą w mroku pomiędzy budynkami. Trzask rozbijanych stołów i brzęk tłuczonych butelek rozbrzmiały z jeszcze większą siłą. To była naprawdę podła speluna. Nawet nie miała szyldu - jej reputacja mówiła sama za siebie. W kilku oknach połyskiwały zatłuszczone szyby, ale bynajmniej nie we wszystkich. Chłopiec zajrzał do knajpy przez okno. Zabawa nabierała zapału, mówiąc oględnie. Wciągnął ostatni haust cuchnących rzecznych wyziewów i wszedł do środka.

Hałas niemal go ogłuszył, a jeśli na zewnątrz cuchnęło, tutaj śmierdziało jeszcze gorzej. Chaos jaskrawych kolorów, ostrych dźwięków i zapachów przyprawiał o zawrót głowy. Zwłaszcza w porównaniu z ciemnymi ulicami zimowego Miasta efekt był przytłaczający i przez chwilę Chłopiec myślał, że zaraz zwymiotuje. Rozejrzał się za jakąś kryjówką.

Stwierdził ze zdziwieniem, że w bójce uczestniczyło tylko dwóch mężczyzn. Największy zgiełk czynili widzowie, którzy wrzeszczeli, wiwatowali i tłukli się między sobą.

Chłopiec przycisnął się do małego stolika, na wpół ukrytego pod schodami, które prowadziły na piętro.

- Piwo, skarbie?

Podniósł wzrok i zobaczył barmankę. Patrzyła na niego wyczekująco. W jednej ręce trzymała tacę z pustymi kufkami, a w drugiej kilka niskich, pękatych szklanek.

- No?

Holender! - pomyślał Chłopiec. Pieniądze. O tym nie pomyślałem. Valerian, też ale to go nie powstrzyma przed biciem, jeśli coś źle załatwię.

- Nie mam pieniędzy - wyznał, spoglądając smutno na barmankę.

Zmarszczyła brwi, potem złagodniała i uśmiech przemknął po jej twarzy.

- Wiesz, że nic nie masz pod spodem? - zapytała drwiąco. Chłopiec spuścił wzrok i pospiesznie okrył nogi płaszczem. Myślał przez chwilę.

- Na dworze jest zimno - zaryzykował, przybierając jak najbardziej żalofosny ton. - No wiesz, na ulicach...

- Dobrze - rzuciła - ale tylko na pół godziny, pamiętaj, potem wynocha. Masz, weź to.

Postawiła przed nim jedną ze szklanek, a potem zlała do niej resztki z pięciu kufli, i znowu się uśmiechnęła.

- Lepiej niech ci to wystarczy na długo, piękniś - poradziła i odeszła, żeby dalej zbierać szklanki, których jeszcze nie potłuczono.

Chłopiec tylko spojrział na szklankę, napełnioną zlewkami piwa do wysokości trzech palców, i odsunął je od siebie.

Bójka właśnie się kończyła. Zwycięzca, olbrzymi mężczyzna, siedział na piersiach powalonego przeciwnika, tłustego brutala, i wymierzał mu ostatnie ciosy w twarz. Ale teraz bił już tylko na pokaz. Wreszcie ktoś podszedł, żeby go ściągnąć z tłuszciocha.

- No, wystarczy. Dobra robota.

Olbrzym wstał i po raz pierwszy Chłopiec zobaczył jego twarz. Był brzydki jak zdechły kot.

Chyba nie spodobało mu się, że go ściągają z grubasa, bo trzasnął pięścią nieproszonego pomocnika i rozciągnął go na stole.

Wszyscy wiwatowali oprócz Chłopca, który poczuł, że żołądek podjeżdża mu do gardła. Pociągnął za rękaw bezzębnego staruszka z łaską, siedzącego obok.

- Kto to jest? - zapytał, chociaż znał już odpowiedź.

- Hę? - zamamlał staruszek. - Nie znasz Jacoba Greena, Zielonego Olbrzyma?

Zaśmiał się, splunął na podłogę i machnął laską, żeby zamówić następne piwo. Tymczasem Green paradował dumnie po sali, przyjmując pełne kufle od wszystkich bez wyjątku i opróżniając je jednym haustem. Chłopiec popatrzył na groźnego, szpetnego olbrzymia.

Green.

Człowiek, z którym miał się spotkać.

Chłopiec wbił wzrok w swoje piwo.

Green przysiadł się do hałaśliwych kompanów w kącie sali. W wielkich dłoniach trzymał jakiś drobiazg, którym bawił się jak dziecko zabawką. Była to mała drewniana skrzyneczka. Green obracał ją w dwóch palcach. Potem przekreślił małą rączkę wystającą z boku. Przez gwar tawerny przebiła się brzękliwa melodyjka. Pozytywka.

Wokół Chłopca dwie posługaczki zbierały skorupy rozbitych butelek i szczątki krzesel. Czuł się trochę ogłupiały, nie rozumiał, o co w tym wszystkim chodzi. Często miał takie wrażenie, kiedy pracował dla Valeriana, ale teraz robiło się coraz dziwniej. Incydent w łoży Korpa, gdzie Valerian zmaterializował się zaledwie w parę sekund po zejściu ze sceny, wytrącił Chłopca z równowagi. Ale nawet nie zdążył się porządnie zdziwić, kiedy wyrzucono go na ulicę, na spotkanie z Greenem. Zastanawiał się, czego Valerian może potrzebować od takiego typu. No, znał tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć.

Popatrzył na swoje piwo. Podniósł szklanę, pospiesznie przełknął mętny brązowy płyn, otarł usta i odetchnął głęboko. Potem wstał i ruszył przez salę.

11

Chłopiec nie był jedynym sługą, który spędzał tę noc na dworze. W
Dzielnicy Sztuki Willow zanurzyła się z jękiem w lodowaty mrok,

owijając szalem głowę i ramiona. Brązowe włosy, długie i gęste, chroniły ją przed zimnem. Pracowała dla madame Beauchance już od roku, odkąd madame przyszła do Wielkiego Teatru. O rok za długo.

Ta kobieta była gruba i odpychająca, próżna i arogancka, leniwa i złośliwa, i w dodatku skapa. Ratowało ją jedno: jej głos. Głos anioła. Ten głos potrafił szemrać tak miękko i łagodnie, że koł płaczące dziecko, potrafił wznieść się tak czysto i ostro, że roztrzaskiwał lustro, potrafił ślizgać się po melodii tak słodko, że bandyta siadał i płakał. Dzięki temu głosowi madame zrobiła karierę i zbiła małą fortunę, którą trzymała dla siebie.

Willow wstąpiła do niej na służbę przez przypadek. Poprzednio pracowała jako służka w Bractwie Mistrzów Gildii. Nie wiedziała, czym właściwie zajmowało się bractwo, ale wiedziała, co ma robić, i to jej wystarczało. Zresztą wszystko było lepsze od życia w sierocińcu. Na oficjalnych uroczystościach i przy specjalnych okazjach Mistrzowie nosili wymyślne stroje, między innymi niezwykle długie płaszcze. Jej zadanie polegało na noszeniu za panem jego płaszcza, żeby nie włókł się po brudnej ziemi. Zatrudniano do tej pracy jeszcze jedenaścioro dzieci, chłopców i dziewcząt, po jednym dla każdego członka bractwa. Tylko na tym polegały ich obowiązki, ponieważ jednak codziennie odbywały się co najmniej dwie oficjalne uroczystości, mieli sporo roboty z dźwiganiem płaszczy i strzepywaniem błota. Pewnego dnia, po czterech latach służby, Willow posłano z jakimś poleceniem do Wielkiego Teatru.

Natychmiast zakochała się w tym cudownym miejscu. Była zafascynowana. Wybłągała u Korpa pracę i już tamtego popołudnia zaczęła szorować podłogi. Nigdy nie wróciła do bractwa, a oni jej nie szukali - mieli do dyspozycji mnóstwo innych dzieciaków z ulicy. Jakiś rok później przyjechała madame i natychmiast zażądała osobistej garderobianej. Jej ostatni pomocnik, mężczyzna ze słabym sercem, padł trupem w drodze do Miasta, dźwigając jej walizy z kostiumami.

Willow nie lubiła swojej pani, zwłaszcza dzisiaj wieczorem. Madame najpierw zrugła ją ostro za pozostawienie w garderobie szczotki do włosów, a potem kazała jej wrócić do teatru i nakłonić Korpa, żeby ją wpuścił. Tak jakby żadna z setki innych szczotek w wynajętym mieszkaniu się nie nadawała. Chcąc nie chcąc, Willow wyruszyła z powrotem do teatru.

Boczne drzwi teatru były otwarte, kołysały się na lodowatym wietrze. Dziewczyna weszła ostrożnie na widownię, wyczuwając już coś złego. Stała w połowie drogi, żeby spojrzeć na scenę, i poczuła, że deszcz kapie jej na głowę.

Zauważyła, że światła rampy słabo świecą. To również było dziwne - takie oświetlenie sporo kosztowało. Potem uświadomiła sobie, że przecież tutaj pod dachem nie może padać.

Podniosła rękę do włosów i poczuła wilgoć. Ciepłą. W nikłym świetle padającym ze sceny spoglądała na swoją dłoń i wrzasnęła.

Rękę miała umazaną we krwi.

Spojrzała w górę i zobaczyła głowę i ramiona martwego Korpa, wystające z okienka łoży.

Znowu wrzasnęła.

12

Green jeszcze raz lekko ścisnął gardło Chłopca. Obejmował je dłonią wielką jak łopata, chociaż niezbyt mocno.

Proszę, nie, pomyślał Chłopiec.

Chociaż znajdowali się w głównej sali gospody Pod Trąbką, na oczach wszystkich klientów, Chłopiec nie wątpił, że Green gotów mu złamać kark jak suchy patyk, jeśli tylko zechce. Straż miejska nigdy nie zaglądała do takich lokali. Tutaj rządono się własnymi prawami, a jedno morderstwo mniej czy więcej nie robiło pewnie różnicy.

Chłopiec stał na palcach, Green siedział z wyciągniętym ramieniem, trzymając go za gardło. Nawet na siedząco był wyższy od Chłopca. I dobrze, bo dzięki temu Chłopiec nie musiał patrzeć mu w twarz. Green miał szeroki nos o nieforemnych nozdrzach, które widocznie zostały rozplątane w którymś okresie jego barwnej przeszłości. Białka oczu miał żółtawe i wodniste, usta wyglądały jak dwie glisty leżące jedna na drugiej. Spod rzednących włosów przeświecała

krostowata skóra czaszki. Chłopiec starał się nie patrzeć. Zresztą miał inne zmartwienia, zwłaszcza od chwili, kiedy zdobył się na odwagę, żeby podejść do olbrzyma.

- Czego chcesz?! - wrzasnął Green.

- Ee... - zająknął się Chłopiec.

- Co? - ryknął olbrzym.

- Przysłano mnie, żebym...

- Aha! - zagrział Green. - On cię przysłał, tak? Za bardzo się boi, żeby samemu przyjść! Więc może dam ci to, co chciałem dać jemu!

Chłopiec kiwnął głową i już po chwili niemal zawisł w powietrzu, ledwie dotykając ziemi czubkami palców.

- On cię przysłał?

- U-hurr - wychrypiął Chłopiec.

- Co? - Green pozwolił Chłopcu opaść na stopy.

- Uhum.

Green nachmurzył się, potem znowu chwycił mocniej Chłopca, podniósł go i potrząsnął nim energicznie. Wreszcie postawił go z powrotem na podłodze.

- Rozumiem - burknął. - No więc powiedz mu, żeby sam przyszedł. Robię interesy tylko z nim.

- Muszę się dowiedzieć... - zaczął Chłopiec, ale Green złapał go za gardło i ścisnął.

- Powiedz mu, żeby przyszedł sam. Teraz zjeżdżaj!

Puścił Chłopca, który upadł na kolana i zaniósł się kaszlem. Podniósł wzrok, kiedy usłyszał blaszane dźwięki pozytywki. Olbrzym obracał korbką i śmiał się do siebie, oczarowany prostą melodyjką.

Chłopiec tylko przez moment widział pozytywkę, zanim zniknęła w potężnym łapsku Greena, ale wyglądała dziwnie i pięknie.

Usiadł w kurzu na podłodze, rozcierając obolałą szyję.

Green dźwignął się na nogi i poczłapał przez salę, rozpychając ludzi.

- Muszę się odlać! - oznajmił i chwiejnie wyszedł przez tylne drzwi.

Chłopiec pozbierał się z podłogi i zaczął się zastanawiać, co dalej.

Odczekał parę chwil, potem jeszcze chwilę, a potem ruszył za Greenem do drzwi, które prowadziły do latryny na zewnątrz.

To stało się tak szybko, że Chłopiec nic nie zobaczył.

Przekraczał próg, kiedy błysnęło światło i rozległ się dźwięk jakby korka wyskakującego z butelki. Potem wszystko spowłóła purpurowa mgła.

Usłyszał głucho stuknięcie.

Dym zrzędl i kiedy oczy Chłopca przyzwyczały się do ciemności panującej na podwórzu, dostrzegł zwalisty kształt leżący u jego stóp. Przyklękął i wyciągnął rękę.

To był Green, martwy. Chłopiec od razu, to poznał, bo szyja olbrzyma zginała się pod dziwnym kątem.

Chciał już uciekać, kiedy coś błysnęło w mroku. Odezwały się w nim dawne złodziejskie nawyki. Rozwarł do końca ogromną pięść. W dłoni trupa spoczywała nieuszkodzona pozytywka.

Chłopiec złapał ją i wsadził do kieszeni. Potem usłyszał, że za jego plecami otwierają się drzwi gospody.

Zerwał się na nogi i skoczył w wąską alejkę, prowadzącą do ulicy.

- Hej! - krzyknął za nim jakiś głos. - Hej!

- Fantom! - wrzasnął po chwili ten sam głos. - Fantom dopadł Greena!

Chłopiec nie zatrzymał się. Biegł dalej, ale kiedy tak biegł, przyszło mu do głowy, że to prawda. Fantom widocznie zaatakował Greena akurat wtedy, kiedy Chłopiec za nim poszedł. Miał szczęście. Trochę wcześniej i też mógł zginąć. Przyspieszył, próbując zapomnieć, że nie zdobył informacji, której pragnął Valerian, a teraz źródło informacji nie żyje.

Uciekał jak szalony, aż w końcu skręcił za róg i wpadł na kogoś z rozpędu. Razem przewrócili się w błoto. Chłopiec spojrział na tego drugiego, który leżał rozciągnięty na nim.

To była Willow.

- Chłopiec! - krzyknęła. - Och, Chłopcze!

Willow była w opłakanym stanie. Bełkotała nieskładnie, próbowała znaleźć odpowiednie słowa.

- Widziałam... w jego łoży...

Ale nie dokończyła, bo nagle wyrosła przed nimi jakaś postać.

- Spieszycie się?

Podnieśli wzrok. Po czarnej pelerynie i ekstrawaganckim kapeluszu z czerwonym piórem rozpoznali strażnika.

Chłopiec i Willow doznali zupełnie odmiennych uczuć na jego widok. Chłopiec przez wszystkie swoje bezdomne lata, jeszcze przed spotkaniem Valeriana, starał się unikać straży miejskiej. Do dziś uważał, że strażnicy

poświęcają za dużo czasu na ściganie głodnych chłopców kradnących jedzenie, a za mało na pilnowanie, żeby ludzie się nie zabijali w karczemnych awanturach.

Natomiast dziewczyna, która przed chwilą widziała zwłoki swojego pracodawcy zwisające z łoża, doznała wielkiej ulgi.

- Tak się cieszę, że pana spotkaliśmy! - wykrzyknęła.

- Tak, na pewno - przyświadczył ironicznie strażnik. - Więc może łaskawie mi wyjaśnicie, czyja to krew?

Chłopiec spojrział na Willow i zobaczył krew na jej włosach i ramionach.

Potem zauważył, że i jemu strażnik dziwnie się przygląda. Zerknął na swoje nogi i odkrył, że też jest umazany krwią. Zrobiło się nieprzyjemnie.

- Chyba lepiej będzie, jak pójdziecie ze mną, racja?

Zanim zdążyli odpowiedzieć, chwycił oboje za karki i powlókł ulicą. W pewnej odległości za nimi podążała wysoka postać, przemykając wśród nocnych cieni.

13

Wstał świt dwudziestego siódmego grudnia i blade światło zakradło się do ciasnej celi, gdzie leżeli Chłopiec i Willow. Pomieszczenie miało grube kamienne ściany i jedno jedyne okienko, w którym zamiast szyby tkwiła gęsta krata z żelaznych prętów. Krata wpuszczała do środka zimno i nie pozwalała uciec więźniom, a właśnie o te dwie rzeczy chodziło strażnikom. Zziębnięci więźniowie sprawiali mniej kłopotów. Często umierali z zimna, zanim ktoś zdecydował o ich dalszym losie, co oszczędzało wiele zachodu.

Chłopiec i Willow leżeli na resztkach brudnej słomy, możliwie najdalej od potężnego mężczyzny, który chrapał pod ścianą naprzeciwko. Był ogromny. Raz czy dwa przetoczył masywne cielsko, a oni zadrżeli na widok jego

brutalnej, pokiereszowanej twarzy. Na szczęście jeszcze nie zaczął się budzić.

- Czemu się nie pośpieszą? - zapytała znowu Willow.

- Musimy się wydostać - powtórzył Chłopiec.

Okno znajdowało się wysoko, ale stojąc na ramionach Chłopca, Willow mogła wyjrzeć na Miasto w dole.

- Chyba dzisiaj spadnie śnieg - oznajmiła.

Nie wiadomo dlaczego przypomniało jej to czasy, kiedy była małym dzieckiem i nie musiała pracować, żeby przeżyć. W taki dzień jak dzisiaj spadł śliczny, gęsty śnieg i Willow bawiła się w nim bez troski.

Wschodzące słońce opromieniało różowym blaskiem całe Miasto, które rozciągało się jak okiem sięgnąć, zagarniało ziemię aż po horyzont. Stąd, z lochu wyniosłej cytadeli straży miejskiej, Willow widziała ulice i budynki leżące przed nią jak dywan. Nawet tak wcześnie rano Miasto szumiało i rozbrzmiewało głosami handlarzy, wstających przed świtem. W łagodnym różowym świetle, z tej wysokości wydawało się prawie piękne. Prawie. W ostatnich latach zbyt często przemykała się i skradała przez jego wąskie uliczki i ciemne zaułki, żeby dostrzec w nim piękno. Oparta na ramionach Chłopca, sięgała wzrokiem bardzo daleko. Czyżby widziała nawet skraj Miasta, czy tylko jej się wydawało? W każdym razie ten widok obudził w niej dawne wspomnienie. Wycieczka na wieś z rodzicami, kiedy była małą dziewczynką. Nie, powiedziała sobie, to niemożliwe. Poniosła ją wyobraźnia. Kiedy rodzice zmarli, była za mała, żeby ich pamiętać.

- Wyjeżdżałeś kiedyś z Miasta? - zapytała nagle Chłopca.

- Zejdiesz wreszcie?

- Och, tak, przepraszam.

Zsunęła się po jego plecach i zeskoczyła zwinnie na ziemię.

- Dzięki - powiedział. - No więc?

- Chyba spadnie śnieg.

- Okno, Willow! - przypomniał.

- Och, tędy nie wyjdziemy. Kraty są grube, a poza tym jest tak stromo, że połamałbyś sobie kości. Nic z tego.

Chłopiec osunął się z powrotem na słomę.

- Więc już nie żyję.

- To Korp nie żyje. - Willow zadrżała.

Oboje zamilkli.

- Nawet nie wiem, jak się nazywasz - odezwała się po chwili.
- Przecież wiesz - odparł.
- Jak? Chłopiec? To tylko on cię tak woła.

Chłopiec nie odpowiedział.

- To twoje prawdziwe imię? Chłopiec? To nie jest imię. Musisz się jakoś nazywać.
- To moje jedyne imię. Zanim Valerian mnie znalazł, nikt mnie w ogóle nie nazywał.

Zagapiła się na Chłopca.

- Więc skąd się wziąłeś?
- Nie wiem.
- Nie wiesz?
- Nie - mruknął Chłopiec, który zaczynał załować, że nie aresztowali go w pojedynkę.
- Jak możesz nie wiedzieć? Gdzie mieszkałeś, zanim Valerian cię znalazł?
- W Mieście.
- Gdzie?
- Wszędzie.
- Zawsze?
- Tak - potwierdził Chłopiec. - To takie dziwne? Mieszkałaś kiedyś gdzie indziej?
- Nie - przyznała. - Ale znam swoje imię i wiem, że urodziłam się w Mieście, chociaż nie pamiętam, gdzie.
- Tak jak ja - rzucił gniewnie Chłopiec. - Nazywam się Chłopiec i też urodziłem się w Mieście! W porządku?

Willow milczała przez chwilę, przegarniając stopą kupkę słomy.

- Przepraszam - powiedziała w końcu.

Chłopiec coś mruknął.

- Czemu tak długo zwlekają? - zapytała znowu.
- Musimy się wydostać - powtórzył Chłopiec.

Szczęknęły klucze w wielkim żelaznym zamku i drzwi obróciły się na ciężkich zawiasach.

Strażnik, który ich zamknął kilka godzin wcześniej, pochylił głowę, wchodząc do celi. Zrobił zdziwioną minę, kiedy ich zobaczył. Spojrzał na uśpioną postać pod ścianą.

- Macie szczęście, że tyle wypił - mruknął.
- Sprawdziłeś to? - zapytała Willow.
- Owszem - przytaknął strażnik.

Nosił różowe pióro na kapeluszu. To znaczyło, że był ważniejszy od czerwonopiórego strażnika, który ich aresztował. Dziewczyna uznała to za dobry znak. Zaraz wszystko się wyjaśni i ten ważniejszy strażnik będzie mógł ich wypuścić. Opowiedziała już, jak znalazła Korpa i dlaczego jest cała we krwi. Poprosiła, żeby sami poszli się przekonać, czy mówiła prawdę. A Chłopiec pozwolił im myśleć, że krew na jego ubraniu pochodzi z tego samego źródła.

- Więc widzicie, że powiedzieliśmy wam prawdę? - zapytała.
- O tak. Bez dwóch zdań. Oboje jesteście zatrzymani jako podejrzani o zamordowanie Korpa, dyrektora Wielkiego Teatru.

14

Valerian czał się w cieniu naprzeciwko cytadeli. To był stary budynek, jeden z najstarszych w tym starym mieście, absurdalna mieszanina stylów i materiałów. Czarne drewniane okna wystawały zbyt daleko z nierównych kamiennych murów, drzwi wysoko w ścianach otwierały się na pustą przestrzeń, ozdobne iglice i wieżyczki wznosiły się spiralnie nad głową Valeriana.

Nie cierpiał tego miejsca, w ogóle nie znosił wizyt w tej części Miasta, znacznie bogatszej i przyjemniejszej niż okolice, do których przywyknął - do których musiał przywyknąć. Cytadela graniczyła z rzeką, która śmierdziała jeszcze gorzej niż zwykle. Jakby tego było mało, wstawał świt. Valerian nie pamiętał, kiedy ostatni raz wychodził z domu za dnia. Dzielne światło wytrącało go z równowagi.

Wszystko poszło źle, a czas uciekał. Czy naprawdę się spodziewał, że Chłopiec zdobędzie tę informację? Teraz jeszcze musi wyciągnąć Chłopca

z cytadeli, żeby to sprawdzić. Valerian zaklął pod nosem. Nie miał czasu na takie bzdury.

Prześladowało go widmo przeszłości. Złe moce, uspione przez lata, wkrótce powstaną.

No, nadejdą jeszcze gorsze czasy, tego Valerian był pewien.

15

Nie jest dobrze - zauważyła Willow.

- Wiem - przyznał Chłopiec. - Co proponujesz?

Pijak na słomie znowu się poruszył. Chyba zaraz się obudzi, i to ze sporym kacem.

- Czemu im powiedziałas o Korpie? - zapytał Chłopiec.

- Przecież musiałam, no nie? Cała byłam we krwi. Ciągle jestem brudna.

Próbowała nie patrzeć na swoje ubranie. Wystarczyło już, że zaschnięta krew pozlepiała jej włosy w strąki. Willow marzyła o kąpieli. Chłopiec nie wyglądał lepiej. Z niewiadomego powodu nosił pod płaszczem tylko nogawice z worków i czerwonobrazowe plamy pokrywały jego nogi od kolan w dół. Czerwonopióry i Różowopióry myśleli, że to krew Korpa, ale ona wiedziała, że jest inaczej.

- Więc powiedz mi jeszcze raz, skąd masz krew na nogach? I gdzie twoje ubranie? I co robiłeś na ulicy o trzeciej w nocy?

Chłopiec westchnął. Dlaczego ona zawsze musi zadawać tyle pytań? Zmienił temat.

- Nie wierzę, że Korp nie żyje - oświadczył.

- Nie - zgodziła się.

- Ale to znaczy...

- Co?

- No, teatr. Co się stanie? Nie ma kto go przejąć, czyli że go zamkną, czyli że stracę robotę.

- Ja też - zaznaczyła Willow - ale nie wiemy na pewno, czy go zamkną. Ktoś obejmie kierownictwo.

- Kto?

- No... - Willow wyteńczyła umysł - ... Valerian.

Chłopiec chciał się roześmiać, ale potem się zastanowił. Przecież tylko dzięki Valerianowi Wielki Teatr ciągle prosperował. Dlaczego Valerian nie miałby go przejąć? Właściwie... Okropna myśl przemknęła mu przez głowę, ale ją odepchnął. Najpierw musiał pomyśleć o innych sprawach. Poza tym Valerian doszczętnie się już znudził teatrem i występował tylko po to, żeby zarobić trochę grosza.

- Co z nami zrobisz? - zapytał, chociaż sam znał odpowiedź.

- Pewnie nas powieszają.

- Albo może utopią.

Oboje znowu zamilkli, rozważając swój żalony koniec. Słońce weszło wyżej nad Miastem i zaświeciło prosto do celi. Chłopiec i Willow czym prędzej usiedli w plamie słonecznego blasku i wreszcie przestali marznąć.

Chłopiec wepchnął ręce głębiej do kieszeni i jego lewa dłoń napotkała jakiś twardy przedmiot. Pozytywka. Wydobył ją i obejrzał. Dotychczas tylko raz widział coś takiego, w domu Keplera. Kepler kolekcjonował wszelkiego rodzaju mechaniczne zabawki i kiedyś pokazał je Chłopcu.

Chłopiec rozmarzył się, wspominając wydarzenia sprzed roku. Kepler zamieszkał na tydzień w ich domu, żeby zainstalować *camera obscura*. Chociaż przywiózł ze sobą wszystkie części, ustawienie urządzenia w pokoju na wieży zabrało mu całe siedem dni. Przez ten czas ciągle rozlegało się stukanie, piłowanie i przeklinanie, ale na koniec Kepler z rozmachem otworzył drzwi.

- Patrzcie! - wykrzyknął dramatycznie.

Valerian, którego na czas trwania prac wyrzucono z własnego pokoju, wszedł do środka. Chłopiec patrzył, jak za dwoma mężczyznami zamykają się drzwi. Wiele miesięcy później wciąż nie miał pojęcia, jak właściwie działa to urządzenie. Wtedy jednak, kiedy drzwi się zamykały, usłyszał jeszcze, jak Valerian wykrzykuje, że Kepler jest największym doktorem filozofii naturalnej na całym świecie.

- Co to jest? - zapytała Willow.

Chłopiec pokazał jej pozytywkę i kilka razy zakręcił korbką, zanim schował pudełko z powrotem do kieszeni.

- To... znalazłem to - oświadczył. - Pod Trąbką. Posłuchaj muzyki, bo może to ostatni raz!

- Oj, Chłopcze, nie poddawaj się. Mogło być gorzej.

- Jak mogłoby być gorzej? - chciał wiedzieć Chłopiec, ale Willow nie odpowiedziała, ponieważ pijak leżący na słomie nagle przekreślił się i zwymiotował na podłogę.

- Proszę, zabierzcie mnie stąd - jęknął Chłopiec nie wiadomo do kogo.

Jego modlitwa została chyba wysłuchana, bo drzwi szczęknięły i rozwarły się na oścież. Ku swemu zdumieniu Chłopiec zobaczył na progu Valeriana.

Zanim zdążył się odezwać, Valerian przyłożył palec do ust. Chłopiec zrozumiał i nie powiedział ani słówka, kiedy Valerian wszedł do celi, prowadząc za sobą Różowopiórego.

- Dwie minuty - szczeknął strażnik do Valeriana, a potem zobaczył kałużę na podłodze. - Albo mniej, jeśli wolisz.

Skrzywił się i zamknął za sobą drzwi na klucz.

Chłopiec ucieszył się na widok Valeriana.

- Skąd...

- Skąd wiedziałem, że tu jesteś? Chyba nie myślisz, że powierzyłbym ci takie ważne zadanie? Czy mogłem na tobie polegać?

Chłopiec wolałby, żeby Valerian nie mówił takich rzeczy, zwłaszcza przy Willow, ale czuł taką ulgę, że nawet się nie przejmował.

- No? - rzucił Valerian.

Chłopiec milczał przez chwilę.

- On nie chciał mi nic powiedzieć. On...

Valerian doskoczył do Chłopca, który cofnął się i skulił, ale oczekiwany cios nie spadł.

- On nie żyje - dodał Chłopiec. - Ktoś go zamordował. Jakiś potwór. Fantom.

- Co?! - ryknął Valerian. Potem chyba sobie przypomniał, gdzie jest, i starał się uspokoić.

- On nie żyje. Został...

- Nie to! Czy coś ci powiedział? Co mówił, zanim...

- Nie chciał mi nic powiedzieć - wyjąkał Chłopiec. - On...
- Cicho bądź! - wrzasnął Valerian, po czym sam ściszył głos. - Więc nic ci nie powiedział przed śmiercią? Kepler wysłał go z informacją dla mnie... nazwą grobu. Jesteś pewien?

Chłopiec kiwnął głową. Valerian szeroko rozrzucił ramiona. Najchętniej zwymyślałby Chłopca, ale nie znajdował dostatecznie mocnych słów.

- Ale mam coś. - Chłopiec pogrzebał w kieszeni i wyciągnął pozytywkę.
- Tylko tyle? - zapytał Valerian. - Żartujesz sobie? Potrzebuję nazwy, nie zabawek!

Zamilkł.

- Valerianie? - odezwała się Willow.

Valerian jakby dopiero teraz zauważył jej obecność w celi.

- Hm? - mruknął, wciąż wpatrując się w pozytywkę.

- On mówił, że dwie minuty. Wyciągniesz nas stąd?

Chłopiec aż się skulił. To nie był najlepszy sposób, żeby coś uzyskać od jego pana. Właściwie nie było żadnego sposobu, żeby coś uzyskać od Valeriana, ale Willow nic o tym nie wiedziała.

Valerian oderwał oczy od maleńkiego mechanizmu i wepchnął go do kieszeni.

- Równie dobrze mogę was tutaj zostawić - burknął. - Do niczego mi się nie przydadacie.

- Proszę, Valerianie - błagał Chłopiec. - To nie moja wina, że on nie chciał ze mną rozmawiać.

Valerian przyjrzał się obojgu.

- No dobrze - ustąpił. - Niech będzie.

Popatrzył na Chłopca.

- No, Chłopcze, już czas, żebyś poznał tajemnicę iluzji znikającej krainy czarów.

- Ale to tylko sztuczka - zaprotestował Chłopiec.

- Ach! - zaśmiał się Valerian. - Nie. W rzeczy samej tajemnica iluzji znikającej krainy czarów polega na tym, że to wcale nie jest iluzja.

Chłopiec wytrzeszczył na niego oczy. Willow wytrzeszczyła oczy na Chłopca.

- Chłopcze... - zaczęła i nagle w zamku szczęknęły klucze.

- Szybko! - rozkazał Valerian. - Trzymajcie się blisko mnie.

Chwycił ich oboje i przycisnął do siebie.

Chłopiec usłyszał, że Valerian mamrocze coś w nieznanym języku, zobaczył, że wyciąga coś z kieszeni. Drzwi otwarły się i w progu stanął Różowopióry. Valerian zamachnął się, jakby czymś rzucał.

- Ho! - zawołał. - Ho! W drogę do krainy czarów!

Buchnął gęsty dym i Chłopiec całkiem stracił orientację. Przez chwilę czuł, że wznosi się w powietrze, jakby latał. Potem dym zaczął się rozwiewać.

- Biegiem! - syknął Valerian.

Chłopiec musiał posłuchać, bo ciągnęła go ręka, którą dobrze znał. Ręka Valeriana.

Znajdowali się w kamiennym korytarzu gdzieś w cytadeli. Drugą ręką Valerian ciągnął za sobą dziewczynę. Biegł szybko. Widocznie dokładnie wiedział, dokąd zmierza. Po kilku sekundach wypadli na dach, wysoko ponad Miastem.

- Chodźcie! - krzyknął Valerian i rzucił się przez krawędź w dół, pociągając ich za sobą.

- Nie! - wrzasnął Chłopiec.

Spadali chyba przez wieczność, chociaż odmierzoną jednym uderzeniem serca.

Runęli do lodowatej, cuchnącej wody i po kilku kolejnych uderzeniach serca wynurzyli się na powierzchnię całkiem blisko brzegu, kaszląc i plując

- Chodźcie! - poganiał ich Valerian, wyłaząc z wody na mały drewniany pomost, przy którym cumowały promy.

- Najwyższy czas - mruknął. - Poza tym nie znoszę dziennego światła.

Wrzucił ich oboje na łódź, wdrapał się za nimi i nakrył wszystkich brudną brezentową płachtą. Odcumował łódź. Popłynęła porwana bystrym prądem w dół rzeki, w stronę domu.

- Ścigają nas? - zdołała w końcu wykrztusić Willow.

- Nie! Nawet nie zauważają, że nas nie ma, dopóki ten głupiec z różowym piórem się nie obudzi.

Chłopiec pokręcił głową. Zdążył już przywyknąć, że nie rozumie, co się dzieje, ale teraz czuł się gorzej niż zwykle.

- Valerianie? - zapytał. - Valerianie, czy to była prawdziwa magia? Nigdy nie wierzył, że Valerian naprawdę potrafi robić czary. Prawdziwe czary. Właśnie zaczął zmieniać zdanie.

- No, przecież wyciągnąłem was z cytadeli. Taka rzecz wymagała prawdziwej magii, nie?

Jeśli to była magia, czemu Valerian nie mógł ich przenieść prosto do domu, zamiast skazywać na kąpiel w lodowatej wodzie? Chłopiec leżał pod brezentem, drżący, przemarznięty i na dodatek przemoczony. Ociekał śmierdzącą wodą z rzeki. No, ale przynajmniej znowu znalazł się w bezpiecznym, ciasnym, ciemnym miejscu. Jakoś sobie poradzi. Postanowił na razie porzucić temat magii. Niech sobie Valerian uprawia swoje sztuczki. Chłopca intrygowały inne sprawy, na przykład dym. Kiedy wyskoczyli z celi, otoczyło ich mnóstwo dymu. Purpurowego dymu. Już po raz drugi w ciągu kilku godzin Chłopiec widział purpurowy dym. Za pierwszym razem znalazł Greena ze złamanym karkiem i poderżniętym gardłem.

Co takiego powiedział Valerian?

„Chyba nie myślisz, że powierzyłbym ci takie ważne zadanie”.

Czy Valerian był wtedy w gospodzie Pod Trąbką? A Green... czy Valerian jego też załatwił? Nie, potrzebował ważnych informacji. Nie zabiłby go.

A Korpa? Korp zginął chyba w tym samym czasie co Green, więc Fantom nie mógł zabić ich obu. Chłopiec starał się to uporządkować w sensowną całość i wyrzucić z myśli, ale nie potrafił. Ciągle się martwił.

Łódź dryfowała z prądem w stronę Starówki, gdzie mieszkali Valerian i Chłopiec.

Zanim dotarli do Żółtego Domu, zbliżało się południe. Valerian zatrzasnął za nimi drzwi. Natychmiast wyjął z kieszeni pozytywkę i zmierzył ją wzrokiem.

- Kepler, gdzie jesteś? - mruknął do siebie. - Gdzie jesteś, kiedy cię potrzebuję?

Potem popatrzył na Chłopca i Willow.

- Idź się umyć, Chłopcze - rozkazał. - Ostatnio jakoś często ci to mówię, co? A ty co tu robisz, dziewczyno? Też możesz się umyć, a potem odejść.

Odwrócił się i ruszył po schodach do własnego pokoju.

- Sam lepiej też się przebiorę - rzucił, odchodząc.

Chłopiec spojrział na Willow, a potem zawołał za Valerianem:

- Ale dokąd ona pójdzie? Na pewno zamkną teatr. Korp nie żyje.

- Wiem - odkrzyknął Valerian ze schodów - ale nie prowadzę noclegowni.

I zniknął.

Zanim Chłopiec znalazł swoje śmierdzące ubranie z zeszłej nocy, wyprał je razem z rzeczami Willow, wyczyścił płaszcz i buty, zaczęło się ściemniać.

Rozpalił w kuchni, żeby wysuszyć pranie. Siedzieli przy piecu owinięci w koce i dygotali. Słuchali złorzeczeń i przekleństw Valeriana, dobiegających z jego pokoju na wieży przez całe popołudnie.

- Mieszkasz tutaj? - zapytała Willow, rozglądając się z podziwem po ogromnej kuchni. Wszędzie wisiały nieużywane garnki, rondle i patelnie. Niegdyś codziennie gotowano tu posiłki co najmniej dla tuzina osób.

- Tylko on i ty w tym wielkim domu?

Chłopiec kiwnął głową.

- Ale kim ty jesteś? Jego niewolnikiem?

- Nie! - zaprzeczył gorąco Chłopiec.

- Więc on ci płaci?
Chłopiec zawahał się, zanim odpowiedział.
- Nie, ale...
- Więc jesteś jego niewolnikiem!
- Jestem jego famulusem! - krzyknął Chłopiec.
Dziewczyna umilkła.
- Czym? - zapytała po chwili.
- Famulusem - powtórzył Chłopiec. - Jego famulusem. To znaczy, że pomagam mu w studiach i badaniach.
- On ci tak powiedział? - upewniła się.
Chłopiec milczał.
- Nikt więcej tu nie mieszka? - naciskała. - Kto sprząta? Kto gotuje?
- Ja gotuję, kiedy on mi każe. Nikt nie sprząta.
- Ale kto cię nauczył prać? Rozpalać ogień? Ktoś musiał ci pokazać.
- Nie wiem. On mnie uczy różnych rzeczy, ale nie gospodarstwa. Sam się tego nauczyłem.
- A zanim tu zamieszkałeś? Kim są twoi rodzice?
- Nie mam rodziców.
- I ja już nie mam.
- Co się z nimi stało? - zapytał Chłopiec i sam się zdziwił, że to go obchodzi.
- Zabito ich - odpowiedziała Willow. - Miałam cztery lata.
Chłopiec chciał już zapytać, jak ich zabito, ale nie dała mu dojść do słowa.
- Ciotka wysłała mnie do sierocińca - powiedziała.
- Miło z jej strony - zauważył Chłopiec.
- To nie była moja prawdziwa ciotka. Jakaś starsza krewna. Nie wiem dokładnie. Ale nie mogła się mną opiekować. W każdym razie niedługo potem umarła. Mieszkałam w sierocińcu obok murów Pałacu, dopóki nie dostałam pracy w Gildii. Miałam wtedy jedenaście lat, cztery lata temu. A ty ile masz lat?
- Nie wiem - odparł Chłopiec.
Dziewczyna spojrzała na niego, oczekując jakiegoś wyjaśnienia. Nie otrzymała go, więc wróciła do własnej historii.
- Potem przyszedłam do teatru, ale to już wiesz. - Spojrzała ostro na Chłopca.
- A ty?

- Co ja? - zdziwił się Chłopiec.
- No, twoi rodzice - rzuciła zniecierpliwiona.
- Mówiłem, że nie mam rodziców.
- To wiem, ale pytam, kim byli?

Chłopiec wzruszył ramionami. Rozumiał, że to tylko zwykła ciekawość, ale naprawdę chciał, żeby dziewczyna się zamknęła.

- Słuchaj, nie wiem. Odkąd pamiętam, mieszkałem na ulicy, zimą marzłem i głodowałem, latem żyłem trochę lepiej. I tyle. Potem on mnie znalazł.

Willow spostrzegła, że w ten sposób do niczego nie dojdzie. Zmieniła taktykę.

- On cię traktuje jak śmiecia.
- Przynajmniej mam pokój, jedzenie i coś do roboty.
- To nie jest pokój - zaprzeczyła, przypominając sobie klitkę na końcu tunelu, skąd Chłopiec przyniósł koce.

Na chwilę zabrakło jej pytań, ale potem znowu zaczęła:

- Więc kto cię nauczył mówić?

Chłopiec pomacał pranie.

- Już prawie wyschło - stwierdził, ucinając rozmowę.

Odwrócili się do siebie plecami i szybko włożyli suche rzeczy. Ubrania nagrzały się od ognia i Chłopiec stwierdził, że już od bardzo dawna nie czuł się tak dobrze.

- Głodna jestem - westchnęła Willow. - Umieram z głodu.

- Zobaczymy, czy jest coś do jedzenia - powiedział Chłopiec, ale bez większej nadziei.

Pesymizm okazał się uzasadniony. Chłopiec znalazł tylko kilka wyschniętych herbatników. Zjedli je powoli.

- A co będzie ze mną? - zapytała nagle Willow.

- Musisz wrócić do tej śpiewaczki. Tam przynajmniej nie zabraknie ci jedzenia.

- Ale ja nie mogę! - zawołała. - Jestem poszukiwanym przestępcą! Zresztą ty też.

Chłopiec zawahał się.

- Wiem, wiem - przyznał. - Słuchaj, spróbuję jeszcze raz porozmawiać z Valerianem i poproszę, żebyś została. Tutaj chyba strażnicy cię nie znajdą.

- Porozmawiasz? - ucieszyła się. - Naprawdę?

Chłopiec spojrzał na jej rozjaśnioną twarz i zadrżał. Nie podobał mu się ten pomysł z wielu powodów. Czy ucieczka nie oznacza przyznania się do winy? Ale w głębi duszy chciał, żeby Willow została.

Chociaż marnie szanse, że Valerian się zgodzi.

- Słuchaj - powiedział - spróbuję. Nic więcej nie mogę obiecać.
- Dlaczego ci zależy? - zapytała.

Chłopiec znowu się zawahał.

- Nie wiem - wyznał szczerze.

Przez chwilę siedzieli i patrzyli w ogień, grzejąc się w ciepło. Chłopiec czuł się wyczerpany, nie tylko niedawnymi przejściami, ale też nieustannymi pytaniami. Po raz pierwszy od lat myśli kłębiły mu się w głowie. Odepchnął je. Nie musi wiedzieć, kim byli jego rodzice. To nie ma znaczenia, nawet jeśli Willow uważa inaczej. Stopniowo myśli odpłynęły.

Zanim się spostrzegli, zasnęli wsparci o siebie ramionami i przez krótki czas ich znużone ciała zaznały odpoczynku.

17

Zapadła ciemność. Chłopiec i Willow zbudzili się prawie jednocześnie. Oboje zerwali się na nogi, unikając swojego wzroku.

- No - zaczął Chłopiec, wpatrując się w podłogę.
- Tak - mruknęła Willow. - I co? Rozmyśliłeś się?
- Nie - zaprzeczył Chłopiec i spojrzał jej w oczy. - Chodź, wolę już to mieć za sobą.

Wspięli się do pokoju na wieży. Po całym dniu wrzasków i przekleństw teraz panowała tam cisza. Równie dobra chwila jak każda inna, żeby zwrócić się do Valeriana z prośbą.

Chłopiec zapukał do drzwi. Już samo to było czymś niezwykłym. Zawsze czekał, aż go wezwano.

- Co jest? - odezwał się głos z pokoju.
- Valerianie! - zawołał Chłopiec - Możemy wejść?

Na chwilę zapadło milczenie.

- My? Och, no dobrze.

Weszli do środka. Chłopiec spojrzał na Valeriana, ale nie patrzył mu w oczy. Zwykle nie mógł znieść jego wzroku. Willow tylko gapiała się z otwartymi ustami na słoje, retorty, maszyny, przyrządy, rysunki, książki, przedmioty ze szkła, mosiądzu i drewna. I na *camera obscura*.

- Dlaczego ona jeszcze tu jest? - zapytał Valerian.

- Proszę, Valerianie, czy ona może zostać? Strażnicy jej szukają. I mnie też, dodał w myślach.

Valerian nie odpowiedział.

- Ona nie może wrócić do madame, bo teatr będzie zamknięty i... och!

Chłopiec urwał. Teatr.

- Tak - mruknął Valerian. - Pewnie go zamkną.

- Ale to znaczy, że stracimy pracę i...

- W tej chwili to moje najmniejsze zmartwienie - uciął Valerian. - A dziewczyna nie może tutaj zostać. Mamy za dużo roboty. Koniec dyskusji.

To zamknęło Chłopcowi usta.

- Przecież Korp nie żyje - zaprotestowała Willow. - Nie macie gdzie występować!

Valerian wstał, a oni skulili się ze strachu. Mag górował nad nimi, wydawał się jeszcze wyższy niż zwykle.

- Nie obchodzi mnie teatr ani przedstawienie. W tej chwili zależy mi wyłącznie na czasie. Zrozumiano?

Oboje pokręcili głowami, co tylko rozgniewało Valeriana. Chłopiec dobrze znał jego nastroje, dlatego przywarł plecami do ściany.

- Posłuchajcie! Mam kłopoty. Większe kłopoty niż plajtujący teatr czy martwy dyrektor. Zostały mi tylko cztery dni, żeby ocalić życie, a jedyny sposób jest ukryty przede mną! Green - machnął pozytywką, którą Chłopiec ukradł z dłoni trupa - miał mi podać nazwisko... to nazwisko mogło uratować moją przeklętą parszywą skórę. Ale zostałem oszukany! Dostałem tylko jakąś bezwartościową tandetę! Czy ten jarmarczny śmieć poda mi nazwisko?

Cisnął pozytywkę na podłogę.

Willow podniosła ją szybko. Obejrzała w świetle jedynej lampy i uśmiechnęła się. Zakręciła małą metalową korbką. Ciche blaszane nutki rozbrzmiały w pokoju.

- Wiem, do czego to służy - warknął Valerian.

Nie zwracała na niego uwagi. Odkryła coś w powtarzającej się melodii.

Prościutka melodyjka składała się tylko z ośmiu nut. Refren łatwo wpadał w ucho i gdyby Valerian słuchał uważniej, usłyszałby dźwięczącą w nim nadzieję. Willow odtworzyła go kilkakrotnie, a potem jeszcze parę razy.

- Valerianie - powiedziała - to jest nazwisko. Ta melodia to nazwisko. Nazwisko, którego szukasz, to Gad Heehe.

28 grudnia

Dzień Najgorszego Pecha

Kiedy już Willow wyjaśniła po raz czwarty, skąd wiedziała, jak brzmi nazwisko, Valerian sam wreszcie uwierzył i jego nastrój raptownie się poprawił.

- Muzyka! - wykrzyknął. - Ukryte w muzyce!

Wybuchnął śmiechem.

- Kepler jednak wiedział, co robi... pewnie wysłał dla mnie ten drobiazg. Green próbował robić trudności, a wtedy... - znowu się zaśmiał.

To zaniepokoiło Chłopca. Nigdy przedtem nie słyszał, żeby Valerian się śmiał.

- I nauczyłaś się tego od madame? - zapytał dziewczynę Valerian.

Kiwnęła głową. Tak, nauczyła się zapisu nutowego od madame Beauchance. Co więcej, starsza kobieta niechętnie przyznała, że Willow ma słuch absolutny. Potrafiła rozróżnić i nazwać każdą pojedynczą nutę i nie potrzebowała do tego innych nut jako punktu odniesienia - zdolność, której sama madame widać nie posiadała.

- A te nuty... każda jest literą?

Willow znowu przytaknęła.

- G-A-D-H-E-E-H-E.

- Przypadkiem nazwisko składa się tylko z dwóch liter alfabetu - powiedział Valerian. - Ktokolwiek zrobił tę rzecz albo kazał ją zrobić, nie tylko był muzykalny, ale również zauważył ten osobliwy fakt dotyczący pana Heehe.

Willow kiwała głową, Valerian się śmiał, a Chłopiec denerwował.

- Heehe - zastanawiał się na głos Valerian. - Heehe. Na pewno znam to nazwisko.

- No więc - zaryzykowała Willow - czy mogę zostać... tylko na jakiś czas?

- Hm - mruknął Valerian, myśląc o czym innym. - Hm? Tak, to znaczy... może nawet się przydasz, w przeciwieństwie do Chłopca.

Trzymał w ręku pozytywkę, kręcił korbką i słuchał wciąż od nowa znaczącej melodyjki.

Potem wreszcie liczne zegary w całym domu zaczęły wybijać północ.

Rozpoczął się dwudziesty ósmy grudnia.

Kiedy uciхло ostatnie uderzenie, Valerian znowu sposepniał.

- Chodźcie - rzucił gderliwie. - Mamy dużo roboty, a czas ucieka.

Chłopiec trochę się uspokoił. Wiedział, czego się spodziewać po takim Valerianie.

2

Trzy cienie skradały się przez niezwykle ciche ulice miasta. Wbrew zapowiedziom Willow śnieg nie spadł, ale zrobiło się zimno. Chłopiec cieszył się, że włożył wszystkie swoje ubrania. I znowu łąził za Valerianem. Nic się nie zmieniło, tylko że teraz towarzyszyła mu ta dziewczyna, Willow.

- Włóż z powrotem buty - rozkazał wcześniej Valerian.

- Znowu? - zdziwił się Chłopiec, ale jego pan milczał posepnie.

Dopiero kiedy zatrasnęły się za nimi drzwi, Valerian mruknął:

- Święto Młodzianków.

- Proszę? - zdziwił się Chłopiec.

Valerian zmierzył ich oboje gniewnym wzrokiem.

- Święto Młodzianków - powtórzył i ruszył szybkim krokiem. Nie odwracając się, rzucił przez ramię: - Dzisiaj jest Święto Młodzianków. Najbardziej pechowy dzień w roku.

- Och! - westchnął Chłopiec.

Willow otwarła usta, ale nic nie powiedziała.

Pospieszyli za Valerianem, który oddalił się już o dwadzieścia kroków.

Willow i Chłopiec ledwie nadążali za Valerianem, który szybko maszerował po mrocznych ścieżkach. Wokół panowała cisza. Częściowo dlatego, że nagły atak zimna zapędził ludzi wcześniej do łóżek, ale głównie dlatego, że znaleźli się w jednej z niewielu opustoszałych części Miasta. To była Czarna Dzielnica, gdzie nastąpił ostatni wybuch zarazy. Dzielnicę otoczono wówczas kordonem ognia, podpalając okoliczne budynki, dopóki wszyscy pozostawieni wewnątrz nie wyzdrowieli albo nie umarli. Chociaż to się zdarzyło przed wielu laty, ludzie niechętnie powracali do Czarnej Dzielnicy. Nawet teraz mieszkali tam tylko nieliczni, najubożsi obywatele. Ulice wyglądały jak wszędzie, tyle że zniszczenia bardziej rzucały się w oczy. Domy po latach utworzyły mroczny, splecione labirynt - zgarbione, z krzywymi oknami o wypaczonych framugach. Pomiedzy nimi biegły ulice jak rynsztoki, cuchnące i wypełnione stosami odpadków. Trójka przechodniów spieszyła dalej.

- Co my robimy? - wysapała Willow do Chłopca, starając się dotrzymać mu kroku.

- Nie wiem - odparł. - Nigdy nic nie wiem. Zaczynaj się przyzwyczajać. Zawsze tak jest.

Chociaż nie wszystko było tak, jak zawsze, uświadomił sobie Chłopiec, nim jeszcze skończył mówić. Za bardzo się zadyszał, żeby dalej wyjaśniać, ale Valerian zachowywał się inaczej. Gorzej.

Chłopiec zdążył przywyknąć do jego nastrojów, do bicia, do ignorowania - jednak ostatnio Valerian wyraźnie się zmienił. Od kilku miesięcy zrobił się roztargniony. Teraz Chłopiec znał powód.

Cztery dni życia.

Dlaczego?

Chłopiec nie miał pojęcia. Zastanawiał się, czy Valerian nie ulegał urojeniom. Skąd wiedział, że zostały mu akurat cztery dni życia? Może dostał lekkiego obłądu i uwierzył w jakieś własne wymysły?

Ale nie. To nie było w stylu Valeriana.

Cztery dni... Tyle zostało do sylwestra, skojarzył sobie Chłopiec. Co takiego dręczyło Valeriana? Co mu groziło?

Jakiś czas temu Valerian jakby wpadł w obsesję. Występy przestały się dla niego liczyć - już od dawna po prostu odbębniał swoją rolę. Toteż Chłopiec wcale się nie zdziwił, kiedy się okazało, że jego spotkanie z Greenem nie miało nic wspólnego z teatrem. Chodziło tylko o nazwisko - widocznie bardzo ważne nazwisko.

Ciągle trwała pierwsza godzina dwudziestego ósmego grudnia.

- Dokąd my w ogóle idziemy? - zapytała Willow.

Chłopiec nie odpowiedział, tylko podrapał się po nosie. Willow nie zrezygnowała.

- Valerianie! - zawołała.

Chłopiec spojrział na nią przestraszony. Wciąż nie wiedziała, jak rozmawiać z Valerianem, że powinna czekać, dopóki pierwszy się nie odezwie.

- Valerianie, dokąd idziemy?

Nawet się nie obejrzał.

- Valerianie! - krzyknęła, tym razem głośniej, bo zostali za nim daleko w tyle. - Dokąd...

Nagle Valerian znalazł się przy nich. W jednej chwili pokonał dzielącą ich odległość i pochylił się nad nimi w ciemnej, pustej uliczce. Przeszywał dziewczynę płonącym wzrokiem, aż zaczęła drżeć. Zupełnie jakby stała nago w śnieżnej zamieci - czuła się mała, krucha i zmarznięta, Valerian pokonał ją spojrzeniem, spuściła oczy.

- Cicho bądź, dziewczyno - syknął - bo cię tu zostawię.

Odwrócił się i pomaszerował dalej.

- Mówiłem ci - szepnął Chłopiec. - Mówiłem ci. Nie denerwuj go.

Zobaczył, że Valerian znika w kolejnym obskurnym zaułku. Spojrzał na Willow. Twarz miała bladą i ściągniętą. Położył jej rękę na ramieniu.

- Chodź.

- Jak on to robi? - zapytała.

Valerian znikł za rogiem.

Chłopiec niecierpliwie pociągnął ją za ramię.

- No chodź - ponaglił. - Z nim będzie nam lepiej.

Nawet nie drgnęła.

- Wiem - przyznał Chłopiec. - Wiem, jak to jest. Ale naprawdę lepiej, jeśli z nim pójdziemy.

Powoli kiwnęła głową.

- Dokąd on znowu poszedł? - jęknął Chłopiec. - Chodź, Willow. Proszę!

W końcu ruszyła się z miejsca. Chłopiec pociągnął ją za rękaw i trochę przyspieszyła, ale Valerian oddalał się od nich z każdym krokiem.

Chłopiec zobaczył, jak jego pan skręca w lewo, ale kiedy się zbliżyli, ujrzeli trzy alejki prowadzące w ciemność i nie wiedzieli, którą wybrać. Chłopiec podrapał się po nosie.

Bał się, że zostanie sam w Mieście nocą. Powracały na wpół zatarte wspomnienia, wspomnienia lat przeżytych samotnie na ulicy.

Zawahał się, a im dłużej się wahał, tym bardziej oddalał się Valerian.

Wreszcie chwycił Willow za rękę i wbiegł w najbliższą uliczkę, grzeżąc w błocie i odpadkach.

- Valerianie! - zawołał cicho. - Valerianie!

W ulicze było tak ciemno, że prawie nic nie widział.

- Gdzie on jest? - zapytała dziewczyna, wciąż jeszcze roztrzęsiona.

Chłopiec biegł dalej.

Nagle wypadli na plac wybrukowany kocimi łbami oświetlony pochodniami, pusty i rozległy. Piękne stare budynki nachylały się do środka ze wszystkich czterech stron, jakby próbowały zbliżyć się do siebie. Chłopiec rozejrzał się dokoła. Pochodnie dawały zadziwiająco jasne światło, niemal oślepiające po mroku panującym w alejce.

Tam!

Tam był Valerian, właśnie zniknął w ulicze naprzeciwko, po drugiej stronie placu.

Chłopiec i Willow bez słowa wybiegli na otwartą przestrzeń. Poczuli się bezbronni i wystawieni na ostrzał spojrzeń. Wokół jednak panowała cisza, Miasto wydawało się opustoszałe. Tupot butów uderzających o kamienie bruku brzmiał jak salwa z pistoletu.

Przebiegli przez plac i skręcili w uliczkę, w której zniknął Valerian. Chłopiec zauważył nazwę uliczki: Ślepa. Zły omen.

Valerian czekał.

- Za bardzo hałasujecie jak na mój gust - burknął, kiedy nadbiegli, ciężko sapiąc. Ale bez dalszych komentarzy zaczekał, aż złapali oddech.

- Dobrze - powiedział. - Jesteśmy prawie na miejscu. Wtedy zacnie się robotą.

Na jego twarzy malowała się śmiertelna powaga. Tym razem nie złościł się, nie irytował i nie próbował żadnych sztuczek, żeby ich nastraszyć.

Tylko... tylko się bał, pomyślał Chłopic.

Czy Valerian mógł się bać? Nie do pomyslenia.

Valerian ruszył, a oni za nim.

Chłopic spojrział na Willow.

- Już ci lepiej? - zapytał.

Przytaknęła i zdobyła się na uśmiech.

- Wiem - szepnął Chłopic. - On jest... trudny. Ale lepszy znany diabeł.

Chociaż Chłopic mówił cicho, Valerian usłyszał.

- Co powiedziałaś, Chłopcze? - zagadnął bez gniewu. - Przynajmniej raz zacytowałaś stosowne przysłowie. Ale nie wymawiaj tutaj jego imienia.

Dotarli do końca ulicy Ślepej i przystanęli.

Przed nimi wznosiła się ogromna żeliwna brama, osadzona w wysokim kamiennym murze. Na obu skrzydłach widniały wykute z brązu wizerunki, przerażające i niezrozumiałe. Ludzkie postacie, nagie i poskręcane, wiły się w konwulsjach, oplecione wokół prętów bramy. Tu i tam Chłopic i Willow dostrzegli mniej ludzkie stwory, które nie okazywały bólu. Demonicznie szczyrzyły zęby i długimi kijami lub dzidami dźgały ciała ofiar.

- Co to za miejsce? - szepnęła Willow, ale Chłopic już wiedział.

- Patrz - powiedział martwym głosem.

Wskazał na długie rzędy zimnych szarych nagrobków, ciągnące się za murem.

Na łuku wieńczącym bramę wyryto jakieś niezrozumiałe słowa.

- Co to znaczy? - zapytał cicho Valeriana.

- Ciągłe nie umiesz czytać? - warknął Valerian, raczej z nawyku. W jego głosie brakowało ożywienia.

- Ale to jakieś dziwne - zaprotestował Chłopic.

- To po łacinie - wyjaśnił Valerian - i najwyższy czas, żebyś ją poznał. *Mille habet mors portas quibus exeat vita. Unam inveniam.* To znaczy mniej więcej:

3

Panował przenikliwy chłód. Chłopiec i Willow dygotali, ale nie tylko z zimna. Rzędy martwych kamieni ginęły w cmentarnym mroku. Wśliznęli się przez masywną żelazną bramę, niezamkniętą na klucz. Ledwie co widzieli w blasku księżyca, padającym ukośnie nad murem. Od miejsca, w którym stali, teren lekko opadał, więc nawet w ciemnościach mogli dostrzec szeregi nagrobków ciągnące się w dali. Tysiące grobów, jedne małe i skromne, inne duże, rzeźbione w bogate wzory. Gdzieś tam zamiast zwykłych płyt nagrobnych wzniesiono imponujące grobowce z potężnych kamiennych bloków, otoczone spiczastymi żelaznymi sztachetami. Ogrodzenia miały nie dopuszczać ludzi, chociaż Chłopiec pomyślał, że wyglądają dziwnie, jak klatki, w których uwięziono zmarłych.

- Co my tu robimy? - szepnęła Willow.

Chłopiec pokręcił głową.

- Nie wiem. On po prostu ma talent do wyszukiwania paskudnych miejsc.

- Chłopcze, jeśli go nie zapytasz, ja to zrobię.

Popatrzył na nią zdziwiony. Niczego jej nie nauczyły niedawne doświadczenia z humorami Valeriana?

- Mówię poważnie - ostrzegła.

- No dobrze! - ustąpił Chłopiec. - No dobrze.

Valerian stał kilka kroków dalej i próbował się zorientować w bezkresnym cmentarzysku. Chłopiec podszedł do niego powoli i nieśmiało pociągnął go za rękaw.

- Ach! Chłopiec! - powiedział Valerian. - Dobrze. Weź to.

Wyjął z kieszeni dwie świece i kilka zapalek.

- Nie ma dużego wiatru... nie potrzebujemy lamp. Już prawie go czuję! To musi być ten.

- Valerianie - powtórzył Chłopiec bardziej stanowczo.
Valerian spojrział na niego z roztargnieniem.

- Tak, Chłopcze, o co chodzi?

- Co my tu robimy?

Cień przemknął przez twarz Valeriana, grymas gniewu.

- Nie mam czasu na pogawędki! Nie rozumiesz? Czas ucieka! Dzisiaj jest dwudziesty ósmy.

- Nie, nie rozumiem - krzyknął Chłopiec - bo nigdy mi nic nie mówisz!
Valerian zakrył mu ręką usta i przytrzymał.

Willow podbiegła do nich, ale zatrzymała się, widząc, że Chłopcowi nie dzieje się żadna krzywda.

- Ile razy mam... - syknął Valerian.
Willow zobaczyła, że gniew odpływa z jego twarzy.

- Nie - powiedział cicho i zdjął rękę z ust Chłopca.
Willow podeszła bliżej.

- Nie - powtórzył Valerian. - Masz rację, Chłopcze. Powiniennem wam powiedzieć.

Chłopiec popatrzył na niego uważnie, wyczekująco.

- Powiem wam, ale nie teraz. Teraz nie ma czasu. Najpierw musimy to znaleźć.

- Ale co?

- Grób. Grób Gada Heehe. To chyba jasne?

Nie, wcale nie, pomyślał Chłopiec, ale kiwnął głową z uśmiechem.

- To nam powiedziała pozytywka? - upewniła się Willow. - Żeby tutaj przyjść?

- Tak - potwierdził Valerian. - No, nie całkiem. Szukałem grobu, a teraz mam nazwisko. Szukamy grobu Gada Heehe, a to jest największy cmentarz w Mieście. Musimy od czegoś zacząć!

- A co potem? Jak już go znajdziemy? Dlaczego to takie ważne?

- Później. Mamy mało czasu. Najpierw znajdziemy grób, a potem... cholera!

- Co się stało?

- Łopata. Zapomniałem zabrać łopatę.
Valerian tupnął i zaklął szpetnie.

- Po co nam łopata? - zapytała Willow, ale oboje z Chłopcem mieli okropne przecucie, że znają odpowiedź.

- Oczywiście do rozkopania grobu. Nieważne, gdzieś tutaj musi być budka kościelny. Przede wszystkim musimy znaleźć grób. Zapalimy świece...

Przez głowę Chłopca przemknęło kilka okropnych podejrzeń, jedno gorsze od drugiego. Wiedział, że w Mieście huczy od plotek o Fantomie i hienach cmentarnych. Popatrzył na Valeriana. Czy to możliwe, że Valerian rabuje cudze groby? Czy Valerian jest do tego zdolny?

Oczywiście, że tak.

- Nie - oświadczył Chłopiec. - Nie zrobię tego!

Willow obejrzała się na Chłopca zdziwiona. Valerian także.

- Co znowu? - zapytał. - Nie rozumiesz, że musimy się spieszyć?

- Możesz się spieszyć beze mnie - odparł Chłopiec. - Nie zrobię tego. Robiłem dla ciebie wiele okropnych rzeczy, ale tego nie zrobię.

- Czego? - zapytał Valerian z lekkim uśmiechem.

- Nie będę kradł ludzkich ciał. Ma... martwych ciał.

Valerian parsknął krótkim, szczekliwym śmiechem. Potem umilkł i rozejrzał się szybko.

- Ale, Chłopcze, my nie szukamy ciała! Szukamy księgi.

4

Dobrze. Rozdzielimy się, żeby zaoszczędzić na czasie. Macie, każde z was weźmie świecę. Teraz, Chłopcze, pójdziesz wzdłuż tego muru i sprawdzisz kolejne rzędy coraz bliżej środka. Pracuj systematycznie i nie opuść ani jednego. Ani jednego. Ty, dziewczyno...

- Nazywam się Willow - wtrąciła, potem przypomniała sobie jego przerażające - spojrzenie i dodała: - Proszę pana.

Ale zaafierowany Valerian nie zwrócił na to uwagi.

- Willow, pójdziesz wzdłuż drugiego muru. Rób to samo, co Chłopiec. Nie pomiń żadnego grobu. Ja pójde środkową alejką i będę sprawdzał po obu stronach. Już prawie trzecia rano. Spotkamy się tutaj znowu za godzinę. I pamiętajcie: Gad Heehe. W jego grobie znajdziemy księgę, a potem...

Zamilkł i wyjął z kieszeni trzecią świecę. Trochę dla zabawy, trochę żeby im zaimponować, wydobyl ją już zapaloną.

- Nauczysz mnie, jak to się robi? - zapytała Willow, ale Valerian nie raczył odpowiedzieć.

Ruszył kamienną ścieżką prowadzącą do mrocznego serca cmentarza. Świeczka migotała w jego dłoni i wywoływała na mijanych nagrobkach nikle, lecz niepokojące cienie.

Dzieci wymieniły spojrzenia. Popatrzyły na wyznaczone oddzielne trasy, prowadzące w czarną noc.

- Chłopcze? - odezwała się Willow. - Co jest takiego ważnego w tej księdze?

Chłopiec wzruszył ramionami.

- On zawsze gada o książkach, jakie są ważne i dlaczego muszę się nauczyć lepiej czytać.

- Może, ale to jeszcze nie powód, żeby je wykopywać z grobów, nie?

- Nie wiem - przyznał Chłopiec - aleja nigdy nic nie wiem. Po prostu robię, co mi każe Valerian. Tak jest łatwiej.

Willow popatrzyła na niego ze smutkiem. Potem zerknęła na rzędy ozdobnych nagrobków i zadrżała.

- Załóżmy - zaproponował Chłopiec - że zrobimy przez pół godziny moją trasę, a potem przez pół godziny twoją? Wyjdzie na to samo, prawda?

Nie, pomyślała, nie wyjdzie.

- Prawie - potwierdziła jednak, siląc się na rzeński ton. - Zresztą jeśli jedno będzie trzymać świecę, a drugie czytać, szybciej nam pójdzie.

- Tak - zgodził się Chłopiec - zwłaszcza jeśli ty będziesz czytać - dodał, przestępując z nogi na nogę.

Uśmiechnęła się.

- Dokąd najpierw?

Chłopiec rozpatrzył możliwości.

- Tędy - zdecydował.
 - Dlaczego?
 - Nie mam pojęcia. Willow? -Co?
 - Skąd będziemy wiedzieli, że minęła godzina?
 - Nie mam pojęcia. To tak długo, jak połączone występy madame i Valeriana, ale sam wiesz, że czas biegnie inaczej, kiedy robisz... inne rzeczy.
 - Właśnie - przytaknął Chłopiec.
- Miał przeczucie, że to będzie bardzo długa godzina.

W głębi cmentarza Valerian też myślał o czasie. Dla niego czas ciągle przyspieszał, z dnia na dzień, z godziny na godzinę. Zdawało mu się, że każda sekunda trwa o połowę krócej niż poprzednia, jakby czas pędził coraz szybciej do końca roku. Koniec roku i koniec...

Odepchnął od siebie tę myśl i pochylił się, żeby spojrzeć na siedemdziesiąty trzeci nagrobek.

Próbując zachować spokój, odczytał nazwisko. Gad Heehe? Nie.

Gad Heehe! Co to za nazwisko? Ważne. Bardzo ważne dla Valeriana.

Który dzisiaj?

Dwudziesty ósmy. Po dzisiejszym dniu zostaną tylko trzy. Trzy dni, żeby znaleźć odpowiedź, i tyle zależy od Keplera. Dawniej, przed laty, Valerian ufał mu całkowicie, ale czasy się zmieniły. Zawsze jednak szanował jego wiedzę, a teraz, kiedy stawka była wysoka, potrzebował wszelkiej możliwej pomocy.

Siedemdziesiąty czwarty. Nie.

Kepler. *Camera obscura* działała jak marzenie. Kosztowała Valeriana wszystko, co zarobił w teatrze przez ostatni rok, ale warto było zapłacić. Na początku Kepler śmiał się z Valeriana. „Na co ci ona? - fuknął. -W końcu nie przyda ci się na nic. Nie uratuje cię przed nadchodzącym przeznaczeniem!”

Siedemdziesiąty piąty. Nie.

Ale potem, kiedy Valerian nalegał, Kepler zmienił zdanie. „Dobrze - powiedział. Dobrze, zmarnuję twoje pieniądze. Będzie sporo kosztowało. Wyrabiam tylko najlepszy sprzęt optyczny”.

Siedemdziesiąty szósty. Nie.

I tak się dogadali, i Valerian mozolnie ciągnął te głupie występy przez kolejny rok, dopóki *camera* nie została zbudowana. Kepler nazwał go pomyłecem. Pomylenie! Sam by oszalał, myślał Valerian, gdyby to jemu czas się kończył. Gdyby coś na niego czyhało, też postradałby zmysły!

Siedemdziesiąty siódmy. Nie.

Valerian wyprostował się i podszedł do następnego nagrobka. Zaczynał wątpić, czy zabrał się do tego w odpowiedni sposób. Wiedział, że na pewno istnieje lepsze rozwiązanie, ale właśnie kiedy ten pomysł zaświtał mu w głowie, co innego przyciągnęło jego uwagę.

Światło.

Słabe światełko migotało przed nim w ciemnościach.

- Ten chłopak niczego nie potrafi zrobić jak należy! - zaklął Valerian pod nosem. - Kazałem mu się trzymać muru.

Wyjął następną świeczkę z kieszeni i zapalił od tej, którą trzymał. Tym razem bez żadnych sztuczek. Wetknął świecę w ziemię na siedemdziesiątym ósmym grobie, żeby go zaznaczyć, i ruszył sprawdzić, co wyprawia ten chłopak.

Kiedy podszedł do źródła światła, oczy rozszerzyły mu się ze zdziwienia.

- No, no! Witaj, Valerianie - przemówił wysoki, zgrzytliwy głos.

Valerian odwrócił się do ucieczki, ale cios w tył głowy pozbawił go przytomności. Bezwładne ciało uderzyło o ziemię.

5

Co? - szepnął Chłopiec.
Co? - odszepnęła Willow.
- Co mówiłaś?
- Nic nie mówiłam.

Kucali nad grobem. Kolejnym grobem. Sprawdzali nagrobek za nagrobkiem, aż wykute w kamieniu słowa zaczęły rozmywać się w szarą smugę. Nigdzie nie znaleźli ani śladu nazwiska chociaż trochę podobnego do Gada Heehe.

- Co to za hałas?

- Przesłyszałeś się - uspokajała Willow, próbując przekonać również siebie samą.

- Czy już minęła godzina? - zapytał.

- Tak. Tak, na pewno. Chodź, wracamy.

- Cała godzina? - powątpiewał Chłopiec. - Bo wiesz, nie chcemy...

W tej samej chwili znowu rozległ się hałas, szcęk metalu o metal.

Chociaż dochodził z daleka, oboje go usłyszeli. Zamarli.

- Świeca! - syknęła Willow.

Chłopiec zdmuchnął świecę. Otoczyła ich głęboka czerń. Po chwili, kiedy oczy przyzwyczyły się do ciemności, zaczęli coś widzieć. W świetle szarych zamazanych cieni nagle oboje zobaczyli to samo - błysk żółtego światła daleko po lewej, w sercu cmentarza.

- To pewnie Valerian - zawyrokowała Willow.

- Czemu?

- No bo kto inny?

Chłopiec wołał nie szukać odpowiedzi na to pytanie.

- Tak - zgodził się - to pewnie on. Chodź. Wyjdziemy mu na spotkanie.

Ruszyli w ciemność i Chłopiec natychmiast potknął się o grób. Księżyc znikł za ławicą chmur, a bez światła szare nagrobki stały się praktycznie niewidzialne. Chłopiec podniósł się, po cichu przeklinając Valeriana.

- Chłopcze! - syknęła Willow. - Tu jest ścieżka. Chodź. Jak ją poczujesz pod nogami, sama cię poprowadzi.

Miała rację. Kierując się dotykiem i chrzęstem żwiru pod butami, szybciej zbliżali się do światła. Chłopiec odkrył, że kiedy patrzy prosto przed siebie zamiast pod nogi, lepiej widzi widmową szarą smugę ścieżki.

Kiedy podeszli bliżej, coś zaniepokoiło Chłopca.

- Willow? - odezwał się cicho.

Nie zwróciła na niego uwagi. Albo nie usłyszała.

- Willow? - powtórzył i przystanął.

Odwróciła się do niego.

- O co znowu chodzi? - jęknęła. - Czemu stoisz? Chcę wrócić do domu.

- Słuchaj, myślę, że to nie Valerian.

- Nie pleć głupstw. Jeśli nie on, to kto?

Głos jej zamarł, kiedy uświadomiła sobie znaczenie własnych słów.

- A poza tym - dodał Chłopiec - Valerian poszedł w tamtą stronę.

W ciemnościach nie mogła zobaczyć, jak machnął ramieniem, ale zrozumiała.

Przez długą chwilę stali, nie wiedząc, co robić. Światło migotało jakieś pięćdziesiąt kroków dalej i słyszeli już słabe dźwięki odbijające się od nagrobków.

- A jeśli to jednak on? - zapytał Chłopiec.

- Musimy sprawdzić - zdecydowała Willow.

Chłopiec skrzywił się.

- No dobrze - ustąpił - ale ostrożnie. Proszę.

Zeszli ze ścieżki i na czworakach poczołgali się w stronę światła, klucząc pomiędzy rzędami małych grobów i większymi pomnikami.

Chłopiec czuł, że wilgoć z mizernej trawy przesiąka mu przez spodnie na kolanach. Ręce zagłębiały się w błoto, lodowato zimne, ale jeszcze niezamarznięte.

Po kilku minutach nie czuł już palców; jeszcze trochę i całe dłonie mu zdrętwiały.

Uparcie pełznął dalej i kiedy jeszcze bardziej zbliżyli się do światła, ich ostrożność okazała się całkowicie usprawiedliwiona. Nawet z daleka zobaczyli, że nie tylko oni pracują na cmentarzu tej nocy.

Dotarli do dużego grobowca, z żałobnymi aniołami wieńczącymi ciężkie kamienne wieko, i postanowili ukryć się za nim. Wyglądając zza krawędzi, ujrzeli odrażającą scenę.

Trzej mężczyźni ciężko pracowali przy grobie. Przyświecała im mała szklana latarnia oparta o sąsiedni nagrobek. Wokół grobu leżały rozmaite narzędzia, zapasowa łopata i żelazny drąg zakończony hakiem. Na ziemi kładły się długie, ponure cienie. Obok na dużej brezentowej płachcie piętrzyła się sterta wykopanej ziemi. A dalej leżał wielki brezentowy worek z pokaźnym wybrzuszeniem - dużym, niepokojącym wybrzuszeniem.

- Hieny cmentarne! - syknęła przestraszona Willow.

Chłopiec kiwnął głową.

Nigdzie nie widzieli ani śladu Valeriana.

- Chodź - szepnął Chłopiec.

Willow nie słuchała go, tylko próbowała zrozumieć, co jej nie pasuje w tej scenie.

Mężczyźni wrzucali łopatami ziemię z powrotem do grobu. Worek z okropną zawartością leżał obok nich na trawie.

- Czekaj - rzuciła. - Patrz. Oni odchodzą. Zaczekajmy.

- Znajdźmy tylko Valeriana i wynośmy się stąd.

- Zaraz. Patrz, odchodzą.

Mówiła prawdę. Mężczyźni pracowali szybko i jak tylko skończyli, zebrali swoje rzeczy, włącznie z ohydny workiem, i zniknęli. Odeszli w noc, główną alejką cmentarza, wcale się nie kryjąc.

- On już nigdy nie wystawi nosa - powiedział jeden z mężczyzn.

Chłopiec i Willow zdrygnęli się na dźwięk jego głosu. Cienki i drżący, brzmiał jak głos umierającego człowieka.

Chłopiec chyba słyszał, jak któryś się roześmiał, ale może mu się zdawało.

Tymczasem Willow opuściła kryjówkę i podkraśla się do grobu.

Przeżony Chłopiec zawahał się, nie wiedząc, co jest bardziej niebezpieczne: pójść za nią czy zostać na miejscu. Zerknął za siebie, na groby szczerzące się w ciemnościach, i wybrał to pierwsze.

Kiedy ją dogonił, kucała na trawie obok grobu.

- Willow - poprosił Chłopiec - chodźmy stąd. Proszę. Po prostu...

- Patrz — przerwała mu. - Prawie nie widać, że tu kopali. Trochę rozrzuconej ziemi, ale poza tym... grób jak grób, tyle że wygląda na nowy.

Wskazała świeżą ziemię.

- Nie wydaje ci się to trochę dziwne?

Chłopiec spojrział na nią z irytacją, której i tak nie mogła dostrzec.

- Poza Cym, że ukradli czyjeś... ciało? - zapytał ironicznie.

- Właśnie! - wykrzyknęła. - Ukradli ciało. No?

Chłopiec pokręcił głową i rozejrzył się w obawie, że hieny cmentarne powrócą lada chwila. Zauważył blade światło na niebie. Wciąż jeszcze zostało dużo czasu do świtu, ale ciemności trochę się rozproszyły.

- Słuchaj - powiedziała Willow - nie znam się na tym za dobrze, ale po co oni zasypywali grób, kiedy już wydobyli... no wiesz?

- Nie wiem - odparł. - No dobrze, to dziwne, ale może lepiej znajdziemy Valeriana i pogadajmy o tym w domu.

- Normalnie po prostu by uciekli... chyba że chcieli zatrzeć ślady.

- Albo ukryć dowody - dorzucił Chłopiec wbrew sobie.

- Albo ukryć kogoś... nie, to zbyt okropne.

W milczeniu spoglądali na świeżą ziemię u stóp. Światło dnia szybko nabierało mocy i kładło się wątlymi smugami na rozległym, posępnym krajobrazie śmierci.

- Słyszałeś...? - rzuciła nagle.

Chłopiec kiwnął głową, mocno zaciskając zęby, żeby powstrzymać wrzask.

Z grobu tuż pod ich stopami dobiegło ciche tykanie. Słabe, lecz wyraźne. Brzmiało coraz głośniejsze, zmieniło się w miarowe stukanie, po czym urwało się nagle.

Chłopiec i Willow przywarli do siebie. Znowu coś zastukało.

Nagle zrozumieli i oboje padli na kolana, gorączkowo rozgrzebując kopczyk luźno usypanej ziemi. Nie została ubita, ale zaczęła już zamarzać w porannym chłdzie, a oni mieli dłonie wciąż obolałe i zdrętwiałe.

Kopali zakrzywionymi palcami, które wkrótce wyglądały jak pecyny błota, wydierali garść za garścią cmentarnej ziemi, aż wreszcie, zziębnięci i wyczerpani, dotarli do wieka trumny.

Było rozbite. Oczywiście, że było rozbite, skoro już wcześniej otwarto trumnę, żeby wydobyć potworną zawartość.

Gdyby nie to, nie mogliby go uratować. Zanim znaleźliby łom czy dłuto, żeby wyłamać wieko, dawno by umarł.

Oslabłymi, mdlejącymi dłońmi podważyli pęknięty fragment wieka i oczom ich ukazała się znajoma postać, kaszłająca, poraniona, przerażona.

Bez słowa odrzucili resztkę ziemi. Chłopiec zaczął ciągnąć nieszczęśnika za jedno ramię, ale natychmiast skowyt bólu rozdarł powietrze. Oboje z Willow zaparli się i wyteżyli wszystkie siły, żeby wydobyć Valeriana z trumny. Wreszcie im się udało.

Valerian, kaszłając i plując, leżał na kupie ziemi zmieszanej z darnią, ledwie żywy, z prawą ręką zwisającą ohydnie pod nienaturalnym kątem.

Chłopiec i Willow wciąż jeszcze na czworakach, dyszeli jak psy, szmatycznie łapiąc oddech.

Droga powrotna do Żółtego Domu była trudna i powolna. Wstał już jasny, błękitny ranek, zanim pokonali połowę odległości. Mozolnie brnęli do przodu.

Chłopiec przyzwyczał się biegać truchtem za Valerianem, który zamasyżuje kroczył przez Miasto, teraz jednak role się odwróciły. Chłopiec i Willow musieli ostrożnie prowadzić maga przez kręte uliczki. Złamana ręka dawała mu się we znaki. Często przystawał, kiedy ogarniała go kolejna fala bólu. Musieli przywiązać mu koniec prawego rękawa do kołnierza, żeby jeszcze bardziej nie uszkodził ramienia, ale zaimprovizowany temblak niezbyt dobrze spełniał swoje zadanie. Willow mało nie zwymiotowała, kiedy układali ramię Valeriana mniej więcej w prawidłowej pozycji, a on wrzeszczał z bólu.

Myśli kłębiły się w głowie Chłopca. Kto to zrobił Valerianowi? Ktoś go pogrzebał żywcem - człowiek z pękniętym głosem i pozostali. Czy tylko dlatego, że przeszkodził im w rabowaniu grobu? Nie, to chyba nie miało sensu.

Chłopiec bał się. Co go jeszcze czeka? Valerian był trudny, niemiły, popędliwy i zgorzkniały, ale przynajmniej zapewniał jakie takie bezpieczeństwo. A teraz to Chłopiec odprowadzał go do domu.

- Już niedaleko, co, Chłopcze? - dopytywał się co chwila. - Już niedaleko?

Chłopiec zadygotał. Do domu było jeszcze bardzo daleko. Czyżby Valerian o tym nie wiedział?

W końcu jednak dotarli do bramy Żółtego Domu.

- Kieszon - wymamrotał Valerian, który ledwie mógł mówić.

Chłopiec pogrzebał w jego prawej kieszeni i wyciągnął wielki pęk ciężkich kluczy.

Trwało chwilę, zanim odnalazł właściwy - nagle zrobił się dziwnie niezdarny.

- Jeszcze chwilę, Valerianie - uspokajała Willow. - Zaraz położymy cię do łóżka. Musisz odpocząć.

Wreszcie Chłopiec przekreślił zapadki zamka i wspólnie zawlekli Valeriana do środka.

Zużył chyba resztki sił, żeby wdrapać się na pierwsze piętro, do swojej sypialni. Zresztą i tak Chłopiec razem z Willow musieli go wtaszczyć na stare drewniane schody i podpierać podczas wędrówki korytarzem.

Posadzili go na łóżku i ściągnęli mu buty. Kiedy wstali, osunął się na pościel. Nie mogli go poruszyć.

- Może to? - zaproponowała Willow, podnosząc kołdrę, którą znalazła w skrzyni u stóp łóżka.

Chłopiec kiwnął głową.

Nakryli go ciemnoczerwoną pikowaną kołdrą.

- Co teraz zrobimy? - zapytała cicho Willow.

Chłopiec nie odpowiedział.

- Lekarz - ciągnęła. - Musimy sprowadzić lekarza.

Chłopiec zawahał się.

- Sam nie wiem - powiedział. - On nie znosi gości. Nie znosi lekarzy. Nie znosi, kiedy ktoś mu przeszkadza.

- Ale ma kłopoty. A my nie możemy nic zrobić.

- Zostaje tylko Kepler. Nawet nie wiem, czy on jest prawdziwym lekarzem, ale...

- Musisz po niego iść - oświadczyła stanowczo. - Musisz go przyprowadzić, żeby nastawił Valerianowi rękę.

- Teraz?

- Tak.

- Ale jeszcze jest wcześnie. Willow, jest wcześnie, a ja prawie nie spałem. Popatrz na mnie! Popatrz na nas.

Ciągle oblepiały ich błoto i ziemia z cementarza.

- Proszę - jęczał Chłopiec. - Taki jestem zmęczony...

Na dźwięk tego słowa Willow poczuła, że wycieka z niej energia.

- No, na razie chyba jesteśmy bezpieczni - powiedziała i spojrzała na Valeriana rozciągniętego na łóżku.

Podeszła i usiadła obok niego, a potem położyła mu rękę na czole. Nie drgnął, ale oddychał.

- Pójdę - przyrzekł Chłopiec, również siadając na łóżku. - Tylko pozwól mi najpierw się przespać.
Spojrzał na swojego pana i fala paniki na chwilę pokonała zmęczenie.
- Valerianie! Valerianie! - zaskomlał, ale nie otrzymał odpowiedzi.
Obejrzał się i zobaczył, że Willow zasnęła.
Oparł głowę na pościeli obok niej i zapadł w sen, głęboki, lecz niespokojny.

7

Chłopiec zbudził się z krzykiem, machając ramionami, odpychając wieko trumny, które we śnie na zawsze odcinało go od światła.

Z rękami wciąż oblepionymi cmentarnym błotem łatwo mógł sobie wyobrazić, że to on, nie Valerian, został pogrzebany żywcem. Co za okropna śmierć!

Rozejrzał się.

Pokój Valeriana. Przypomniawszy sobie zdarzenia minionej nocy. Zbierało mu się na płacz, ale łzy nie popłynęły.

Willow chrapała cichutko, wtulona w bok Valeriana jak kociak przytulony do matki.

Valerian nie zmienił pozycji. Nadal leżał na plecach, raczej nieprzytomny niż uśpiony, odgadł Chłopiec.

A potem Valerian przemówił.

- Nadchodzi! - krzyknął. - Nadchodzi...

Chłopiec poderwał się i usiadł. Nigdy przedtem nie słyszał, żeby ktoś mówił przez sen. Wytrzeszczył oczy na Valeriana.

- Nadchodzi! - wymamrotał znowu Valerian, ledwie otwierając usta. Słowa brzmiały niewyraźnie i bełkotliwie, ale płynęły dalej.

- Czas! Która godzina? Chłopcze, gdzie jesteś?

- Tutaj! - zawołał Chłopiec z przejęciem. - Jestem tutaj, Valerianie!

Ale Valerian nie słuchał.

- Czas... czas ucieka... kiedy? Jaki dziś' dzień... Chłopcze... czas... nadchodzi.
- Co nadchodzi, Valerianie? - dopytywał się Chłopiec.
- Czas.

Czy to była odpowiedź?

- Co nadchodzi? Co się dzieje?
- Czas nadchodzi. Czas nadchodzi - powtórzył Valerian.
- Co się stało, Valerianie? Co się z tobą dzieje? - nalegał Chłopiec w desperacji.
- Czas... czas nadchodzi... księga! Muszę... księgę! Och, proszę... księga... ostatni dzień roku...

Znowu ta księga! Chłopiec uklęknął obok Valeriana, łowiąc każde słowo, nagle jednak usłyszał pukanie do frontowych drzwi i aż podskoczył. Nikt nigdy nie przychodził do tego domu - nikt niezapowiedziany. Nikt nie odwiedzał Valeriana, jeśli Chłopiec go nie wezwał. Zresztą i tak nie pamiętał, żeby wzywał kogoś oprócz Keplera.

Przez chwilę myślał, że się przesłyszał, ale pukanie rozległo się znowu, tym razem głośniejsze. Ktoś się dobijał do drzwi.

- Otwierać! - doleciał okrzyk z dołu.

Chłopiec wybiegł z sypialni i cicho przemknął korytarzem do małego okienka z ołwiową szybą, wychodzącego na ulicę przed domem.

Zobaczył tylko czerwone pióro.

Serce zaczęło mu walić.

Pukanie powtórzyło się, jeszcze głośniejsze.

Chłopiec na palcach wrócił do sypialni i zastał Willow już rozbudzoną. Mrugała niepewnie w silnym świetle późnego poranka.

- Co się stało? - zapytała. - Co to za hałas?
- Strażnicy przed domem! - syknął.

Willow kiwnęła głową.

- Idź i schowaj się w moim pokoju - rozkazał. - Pozbędę się ich.
- Jak? Nie bądź głupi! Musimy uciekać!
- Nie możemy! - zaprotestował Chłopiec, wskazując na Valeriana.
- Musimy tylko poczekać, dopóki nie odejdą.
- Jeśli odejdą - mruknął.

Skulili się na łóżku, nie wiedząc, dokąd uciekać ani gdzie się schować. Słuchali coraz głośniejszego łomotania do drzwi, a serca w piersiach też łomotały im coraz mocniej.

- Otwierać! Rozkazujemy otworzyć!
- Wiedzą, że tu jesteśmy - szepnęła Willow.
- Może tak, może nie - odszepnął Chłopiec. - Tylko się nie ruszaj.
- Otwierać! Osoby w tym domu są podejrzane o morderstwo!

Chłopiec gestem nakazał Willow milczenie.

- Oni chyba nie wiedzą, że tu jesteśmy. Po prostu zaczekajmy. Walenie do drzwi trwało jeszcze przez kilka minut, po czym ustało. Willow zaczęła podnosić się z łóżka, ale Chłopiec powstrzymał ją.

- Czekaj - wymówił bezgłośnie.

I rzeczywiście za chwilę znowu załomotano w drzwi. Wreszcie łomot ucichł, ale Chłopiec wciąż nie pozwalał dziewczynie się ruszyć. Minęło dobre pięć minut, zanim odważył się wstać i podkraść do okna.

- Chyba poszli - oznajmił. - Musimy odejść, zanim wrócą.
- A jeśli zostawili kogoś, żeby pilnował domu?! - zawołała.
- Co to za hałas?

Odwrócili się i wytrzeszczyli oczy.

Valerian stał obok łóżka.

Wyglądał jak trup. Ubranie miał powalane ziemią, zlepione włosy sterczały na wszystkie strony, prawe ramię wysunęło się z zaimprovizowanego temblaka i zwisało bezwładnie przy boku.

- Valerian! - krzyknął Chłopiec.
- Chłopcze, cicho! Nie mogę znieść twoich wiecznych wrzasków i jęków! Potrzebuję spokoju!

Valerian gwałtownie pomachał przed sobą zdrowym ramieniem. Pogrzebał w wewnętrznej kieszeni, wyciągnął coś i podniósł do ust. Odchylił głowę do tyłu, wypił, po czym rzucił przedmiot na podłogę.

Była to szklana buteleczka, niewiele większa od fiołki. Valerian otarł usta wierzchem lewej dłoni i spojrzął na dzieci. Zobaczył, że patrzą na buteleczkę.

- Przeciw bólowi - wyjaśnił. - Jedna z bardziej przydatnych mikstur Keplera.
- Twoja ręka! - zawołał Chłopiec.

- Tak, złamana - przyznał Valerian. - Ale są ważniejsze rzeczy.

- Kto to był - zapytał Chłopiec - na cmentarzu? Kto ci to zrobił?

Valerian zignorował pytanie.

- Mamy dużo roboty, a czas ucieka.

- Nie wierzę! - wrzasnęła nagle Willow. - Nie wierzę! Każesz nam się czołgać po tym cmentarzu przez pół nocy i szukać jakiejś głupiej księgi! Dosłownie pogrzebali cię żywcem, a my wykopaliśmy cię gołymi rękami i zawlekliśmy do domu! A ty nawet nie chcesz nam powiedzieć, o co chodzi! Nienawidzę cię!

Przerażony Chłopiec odwrócił się do niej, a kiedy skończyła, potrząsnął nią mocno.

- Ona nie chciała, Valerianie! - zawołał. - Tylko jest zmęczona i nie musimy...

Ale Valerian podniósł rękę, tę zdrową.

- Nie - zaprzeczył - dziewczyna ma rację. Już czas, żebyśmy wam powiedział. Musimy działać szybko. Wczoraj w nocy postąpiłem jak głupiec. Myślałem, że jak już poznam nazwisko, łatwo znajdę grób, gdzie księga... a potem... A potem głupio zrobiłem, że ryzykowałem na cmentarzu. To byli moi starzy znajomi. Jestem im winien pieniądze... sporo pieniędzy za pewne rzeczy, które kiedyś dla mnie zdobyli. Mniejsza z tym, muszę się streszczać. Widocznie myśleli, że zakopanie mnie to najlepszy sposób na wyrównanie naszych rachunków.

- Ale...

- Słuchajcie. Żyję. Chcę żyć dalej. A w sylwestra stanę przed czymś znacznie gorszym niż kilku brudnych grabarzy, jeśli nie znajdę jakiegoś wyjścia.

Pokiwali głowami.

- Potrzebuję waszej pomocy - oświadczył Valerian i spoglądając na swoje złamane ramię, dodał: - Zwłaszcza teraz.

Jak ona się nazywa? - zapytał Valerian Chłopca.

- Ona się nazywa Willow - odpowiedziała kwaśno.

- Willow - zwrócił się do niej Valerian - Willow, czy pójdziesz do wieży i przyniesiesz jak najwięcej tego?

Wskazał stopą pustą buteleczkę na drewnianej podłodze.

- Stoją w kredensie przy wąskim oknie. Chłopcze, gdzie moje klucze? Szybko! Nie mamy czasu do stracenia.

Chłopiec znalazł klucze na podłodze sypialni, tam gdzie je upuścił.

- Masz! - Valerian wręczył dziewczynie klucz do wieży.

Chłopiec wytrzeszczył oczy. Valerian dał komuś jeden ze swoich kluczy! Dziewczynie, którą ledwie znał! Chłopiec nigdy nie dostał do ręki żadnego klucza, aż do dzisiejszego ranka, kiedy wyciągnął je z głębokiej kieszeni Valeriana.

Willow pobiegła do wieży.

- Teraz, Chłopcze, musisz coś zrobić dla mnie. Traciłem czas, szukając po cmentarzu na chybił trafił. Dlaczego?

- Bo jest za duży - zaryzykował Chłopiec - i za ciemny.

- Częściowo tak - zgodził się Valerian - ale nie tylko dlatego. Myślisz, że to jedyny cmentarz w Mieście?

Chłopiec zrozumiał.

- Nawet nie wiesz, na którym cmentarzu go pochowano? Tego Heehe?

- Właśnie. Poszliśmy na największy, ale są jeszcze inne. I co więcej?

Chłopiec wysilił umysł. Były cmentarze i... kościoły!

- Kościelne cmentarze!

- Dobrze! - wykrzyknął Valerian. - Masz pojęcie, ile kościołów i cmentarzy jest w Mieście?

Chłopiec zastanowił się.

- Tuzin? - zapytał.

- Sto siedem. Ile czasu nam zajmie sprawdzenie wszystkich?

Chłopiec znowu się zastanowił.

- Bardzo dużo czasu?
- Nie - zaprzeczył Valerian - to nam nie zajmie czasu, bo wcale nie będziemy szukali. Najpierw sprawdzimy dokładnie, gdzie jest pochowany Gad Heehe. Musisz kogoś odwiedzić... zarządcę miejskich cmentarzy. Sam powinienem dawno to zrobić, tylko że... to trudny człowiek.
- Twój przyjaciel? - zapytał Chłopiec.
- Valerian spochmurniał.
- Znam go. Przynajmniej znałem dawniej, za czasów Akademii. To jedyne w Mieście źródło trupów do sekcji. No, jedyne oficjalne źródło.
- Valerian dostrzegł pytanie w oczach Chłopca.
- Zastanów się, Chłopcze! Łatwiej zrozumiesz, jeśli powiem: „ciała do pokrojenia”? Żeby badać naturę ludzkiego organizmu. Więc kilka razy załatwiałem z nim interesy, zanim... opuściłem uczelnię. Na Zasięgu stoi dom, jego oficjalna rezydencja. Idź tam i powiedz, że Valerian cię przysłał. Powiedz, że muszę znać lokalizację grobu.
- Chłopiec znał Zasięg. Był w bogatej dzielnicy Miasta. Zanim Valerian go znalazł, Chłopiec często spędzał tam letnie dni, jako żebrak albo - jeśli nikt nie okazał się hojny - jako kieszonkowiec.
- Musisz pójść i dowiedzieć się, gdzie jest ten grób. Tam są rejestrowane wszystkie pochówki, które odbywają się w Mieście. To znaczy wszystkie oficjalne.
- Valerian otrzepał brud z płaszcza.
- Chłopiec namyślał się przez chwilę.
- A co ty zrobisz? - zapytał.
- Wyraz irytacji przemknął przez twarz Valeriana, ale wnet znikł.
- Dziewczyna... Willow i ja pójdziemy do Keplera. Potrzebuję go, żeby mi nastawił ramię. Potrzebuję kogoś do pomocy. Potrzebuję też kogoś, czyli ciebie, żeby poszedł do zarządcy cmentarzy. Znasz drogę, a Willow nie zna. Spotkamy się tutaj wieczorem. Tylko wejdź do domu po zmroku, nie zapalaj światła i nikomu nie otwieraj. Tu jest bezpiecznie.
- Jak wejść do środka?
- Chłopiec przypomniał sobie, jakiego wstrząsu doznał, kiedy próbował się włamać.
- Już pora, żebyś miał własny klucz - uśmiechnął się Valerian.
- Zdjął klucz z kółka i podał Chłopcu.

- Jedyne zapasowe. Nie zgub go. I wracaj tutaj po zmroku z nazwą cmentarza. Zrozumiano?

Chłopiec kiwnął głową, jak zwykle.

- Więc ruszaj! I nie zrób mi zawodu!

Chłopiec odwrócił się do wyjścia.

- Valerianie.

- Co?

- Mówiłeś, że jest trudny. Zarządca cmentarzy. Co to znaczy?

- Zrzedzi. Ma humory. I trudno z nim pracować. W czasach, kiedy go znałem, zajął się jakimś własnymi badaniami. Nigdy się nie dowiedziałem, czym dokładnie. W rezultacie uzyskanie od niego potrzebnych materiałów stało się niemożliwe i musieliśmy poszukać... innych źródeł. To wszystko.

Chłopiec ciągle się wahał.

- Nie masz się czego bać. No idź! - ponaglił go Valerian i popchnął w stronę drzwi.

Chłopiec wybiegł z domu, ściskając klucz, i nawet nie powiedział Willow, dokąd idzie. Tym razem Valerian nie będzie mógł go wyciągnąć z kłopotów.

9

Dawno minęło południe. Chłopiec truchtał po ulicach, z nawyku trzymając się cieni i wąskich zaułków. Nie lubił być zdany na siebie, a jeszcze bardziej się płoszył na myśl o tych strażnikach z ptasimi piórami na głowach i ptasimi mózdzkami w głowach, którzy go szukali.

Był dwudziesty ósmy grudnia. Kolumny szarego dymu z kominów wznosiły się leniwie w górę, na spotkanie czystego, lodowato błękitnego nieba. Wciąż było zimno, zimniej niż przez całą zimę, i wciąż jeszcze nie spadł śnieg.

W Mieście panował ruch, ludzie załatwiali interesy na ulicach i za drzwiami domów.

Chłopiec nie miał nawet czasu się umyć. Idąc ulicami, odrywał zaschnięte błoto oblepiające mu palce. Dostawał od tego dreszczy.

Wkroczył do świata ze snu. Dwa dni temu wszystko było normalne, o ile życie z Valerianem mogło być normalne.

I nagle wszystko się zmieniło. Wprawdzie Valerian już od kilku miesięcy zachowywał się dziwnie, ale teraz wydarzenia nabrały tempa. I były to wydarzenia okropne, budzące grozę.

Święta i uroczystości minęły, zapanował spokój, aż do kolejnego wybuchu frenetycznej radości w Nowy Rok. Jeszcze kilka dni temu Miasto tętniło hałasem i mieniło się kolorami. Chociaż większość mieszkańców borykała się z nędzą, skrzętnie ciułałi i gromadzili wszelkie dostępne luksusy na tę ucztę w środku zimy. Wystarczyło trochę rzadkich suszonych owoców, trochę dobrego wina czy mocniejszego piwa, żeby na kilka dni rozgrzać ich serca i przypomnieć, że zima nie będzie trwała wiecznie, że wiosna wreszcie powróci, wybuchnie zielenią i złotem. Dla nielicznych bogaczy był to czas folgowania zachciankom, czas wręczania i przyjmowania prezentów, ale dla wszystkich święta miały ten sam cel: stworzyć jasną przystań w mroku zimy.

Teraz, tuż przed nadejściem Nowego Roku, panował marazm. To niezwykła pora, pomyślał Chłopiec i wiedział, że zawsze tak czuł. Nawet przed spotkaniem Valeriana, w latach samotności, kiedy gnieździł się jak mysz w ciemnych zakamarkach Miasta, zawsze czuł, że te dni przed Nowym Rokiem różnią się od reszty. To interludium było dziwne i ciche, czas poza resztą roku, jakby czas poza czasem. Zupełnie jakby reszta roku żyła, a te dni były martwe.

Nic dziwnego, że jeśli wkroczył do świata ze snu, zdarzyło się to właśnie podczas martwych dni.

Padał z niewyspania - to jeszcze wzmagało poczucie oderwania od rzeczywistości. Ale przecież naprawdę siedział w więziennej celi, oskarżony o udział w zamordowaniu swojego - i Valeriana - pracodawcy. Korp został zabity w łoży, gdzie Chłopiec spędzał każdą wolną chwilę. Willow i Chłopiec zostali uwięzieni w cytadeli strażników, a Valerian zorganizował śmiałą ucieczkę. Przez pół nocy czołgali się po cmentarzu,

szukając nie zwłok, tylko księgi. A przecież ksiąg należało by raczej szukać w bibliotece. Potem razem z Willow wyciągnął swojego półżywego pana ze świeżo obrabowanego grobu.

Nie, to nie było normalne, nawet jak na życie z Valerianem. A Valerian uprzedzał, że będzie jeszcze gorzej. I Chłopiec nie widział powodu, by wątpić w jego słowa.

Biegł truchtem przez Miasto, z ponurą determinacją wypisaną na twarzy.

10

Gdzie go znalazłeś? - zapytała Willow.

- Zawsze zadajesz tyle pytań? - zirytował się Valerian.

- Tylko kiedy chcę coś wiedzieć - odparła. - Więc gdzie go znalazłeś?

Powoli wędrowali do domu Keplera. Willow umocowała Valerianowi ramię na bardziej odpowiednim temblaku i wsunęła do kieszeni pusty rękaw długiego ciemnego płaszcza. Chwilami zapominała o jego złamanej ręce, bo wcale nie wyglądał na cierpiącego. Widocznie tajemnicza mikstura skutecznie uśmierzała ból.

- Wcale nie widać, że coś ci jest - oświadczyła - dopóki się nie przyjrzę.

- Ja wiem, co mi jest - burknął Valerian i pociągnął mały łycalek z buteleczki.

- No więc? - naciskała. - Gdzie go znalazłeś?

Spojrzał na nią spode łba, zirytowany, ale zbyt senny od narkotyku, żeby naprawdę się rozzłościć. Zaczął mówić:

- Chłopiec spadł z nieba - oznajmił - w pewnym sensie. W kościele. Wszedłem do kościoła... nie żebym miał taki zwyczaj, ale lało jak z cebra, a tam było przynajmniej sucho, jeśli nie ciepło. On siedział w swojej kryjówce. Chyba miał ich dużo. Potrafi się wcisnąć w każdą szparę... dlatego pomyślałem,

że nadaje się do występów. W każdym razie rozmawiałem z... tak się złożyło, że z Korpem. Naszym drogim nieobecny dyrektorem. Umówiliśmy się na spotkanie, żeby zaplanować spektakl. I po chwili Chłopiec spadł mi prawie na głowę. Tutaj, musimy skręcić w tamtą ulicę.

Valerian ruchem głowy wskazał kierunek, a Willow posłusznie skręciła.

- To chyba nie wszystko, Valerianie - podjęła. - Dlaczego on mieszka z tobą? Co robił przedtem?

- Nie wiem, co robił przedtem. Mieszkał na ulicy. Twierdzi, że nic więcej nie pamięta. Chociaż umiał mówić, więc widocznie wychował się gdzieś wśród ludzi.

Willow w zamyśleniu kiwnęła głową.

- A ja nauczyłem go czytać, chociaż okropnie leniwy z niego uczeń... Czy jej się zdawało, czy głos Valeriana nieznacznie złagodniał?

- Pewnie trudno mu było - rzuciła.

- Co? - warknął.

- Samemu sobie radzić. W Mieście. Pewnie było trudno.

Valerian prychnął.

- Może, ale lepiej by sobie radził, gdyby mnie częściej słuchał. Nieważne. W każdym razie zamieszkał ze mną. Zacząłem pracować w teatrze z braku pieniędzy, ale chociaż sam stworzyłem ten numer, potrzebowałem pomocy. Potrzebowałem kogoś własnego... kogoś, kto będzie dokładnie wypełniał moje rozkazy, bez żadnych pytań. Kogoś zaufanego. Chłopiec pojawił się jak na zamówienie. Los tak chciał, rozumiesz.

- Nie bardzo.

- No, bo akurat rozmawiałem z Korpem o moim stanie zdrowia i o przedstawieniu, że jestem prawie gotowy, ale muszę znaleźć odpowiedniego asystenta, i wtedy... spadł mi z nieba. Tak po prostu.

- Rozumiem.

- I wiesz, dziwne, ale od razu wiedziałem, że to on. Zupełnie jakbyśmy zawsze byli razem. To działa.

- Więc czemu tak źle go traktujesz? - zapytała.

- Nie traktuję go źle - zaprzeczył. - On potrzebuje silnej ręki, żeby nim pokierowała. Ma skłonności do lenistwa i głupoty.

Willow chciała stanąć w obronie Chłopca, ale wyczuła nastrój Valeriana i zmieniła temat.

- Ale dlaczego akurat wtedy wypadł z kryjówki?
- Twierdzi, że to, co mówiłem...
- A co mówiłeś?
- Jak sobie przypominam, wyjaśniałem Korpowi, dlaczego potrzebowałem... dlaczego postanowiłem stworzyć numer sceniczny. Kończyły mi się... pieniądze. W rezultacie pewne... kłopoty źle wpłynęły na mój stan zdrowia. Wezwano lekarza. Postawił diagnozę, że jestem albo martwy, albo śmiertelnie chory. Zakładam, że właśnie te słowa tak zdumiały Chłopca, że aż spadł mi pod nogi.

Willow zmarszczyła brwi.

- Martwy albo śmiertelnie chory? - powtórzyła. - Co to znaczy?
- Przypuszczam, że Chłopiec też nie rozumiał. Stąd właśnie wynika mój brak zaufania do lekarzy w ogóle. Ten człowiek był szarlatanem i w żaden sposób nie pomógł mi przeżyć ani wyzdrowieć.
- A Kepler? - zapytała.
- Kepler nie jest zwykłym lekarzem. Kepler w ogóle nie jest zwykłym człowiekiem i z pewnością potrafi uleczyć moje ramię.

11

Tymczasem po drugiej stronie Miasta Chłopiec zbliżał się do celu - szerokiej i stosunkowo czystej ulicy Zasięg. W połowie jej długości stała oficjalna rezydencja zarządcy miejskich cmentarzy. Jak wiele instytucji zajmujących się różnymi dziedzinami życia, zarząd cmentarzy był trochę dziwny. Podobnie jak inne, prowadził działalność w oficjalnej siedzibie swojego zarządcy. Każda instytucja przypominała małe państwko, rządzące się własnymi prawami i zasadami, ze zwierzchnikami wydającymi podwładnym rozkazy i samym zarządcą na czele.

Każda mieściła się w okazałym budynku, pamiętce po zamierchłej i dumnej przeszłości Miasta. Niektóre domy nosiły już wyraźne ślady zniszczenia, zależnie od dobrobytu zajmujących je gildii lub stowarzyszeń.

Oczywiście, wszystkim rządził w ostatecznym rachunku cesarz, jednak nikt się tym nie przejmował. Cesarz Fryderyk był dziwną, niemal nierzeczywistą postacią, ukrytą w Pałacu. Pałac zajmował rozległe tereny na szczycie niskiego wzgórza nad rzeką i stanowił jakby odrębne miasto składające się z wielu budowli w różnym wieku i w rozmaitych stylach. Całość otoczono wysokim murem zwieńczonym blankami. Tytuł cesarza wydawał się raczej gorzkim żartem - żalonym wspomnieniem czasów, kiedy Miastem rządził władca o straszliwej potędze, kiedy istniało jeszcze silne i wspaniałe cesarstwo. Dawne czasy. Przemięło cesarstwo, przemięła potęga i chwała Miasta. Został tylko Fryderyk, ostatni z rodu, bez potomka, który przejąłby po nim rządy.

Upłynęło już ponad dziesięć lat, odkąd ktokolwiek spoza Pałacu widział Fryderyka, a i wtedy widziano go tylko przypadkiem. Życie w Mieście toczyło się właściwie bez niego.

Budynek mieszczący zarząd cmentarzy prezentował się bogato i imponująco. Śmierć to dobry interes, a ponieważ podwładni zarządcy mieli pieczę nad każdą dziedziną pośmiertnego bytowania każdego obywatela, od posług w kostnicy do pochówku i rytuałów pogrzebowych, zarządca był bardzo zamożnym człowiekiem.

Chłopiec stał w bramie naprzeciwko i podziwiał majestatyczną budowlę. Co najmniej tuzin stopni prowadziło do frontowych drzwi, trzykrotnie wyższych od Chłopca, ciężkich i masywnych. Na każdym skrzydle wisiała ogromna, wypolerowana kołatka w kształcie lwiej głowy.

W kamieniu nad drzwiami wyryto inskrypcję.

- Pewno po łacinie, Valerianie - mruknął do siebie Chłopiec z uśmiechem.

Potem uśmiech spętał mu z twarzy. Valerian miał poważne kłopoty, gorsze niż złamana ręka, a Chłopiec musiał znaleźć rozwiązanie.

Przełknął ślinę, rozejrzał się po ulicy i przebiegł na drugą stronę. Zwinnie wbiegł po schodach, wspiął się na palce i uderzył lwią głową o drzwi.

Donośny metaliczny dźwięk wzbudził echo niemal na całej ulicy, ale kiedy Chłopiec obejrzał się nerwowo, zobaczył z ulgą, że nikt nie zwraca na niego uwagi. Niestety, również nikt w budynku niczego nie usłyszał.

Mocniej zastukał kołatką i czekał.

- Boczne wejście - powiedział cichy głos.

Chłopiec spojrział zaskoczony i zauważył małe drzwiczki w potężnej kolumnie, tuż obok głównych drzwi. Drzwiczki prowadziły do mikroskopijnego pokoiku ukrytego w trzonie kolumny. Siedziała tam niewiarygodnie mała staruszka z pomarszczoną, skrzywioną twarzą.

- Przyszedłeś w sprawie śmierci, tak? Z boku.

- Tak... nie... właściwie nie.

Nie przekonał staruszki.

- Śmierć? Tam z boku. Boczne drzwi, rozumiesz? Tam się rejestrujesz.

- Więc co ty robisz? - zdziwił się Chłopiec.

- No - odpowiedziała - mówię ludziom o bocznych drzwiach.

- To wszystko? - upewnił się Chłopiec. - Nic więcej nie robisz?

- To ważne. Ktoś musi ludziom mówić o bocznych drzwiach. Dla śmierci.

Ważne - powtórzyła.

- Ciekawe - rzucił Chłopiec - kto mi powie, dokąd mam iść, jeśli nie chcę zarejestrować śmierci.

Kobieta popatrzyła na niego tępym wzrokiem.

- No - zaczęła, rozglądając się niespokojnie - no, chyba ja mogę ci powiedzieć.

- Och, świetnie - burknął. - Więc dokąd mam pójść, jeśli chcę rozmawiać z zarządcą miejskich cmentarzy?

- No, wtedy pukasz tam do frontowych drzwi i... co? - Zakrztusiła się i urwała. - Co ty wygadujesz? Nie marnuj mojego czasu!

- Ale naprawdę - tłumaczył Chłopiec z przejęciem. - Naprawdę muszę z nim porozmawiać. Mój pan mnie przysłał... nazywa się Valerian. Kazał powiedzieć, że mnie przysłał. Musimy sprawdzić, gdzie ktoś jest pochowany.

- Nie możesz z nim rozmawiać. Myślisz, że byle kto z ulicy może tak po prostu wejść na pogawędkę?

- Mój pan... Valerian jest przyjacielem zarządcy. I musi się dowiedzieć, gdzie jest grób...

- Nie, nie, nie - przerwała mu. - On nikogo nie przyjmuje.

- Ale ja muszę się z nim zobaczyć! - krzyknął Chłopiec.

- Nie! - warknęła kobieta. - On jest bardzo zajęty pracą nad zwierzętami w kopule. Nie ma głowy do niczego innego. Z nikim nie rozmawia.

- Co on robi ze zwierzętami? Przecież chyba ma dużo roboty przy cmentarzach, prawda?

- No, nie wiem o czy wiście, ale on pracuje w kopule ze swoimi zwierzętami od lat i widocznie to bardzo ważne, skoro on jest zarządcą, i widocznie ma związek z grzebaniem ludzi, bo inaczej by tego nie robił.

Chłopiec był zbity z tropu, ale kiwnął głową.

- Co on z nimi robi? - zapytał. - Na co mu zwierzęta?

- No, właściwie na nic. One są martwe, rozumiesz.

Chłopiec poczuł lekkie ułtucie ciekawości. Bez trudu przekonał sam siebie, że powinien koniecznie się dowiedzieć, co takiego robi zarządca miejskich cmentarzy.

12

Chłopiec był w tym dobry. Zawsze lubił łązić po ciemnych zakamarkach, o których nikt inny nie wiedział. Nawet Valerian przyznawał, że Chłopiec świetnie potrafi się ukrywać.

Stojąc znowu na ulicy, dostrzegł coś, co musiało być kopułą, o której wspomniała kobieta. Był to ogromny szklany dach, skonstruowany z setek, może tysięcy pojedynczych szyb. Zakrzywił się na tle nieba czystym, pięknym lukiem. Chłopiec dość długo wałęsał się w pobliżu gmachu, szukając dobrego dojścia, i teraz zapadał już zmierzch. W półmroku kopuła jaśniała blaskiem tysiąca pochodni - tak się wydawało Chłopcu. Wyglądała jak świetlista, rozjarzona krystaliczna bańka, błyszcząca w brudzie Miasta niczym brylant w kupie gnoju.

Chłopiec odszukał małą alejkę prowadzącą między domami. Wąska, lecz solidna żelazna brama zamykała wjazd, ale Chłopiec przelazł przez nią, zanim zdążył się zastanowić, co robi. Gdyby zostawił sobie czas na myślenie, pewnie

by stwierdził, że dobrze się bawi. Całkiem jak w domu. Znalazł się na znajomym gruncie - biegał, wspinał się i ukrywał w ciemności, wypełniając misję dla Valeriana. Normalna rzecz.

Przemknął alejką lekko jak szczur i od razu się zorientował, że spełniała rolę wysypiska śmieci dla okolicznych domów. Mury wznosiły się wysoko po obu stronach, ale jak się spodziewał, małe furtki prowadziły na tylne podwórza każdego budynku.

Łatwo odgadł, gdzie jest furtka do budynku zarządu cmentarzy.

Za murem błyszcząca Kopuła i po raz pierwszy Chłopiec zobaczył kamienną wieżę, na której spoczywała. Trochę go rozczarowało, że lśniący szklany dach w ogóle na czymś się opierał - takie cudo powinno unosić się w powietrzu.

Popatrzył na bramę w kamiennym murze. Nie da rady przeleźć górą - ale Chłopiec wyjął z kieszeni swój wytrych i błyskawicznie wetknął go w zamek.

Brama uchyliła się i Chłopiec podbiegł szybko, lecz ostrożnie, do wieży.

Dzięki wyszukanej kamieniarskiej robocie wspinaczka po murze okazała się równie łatwa, jak wchodzenie po schodach, i wkrótce Chłopiec przywarł do błyszczącego szkła samej kopuły.

Zajrzał do środka i otworzył usta ze zdumienia. Wysłuchał uważnie tego, co starszka w okienku mówiła o zarządcy cmentarzy i jego zwierzętach, ale żadne słowa nie mogły go przygotować na widok, który ujrzał teraz.

13

Zmierzch zapadał nad zimowym miejskim pejzażem, kiedy Valerian i Willow dotarli do domu Keplera. Po drodze Valerian prowadził niemal towarzyską pogawędkę, głównie o Keplerze, który przyszedł na świat jako potomek szlacheckiego rodu, ale odciął się od swoich arystokratycznych korzeni i

wybrał dążenie do wiedzy. Valerian wzniosł oczy do ciemniejącego nieba.

- Koniec dwudziestego ósmego - stwierdził żałobnie. - Trzy dni...

Valerian zadzwonił. Dom Keplera, wąski, lecz wysoki, bynajmniej nie dorównywał rozmiarem rezydencji Valeriana, ale był w znacznie lepszym stanie. Znajdował się w dużo przyjemniejszej okolicy, wśród domów z tarasami, należących do ludzi dobrze sytuowanych, jeśli nie wręcz bogatych.

- Nie świeci się w środku - zauważył Valerian i spochmurniał.

- Mam zastukać? - zapytała Willow, ale Valerian ją powstrzymał.

- Widocznie wyszedł - stwierdził bez przekonania. - Chociaż... on wychodzi nie częściej ode mnie. Zadzwon jeszcze raz.

Willow zrobiła! krok do przodu i wtedy spostrzegła coś jeszcze.

- Valerianie! — szepnęła. - Drzwi są otwarte!

- Ostrożnie, dziecko - ostrzegł Valerian, ale jej nie zatrzymywał.

Pchnął drzwi butem i oboje nasłuchiwali przez chwilę. Ulica za ich plecami była pusta i cicha. Weszli dwa kroki w głąb holu i zamknęli za sobą drzwi.

- Kepler! - syknął Valerian scenicznym szeptem. - Kepler, jesteś tam?

Wydawało się, że nikogo nie ma w domu.

- Chyba możemy zaryzykować trochę światła.

Willow zaczęła przetrząsać kieszenie w poszukiwaniu zapalek. Ze zdumieniem zobaczyła, że Valerian podchodzi do ściany.

Znalazł, czego szukał, i przekręcił małą metalową gałkę w murze. Żyrandol nad ich głowami zabłysnął słabym, migotliwym światłem.

Willow pisnęła cicho.

- Valerianie! Twoja magia jest prawdziwa! - zawołała.

- Nie, Willow, nie - zaprzeczył. - To nie moja magia, tylko geniusz Keplera. Nikt na świecie nie wie tyle co on o elektrycznych zjawiskach. Zainstalował w domu automatyczny system elektrycznego oświetlenia. Powiada, że kiedyś wszystkie domy w Mieście będą tak oświetlone. Oczywiście jest szalony, ale należy podziwiać jego pomysłowość. Moje proste chemiczne światła w teatrze to dziecinne zabawki w porównaniu z tym wynalazkiem.

Valerian wszedł do pokoju na tyłach holu i przekręcił następną gałkę, oświetlając gabinet Keplera.

Willow ruszyła za nim z otwartymi ustami.

- W piwnicy jest duży szereg ogniw elektrycznych - wyjaśnił Valerian, ale niepotrzebnie się wysiłał. Willow nie słuchała, zachwycona cudownym światłem.

- Nie ma płomienia! - zauważyła z niedowierzaniem.

- Nie - potwierdził Valerian - ale skup się, proszę.

- Gdzie on jest? - zapytała, niechętnie odrywając wzrok od magicznego światła.

- Musimy przeszukać dom. Coś jest nie w porządku.

Valerian skrzywił się przy tych słowach.

- Przeklęta ręka! - jęknął.

Pogmerał w lewej kieszeni i wyjął kolejną buteleczkę, chyba już trzecią. Wyciągnął korek zębami i przełknął zawartość.

- Obrzydlistwo! - splunął i postawił buteleczkę na biurku Keplera. - Zacznieś na górze i przeszukasz pokój po pokoju. Jeśli znajdziesz więcej takich - zerknął na buteleczkę - zabierz je ze sobą.

Willow nie ruszyła się z miejsca.

- Valerianie?

- O co chodzi?

- Czy ja muszę iść na górę sama?

- Tak. Jesteś szybsza ode mnie. Nie mów, że się boisz jak Chłopiec. Idź. Zaczekam tutaj na dole.

Odwrócił się do biurka, zaczął otwierać szuflady i wertować książki. Zobaczyła, że ogląda z zainteresowaniem kartkę papieru pokrytą literami i wykresami. Złożył ją niezdarnie jedną ręką i wsadził do kieszeni. Potem szperał dalej, jakby to miało pomóc w znalezieniu Keplera.

Willow zastanawiała się, kto tak naprawdę bardziej się boi wejść na górę. Ale odwróciła się i z sercem w gardle weszła na pierwsze piętro.

Miała ochotę skorzystać z elektrycznego systemu oświetlenia, ale nie była pewna, czy to bezpieczne. Widząc, że Valerian wsadził nos w papiery na biurku Keplera, zapaliła ogarek świeczki pozostały z wyprawy na cmentarz. Zapałki znalazła przy kominku.

Sięgnęła drżącą ręką do klamki pierwszych drzwi, na które natrafiła. Wzięła głęboki oddech, przekreśliła gałkę, delikatnie pchnęła drzwi i czekała. Nic. Trzymając świecę przed sobą, powoli wsunęła się do pokoju. Nikogo tam nie było, niczego dziwnego.

Przechodziła z pokoju do pokoju i nie znajdując niczego podejrzanego, stopniowo zaczęła się uspokajać. Wszystko wyglądało całkiem zwyczajnie. Normalny dom, dom wykształconego człowieka, z normalnymi sprzętami w każdym pokoju. Tylko dziwne elektryczne gałki na ścianach świadczyły, że ten dom różni się od innych. Willow zauważyła, że w sypialni łóżko było poślane, ubrania leżały schludnie poskładane na skrzyniach i każda rzecz stała na swoim miejscu.

Nigdzie nie widziała śladów rabunku czy choćby bałaganu.

Zaintrygowana, wróciła do gabinetu po Valeriana.

Nie było go tam.

Obróciła się gwałtownie, jakby w każdej chwili coś mogło ją zaatakować z tyłu.

Kiedy atak nie nastąpił, odważyła się zawołać:

- Valerianie! Valerianie, gdzie jesteś?!

Na drugim końcu gabinetu zauważyła małe otwarte drzwi. To były sekretne drzwi, zrobione w ten sposób, żeby po zamknięciu nie dały się odróżnić od drewnianej boazerii pokrywającej ściany.

Czy były otwarte, kiedy poprzednio tu weszła? Jak najciszej przekradła się przez pokój.

Valerianie, pomyślała ze złością, gdzie jesteś?

Dotarła do małych drzwi i nie zdziwiła się, widząc wąziutkie schody, które natychmiast zakręcały i prowadziły w dół, pewnie do piwnicy.

- Valerianie! - zawołała.

Niech cię szlag, Valerianie, dodała w myślach, rozgoryczona i wściekła.

Trzymając zapaloną świecę, postawiła stopę na pierwszym stopniu i zaczęła schodzić. Jeszcze dwa stopnie i zobaczyła, że z piwnicy płynie światło - znowu ta dziwna żółta elektryczna iluminacja.

Zdmuchnęła świecę i zeszła na dół.

U podnóża schodów zatrzymała się gwałtownie.

Valerian stał tyłem do niej, całkowicie bez ruchu, wpatrując się w podłogę.

Pod ścianami stały rzędami gliniane koryta, spiętrzone jedne na drugich tak wysoko, że prawie nie zostało wolnej powierzchni. Na szczycie każdej sterty dostrzegła metalowe płyty, od których odchodziły miedziane druty, wijące się leniwie wokół całego urządzenia. W powietrzu wisiał silny zapach chemikaliów. Willow odgadła, że ma przed sobą źródło dziwacznego oświetlenia domu.

Valerian odwrócił się.

- Nic? - zapytał.

- Nie ma nikogo - oznajmiła, podchodząc bliżej.

- Popatrz na to. - Valerian wskazał podłogę.

Willow stanęła obok niego i przyjrzała się uważnie.

Podłoga z mocno ubitej ziemi była twarda jak cegła. Ktoś wykopał w niej liczne rowki, szerokie na kilka palców i równie głębokie, tworzące chaotyczny, skomplikowany wzór. Przecinały się i łączyły, wiły się i skręcały pod dziwnymi kątami, pozornie bez żadnego planu.

Wypełniała je woda. Przynajmniej Willow zakładała, że to woda - w półmroku nie widziała dokładnie. Tak czy owak, to był jakiś płyn, trochę mętny, ponieważ płynął kanalikami z ubitej ziemi. Właśnie płynął, nie stał bez ruchu.

Odwróciła się do Valeriana, żeby zadać pytanie, ale on ją uprzedził.

- Na drugim końcu jest małe urządzenie, które pompuje wodę. Zasilane przez ogniwa, tak jak światło.

Nasuwało się kolejne pytanie.

- Co... to jest? - wydukała.

Valerian nie znał odpowiedzi.

- Nie wiem. Nie mam zielonego pojęcia. Obawiam się, że to znaczy, iż mój przyjaciel postradał zmysły.

Willow zobaczyła jeszcze jedno.

Na ścianie naprzeciwko, po drugiej stronie wodnego labiryntu, zostało trochę wolnego miejsca.

Wymalowano tam pospiesznie grubym pędzlem kilka słów. Willow rozpoznała łacinę.

- Co tam jest napisane? - zapytała.

- Bełkot szaleńca - odparł Valerian ze smutkiem. - „Młynarz nie widzi całej wody, która przepływa przez jego młyn”.

Popatrzył na bezsensownie zrytą podłogę, na zabazgraną ścianę i nie powiedział więcej ani słowa.

Willow usiadła i ukryła twarz w dłoniach. Ogarnęła ją rozpacz. Wplątała się w coś, czego nie rozumiała. Valerian łatwo zdobywał władzę nad ludźmi, kiedy był silny, teraz jednak był słaby i załamany. Potrzebował Willow, ale ona nie potrafiła mu pomóc. Sama potrzebowała przewodnika i opiekuna, a tymczasem jej jedyny przyjaciel biegał gdzieś daleko po Mieście, wypełniając kolejne zwariowane polecenie swego pana.

Długo siedzieli w mrocznej piwnicy, aż wreszcie zegary w całym domu zaczęły wybijać północ.

Kiedy ucichły jeden po drugim, Willow spojrzała na Valeriana, który powoli pokręcił głową.

- Dwudziesty ósmy grudnia minął - powiedział.

29 grudnia

Dzień Nienaturalnych Odkryć

Siedzieli w wieży, popijając herbatę i brandy, przegryzając czerstwym chlebem. Wszyscy troje zagubieni w myślach, wszyscy w ponurym nastroju.

Dochodziła druga nad ranem, kiedy Valerian z Willow wrócili do domu. Chłopiec, który wrócił wiele godzin wcześniej, mało nie udusił dziewczyny, kiedy ją zobaczył. Ścisnął ją z całych sił i nie chciał puścić, dopóki nie wydała zdławionego pisku.

- Jakże to wstrząsające! - mruknął Valerian.

Wyglądał okropnie i jak zauważył Chłopiec, nie nastawiono mu ramienia.

- Keplera nie było? - zapytał.

Ani Willow, ani Valerian nie odpowiedzieli, co samo w sobie wystarczyło za odpowiedź.

- Udało ci się, Chłopcze? - zapytał Valerian.

Chłopcu zrzędała mina. Wbił wzrok w podłogę.

- Przepraszam - powiedział szybko.

- Co? - wykrztusił Valerian.

- Nawet mnie nie wpuścili - tłumaczył się Chłopiec.

- A wymieniałeś moje nazwisko? - zagrzmiał Valerian.

- Mówiłem, że odzwierciedla nawet mnie nie wpuściła do środka.

- Przekleństwo! - wrzasnął Valerian.

Wielkimi krokami przeszedł przez pokój i kopnął stos książek. Stał plecami do dzieci, wpatrując się w podłogę. Ramiona zadrgały mu nerwowo. Wreszcie odwrócił się, już spokojny.

- No, to było Święto Młodzianków - powiedział.

Spojrzeni na niego, nie rozumiejąc.

- Najbardziej pechowy dzień w roku.

Pomyśleli o cmentarzu, pochówku, złamanej ręce Valeriana i bezowocnych wędrówkach przez Miasto, i wbrew sobie wszyscy się uśmiechnęli.

- Przynieś nam jedzenie i picie - polecił Valerian.

Chłopiec poszukał w kuchni i zaniósł to, co znalazł, do pokoju w wieży. Zastał ich przy stole, nad którym wisiała *camera obscura*. Teraz wreszcie Chłopiec zobaczył, do czego służy to urządzenie.

- Chodź, popatrz - szepnęła Willow.

Valerian odwrócił się do niego.

- Nigdy przedtem tego nie widziałeś? - zapytał.

- Nie - zaprzeczył Chłopiec. - Nigdy mi nie pokazałeś.

Valerian wzruszył ramionami.

- Chodź i zobacz.

Urządzenie składało się z dwóch części. Na podłodze stał okrągły stół, z czystą białą tarczą wpuszczoną w blat. Nad nim wisiały drewniane pudła i mosiężne tuby. Tyle Chłopiec już widział. Ale teraz zobaczył, do czego służyły. Na białej powierzchni stołu ujrzał Miasto, rozciągające się wokół domu. Oglądał je jakby ze szczytu wieży, tyle że obraz był lekko zniekształcony; linie, które powinny biec prosto, na przykład krawędzie budynków, zakrzywiały się łagodnie, wypaczone przez oko kamery. Niemniej był to niezwykle obraz zewnętrznego świata, widziany od wewnątrz.

I ruchomy.

Chłopiec patrzył z otwartymi ustami, jak światła migoczą w oknach domów, jak dym, szepcząc, wzbija się z kominów w nocne niebo.

Kamerą kierowała długa drewniana dźwignia i kiedy Valerian nią poruszał, obraz przesunął się i na blacie stołu pojawiał się inny widok z dachu. Widzieli maleńkie figurki, biegające po stole jak mrówki.

- To takie... - zaczął Chłopiec.

- Prawda? - przyznał Valerian niemal z uśmiechem. - Niestety, chociaż takie piękne, odzwierciedla niebezpieczny charakter mojego obecnego położenia.

- Co? - mruknął Chłopiec, słuchając jednym uchem.

Wpatrywał się w ruchomy obraz i próbował sobie wytłumaczyć, że to jest prawdziwe, że to naprawdę się dzieje w tej chwili na ulicach wokół wieży. Co dziwne, spoglądanie z góry na małych ludzików dawało mu poczucie władzy.

- Kazałem to zbudować, żeby zobaczyć niebezpieczeństwo - ciągnął Valerian. - Pełnię tutaj straż, noc po nocy.

Chłopiec podniósł wzrok. Wyczuwał strach Valeriana. Unosił się pomiędzy nimi, niemal namacalny.

- Po co? - zapytał Chłopiec. - Czego wypatrujesz?

Valerian odpowiedział głosem czystym i spokojnym, dźwięczącym obietnicą śmierci.

- Końca - oznajmił. - Jego. Tego. Czegokolwiek. Kepler mówił, że głupio zrobiłem. Że niepotrzebnie kazałem to zbudować. I tak nic mi nie pomoże, nawet jeśli zobaczę, że coś po mnie idzie. Może miał rację, ale w ten sposób przynajmniej zostanę ostrzeżony.

Willow i Chłopiec przysunęli się do siebie i rozszerzonymi oczami patrzyli na Valeriana, który przeniósł spojrzenie z powrotem na stół. Zdrową ręką przesunął dźwignię tam i z powrotem, aż obejrzał całe otoczenie Żółtego Domu, sprawdził wszystkie ulice i zaułki.

Wreszcie oderwał oczy od stołu.

- Znalazłeś coś do jedzenia, Chłopcze? - zapytał.

Usiedli, żeby zjeść, a kamera dalej wyświetlała przyćmiony, lecz bardzo rzeczywisty obraz zewnętrznego świata we wnętrzu wieży.

Valerian zjadł tylko parę kęsów, po czym zamilkł i pogrążył się w zadumie, siedząc w wielkim skórzanym fotelu.

Chłopiec spojrzał na swego pana.

- Musisz jeść - powiedziała Willow, podążając za wzrokiem Chłopca.

My też, pomyślał Chłopiec. Valerian milczał.

- Jak ręka? - zapytał Chłopiec. Potem, kiedy nie otrzymał odpowiedzi, dodał: - Nie powiedziałeś mi. Co się stało? Gdzie jest doktor Kepler?

Valerian wciąż się nie odzywał, więc Chłopiec zwrócił się do Willow:

- Gdzie on jest?

- Ja... on... - zająknęła się i zerknęła na Valeriana. - Zdaje się...

- Zdaje się! - krzyknął Valerian. - Wydaje się! Nie! Kepler naprawdę zniknął, a z tych dziwacznych wykopków w jego piwnicy wnioskuję, że zwariował. Ręka mnie boli coraz bardziej i kończy mi się to.

Pomachał do nich prawie pustą fiolką.

- A potem? - warknął, zrywając się na nogi. - A potem? Kto wie! Lada dzień zostaną ze mnie ochłapy mięsa rozwłózione po tym pokoju!

Zamilkł, kiedy sobie uświadomił, że krzyczy. Chłopiec i Willow wpatrywali się w niego, przywierając do siebie.

Chłopiec poczuł, że potworny strach wpełza mu na kark i ściska za gardło aż do mdłości.

Ale Valerian opanował się i usiadł z powrotem, jakby pogodził się z losem.

Wyjął następną buteleczkę narkotyku. Przy tym ruchu kawałek papieru wypadł mu z kieszeni na podłogę. Willow rozpoznała kartkę, którą Valerian zabrał z gabinetu Keplera.

Chłopiec też zauważył papier i spojrzał na Willow. Oczy miała rozszerzone z ciekawości. Valerian pociągnął długi łyk mikstury, którą słuł kilka haustami brandy. A potem w tej upiornej godzinie nad ranem osunął się bezwładnie w fotelu i natychmiast twardo zasnął, chrapiąc jak bardzo stary człowiek.

2

O świcie kamera wyświetliła piękną wizję budzącego się zimowego miasta, ale wszyscy spali i wizja przeszła niezauważona. Na dachy i wieże spłynęło miękkie różowe światło, które bez wątpienia zapowiadało śnieg. Śnieg wciąż jednak nie padał i Miasto zamarało we własnym brudzie.

W pokoju na wieży zrobiło się zimno i Willow podniosła głowę z poduszki leżącej na podłodze. Ten ruch zbudził Chłopca. Było jeszcze bardzo wcześnie, ale oboje szybko się rozbudzili. Chłopiec czuł się okropnie. Ramiona miał jak z drutu, nogi jak metalowe odważniki, szyję jak żelazna sztaba. Ledwie żył - miał wrażenie, że zmienił się w jedną z maszyn Valeriana, z maszynowym sercem tłoczącym kwas przez żyły, aż wrzeszczały ze strachu.

Nie spał dobrze. Koszmary grasowały w jego głowie, kiedy leżał skulony na podłodze. Powracały niechciane myśli; pytania, które zadała Willow, znowu go dręczyły. Kim byli jego rodzice? Może to ważne. Czy powinien to wiedzieć, żeby zrozumieć, kim jest? Nie miał pojęcia.

Wstał i przeszedł się po pokoju, żeby rozprostować nogi. Odruchowo przystanął przy stole z *camera obscura* i zapatrzył się na ruchomy obraz Miasta budzącego się do życia.

Widząc, że Valerian jeszcze śpi, Chłopiec odważył się dotknąć dźwigni, która przesuwiała obraz. Willow podeszła do niego i patrzyła, jak obraca soczewki, żeby obejrzeć różne sceny.

Na skutek tych zabiegów plamka światła spłynęła ze stołu na podłogę i oświetliła kartkę, którą Valerian niechcący upuścił.

Dziewczyna podniosła kartkę. Twarz jej się ściągnęła.

- Co to jest? - zapytał Chłopiec.

Pokręciła głową.

- Nie wiem. Patrz.

Pokazała mu kartkę.

Chłopiec nie za dobrze umiał czytać, ale zobaczył, że papier pokrywały liczne symbole i znaki, niepodobne do żadnych liter ani słów. Na górze jednak napisano jedno słowo, które potrafił przeczytać z łatwością.

CHŁOPIEC.

Pokręcił głową, nie rozumiejąc, a wtedy Valerian wreszcie się poruszył. Chłopiec pośpiesznie rzucił kartkę na stół.

- Nie możemy długo tutaj zostać - oświadczył Valerian, przecierając oczy zdrową ręką. Ta sama ręka zaczęła niecierpliwie szukać następnej buteleczki, która uśmierzała ból. - Strażnicy będą was szukać z całą pewnością. Może powinniśmy się przenieść do domu Keplera... tam będzie trochę bezpieczniej...

- Ale widziałem coś - powiedział Chłopiec.

- Gdzie? - spytała Willow.

- No, w domu zarządcy cmentarzy.

- Och, zlituj się! - parsknął Valerian.

Przeszedł przez pokój i zaczął majstrować przy kamerze, klnąc pod nosem, kiedy nie mógł sobie poradzić jedną ręką.

- Myślałem, że cię to zainteresuje - ciągnął Chłopiec, zwracając się do pleców Valeriana. - Mówiłeś, że on prowadzi jakieś dziwne badania i tak dalej.

Valerian go zignorował.

- Powiedz mi - poprosiła Willow.

- No, pogadałem sobie z tą kobietą przy bramie. On chyba ma obsesję na punkcie swoich zwierząt. Tylko tym się zajmuje. Ma kolekcję zwierząt, ale same dziwadła... węże z głowami ptaków i psy z kocimi głowami. I koty ze skrzydłami, i wiesz, on ma smoki! Malutkie, ale widziałem wszystkie!

Zagapiła się na niego w zdumieniu.

- Jesteś pewien? - zapytała.

- Widziałem je na własne oczy. Ptasiogłowe węże. Ryby z głowami na obu końcach. I smoki! Tylko że wszystkie są martwe. Myślę, że on chce je ożywić. Myślę, że on wcale nie wykonuje swojej prawdziwej pracy... tylko spędza cały czas w tej wielkiej sali pod szklaną kopułą i pracuje przy zwierzętach.

Willow pokręciła głową.

- Smoki? Prawdziwe smoki?

- Tak - potwierdził Chłopiec. - Maleńkie, ale...

- Baniałuki! - burknął Valerian. Żadne z nich nie zauważyło, że słuchał. - Nie ma czegoś takiego.

- Ale, Valerianie, ja je widziałem!

- Opowiedz - zażądał Valerian. - Co dokładnie widziałeś?

Popatrzył na Valeriana i nagle go znienawidził. Dlaczego przez cały czas musiał go tak okropnie traktować? Chłopiec się starał, zawsze robił, co mu kazano, pracował ciężko, a jednak Valerian tylko go sztorcował, karmił i mieszał z błotem. Także teraz Chłopiec spodziewał się zobaczyć w jego twarzy pogardę, ale kiedy spojrzał mu w oczy, wyczytał w nich szczere zaciekawienie. Valerian słuchał.

- Co widziałeś? - zapytała Willow głosem dodającym otuchy.

- Zwierzęta - odpowiedział Chłopiec. - Mnóstwo zwierząt. Wszystkie dziwaczne. Nigdy nie widziałem żadnego takiego, nawet na obrazku, ani nawet o takich nie słyszałem. Wszystkie leżały na wielkim stole. Na blokach marmuru.

Chłopiec przerwał. Skrzywił się.

- Och! Tyle było krwi.

- Krwi? - powtórzył Valerian z prawdziwym zainteresowaniem.
Ośmielony Chłopiec ciągnął:
- Tak, krwi i... kawałków, od krojenia.
- Tych zwierząt? - upewnił się Valerian.
Chłopiec przytaknął i podrapał się po nosie.
- Więc on przeprowadza sekcje? - zapytał Valerian.
- Kroci je na kawałki - przytaknął Chłopiec. - Pewnie, żeby sprawdzić, dlaczego nie żyją.
- Te zwierzęta... - podjął Valerian - ...wszystkie są dziwne, wynaturzone? Nigdy przedtem takich nie widziałeś?
Chłopiec kiwnął głową.
- I myślisz, że on próbuje je ożywić?
Chłopiec przytaknął.
- I kroci je na kawałki, żeby sprawdzić, dlaczego umarły?
Chłopiec ponownie przytaknął.
Valerian pokręcił głową.
- Nie - powiedział cicho - on ich nie kroci na kawałki. On je z tych kawałków składa.
Chłopiec zamyślił się. Myślał długo i próbował sobie dokładnie przypomnieć, co takiego widział.
- Czy to możliwe? - zapytał Valerian.
Chłopiec kiwnął głową.
- Myślę - powiedział Valerian - myślę, że powinniśmy jeszcze raz odwiedzić zarządcę cmentarzy. Dowiemy się, na którym cmentarzu jest pochowany Gad Heehe!
Zaczął szperać po pokoju, zaglądał do wszystkich kątów, wyciągał rozmaite dziwne przybory i urządzenia.
- Ależ, Valerianie - odezwała się Willo w. - Valerianie!
Valerian dalej buszował po kątach.
- Valerianie! - prawie krzyknęła.
Przerwał.
- O co chodzi?! - odrzyknął. - Nie mamy czasu! Nie ma czasu!
- Miałaś nam powiedzieć. Miałaś powiedzieć, co się z tobą dzieje.
- Tak - warknął - ale nie teraz. Powiem wam po drodze. Masz, Chłopcze, weź to. Ostrożnie! To delikatna rzecz. Willo w, ty weź ten worek, jeśli łaska. Doskonale.

Sprawdziwszy najbliższą okolicę za pomocą kamery, wybiegli z Żółtego Domu. Po drodze Chłopiec spostrzegł na stole kartkę ze swoim imieniem i chwycił ją ukradkiem. Jeśli Valerian jej nie chciał, on ją sobie weźmie. W końcu miała wypisane jego imię - zatem należała do niego, jak rozumował.

3

Ale Valerian nie powiedział im po drodze. Nie powiedział o grożącym mu niebezpieczeństwie.

Zamiast tego w marszu poinstruował ich o działaniu aparatury, którą nieśli, powtarzając tyle razy, aż mniej więcej zrozumieli.

Teraz stali w rezydencji zarządcy miejskich cmentarzy. Niełatwo było dostać się do środka, ale Valerianowi się udało. Potrafił przekonywać ludzi.

Valerian przez długi czas wpatrywał się w kobietę przy drzwiach, spoglądał jej głęboko w oczy, nie mówiąc ani słowa. Wreszcie odezwał się cichym, łagodnym głosem:

- Pójdiesz i powiesz swemu panu, że przyszedł Valerian. Powiedz mu, że mogę ożywić jego zwierzęta.

Chłopiec i Willow patrzyli w zadziwieniu, jak staruszka bez słowa dźwignęła się ze stołeczka i poczłapała wypełnić polecenie. Zupełnie jakby Valerian rzucił na nią czar.

Pięć minut później otworzyły się małe drzwiczki w wielkich drzwiach i cała trójka pospiesznie weszła do środka.

Stali naprzeciwko siebie we wspinałym westybulu, mierząc się wzrokiem. Zarządca był niskim mężczyzną, tylko trochę wyższym od Chłopca. Nie dorównywał Greenowi brzydota, ale i tak przykro było na niego patrzeć. Nos miał cofnięty, oczy małe i ocienione potężnymi krzaczastymi brwiami, włosy

rzadkie i przetłuszczone. Śmierdział okropnie, poplamione ubranie, chociaż w dobrym gatunku, wyglądało jak łachmany.

- Valerianie! Jakże to dziwne znowu cię widzieć.
- Miło mi odnowić naszą znajomość. Ile to czasu minęło?
- Nieważne - uciął zarządca, marszcząc krzaczaste brwi. - Skąd wiesz o mojej pracy?

- Całe Miasto wie o twojej pracy - zełgał gładko Valerian.
Dobry początek, pomyślał Chłopiec, ale zarządca nie odpowiedział.
- Sam podziwiałem twój szlachetny i cenny... wkład w badania tego... przedmiotu - ciągnął Valerian.

On się płacze, pomyślał Chłopiec. Nie wie, co powiedzieć.
- I ufam - zakończył Valerian - że zdołam ci pomóc.
- W czym? - zapytał zarządca cmentarzy.
Valerian otworzył usta jak do odpowiedzi, a potem je zamknął.

- Mówiłeś, że potrafisz je ożywić - przypomniał mu zarządca cmentarzy.
Taką obietnicę Valerian złożył przy drzwiach. Teraz przestąpił z nogi na nogę.

- Tak - potwierdził. - Tak, chyba potrafię.
- Chyba?! - krzyknął gniewnie zarządca cmentarzy, podchodząc bliżej.

Chociaż Valerian przerastał go o głowę, Chłopiec ze zdziwieniem zobaczył, że mag wyraźnie się boi. Jeszcze nie widział, żeby komuś udało się zastraszyć Valeriana.

Zafascynowany, choć zaniepokojony, Chłopiec obserwował walkę pomiędzy dwoma przeciwnikami.

- Chyba!?! - powtórzył zarządca. - Podobno twierdziłeś, że potrafisz to zrobić! Jeśli nie potrafisz, wynoś się stąd i nie marnuj mojego czasu. To ważna praca. Ważna! Muszę myśleć o historii! Jak moje nazwisko ma się zapisać na kartach historii, jeśli nie stworzę tego... arcydzieła?

Zarządca cmentarzy spojrział w twarz Valeriana, potem odwrócił się na pięcie i splunął.

- Wynoście się! - wrzasnął. - Precz stąd!
Valerian zrobił krok do przodu.
- Nie! - krzyknął. - Nie, potrafię to zrobić. Z pomocą dwojga moich asystentów dokonam tego. Pokaż mi zwierzęta. W zamian chcę tylko odrobinę twojej wiedzy.

Zarządca cmentarzy odwrócił się z powrotem do Valeriana i przez długą chwilę przeszywał go wzrokiem.

- Lepiej, żebyś nie żartował - warknął - bo odwiedzisz jeden z moich cmentarzy znacznie szybciej, niż planowałeś.

Kiwnął na nich, otwierając drzwi do kopuły.

- Już odwiedziłem - mruknął Valerian. Zerknął na Willow i Chłopca. -
Módlmy się, żeby się udało.

4

Chłopiec podniósł wzrok na dach kopuły, gdzie przed kilkunastoma godzinami przywierał do zmrożonego szkła niczym człowiek-mucha.

Chłopiec i Willow, którzy spędzili całe swoje krótkie życie w Mieście, przywykli do paskudnych widoków i brzydkich zapachów, ale nic nie mogli się równać z tym. Nawet Valerian zakrył ręką usta i nos.

Wnętrze kopuły wyglądało jak bogata, ozdobna, wymyślnie udekorowana rzeźnia. Cała sala nakryta szklanym dachem przypominała jedno wielkie laboratorium. Solidne, drewniane, starannie wykończone stoły warsztatowe tworzyły półkole. Błat każdego nakrywała gruba marmurowa płyta. Tam zaczynała się groza.

Zwierzęta, zwyczajne martwe zwierzęta, spoczywały wszędzie. Większe gniły w skrzyniach na podłodze, mniejsze okazy wisiały na hakach lub leżały na tacach. Z najciemniejszych kątów dochodziło wycie i skomlenie różnych nieznanym stworzeń.

Fragmenty ciał zostały ułożone na innych stołach. Para psich łap, rząderek wronich skrzydeł i cztery kocie głowy stanowiły upiorny Widok, od którego dzieci spiesznie odwróciły spojrzenia.

Zarządca stał po drugiej stronie sali, przy tym samym stole, gdzie Chłopiec go widział przez szybę poprzedniego wieczoru.

- No więc chodźcie - warknął. - Chodźcie i zobaczcie moje piękne dzieła!

Przywołał ich gestem.

Chłopiec i Willow wymienili spojrzenia, podchodząc razem z Valerianem do zarządcy. Próbowali nie patrzeć na otaczające ich szczątki zwierząt, które jednocześnie fascynowały i wzbudzały odrazę. Przywykli do widoku tusz i półci mięsa wiszących w sklepach rzeźników, ale to - ta drobiazgowo i precyzyjnie sekcja psów, kotów, ptaków, owiec, jeszcze z sierścią i piórami - to było coś innego. Oglądając wypreparowane mięśnie, kości i mózgi, Chłopiec zadawał sobie pytanie, dlaczego istoty żyją, a potem umierają, i na czym polega różnica między życiem a śmiercią.

Potem zrobiło się jeszcze gorzej.

Chłopiec i Willow zrównali się z Valerianem, który stał i oglądał dzieło życia zarządcy.

- Właśnie to widziałem! - szepnął Chłopiec, ale dziewczyna zakryła usta ręką, żeby stłumić krzyk albo powstrzymać się od wymiotów, nie wiadomo.

Przed nimi na marmurowych blatach leżały szeregiem zwierzęta. Na szklanej tacy spoczywało stworzenie wielkości kota. Tułów przypominał łasicę, ale miał długi koci ogon i głowę, która kiedyś należała do dużego ptaka. Nie widzieli żadnych śladów połączeń; najwyraźniej zarządca z czasem doszedł do mistrzostwa.

Obok ptako-łasicy, w zbiorniku wypełnionym cuchnącymi chemikaliami pływała na boku wielka ryba z głową psa. Dalej na blatach Chłopiec dostrzegł kilka psów z kocimi głowami, które przedtem widział z zewnątrz, i koty z głowami ptaków.

A dalej leżały smoki. Na pierwszy rzut oka wyglądały po prostu jak smoki - niedorośle smoki. Najokazalszy z nich, nie większy od małego kociaka, miał tułów szarzielonej jaszczurki i chyba własny ogon, może nawet głowę, ale pozostawały jeszcze skrzydła: wielkie, silne, piękne skrzydła o piórach barwy złocistego wschodzącego słońca zdobiły grzbiet stworzenia.

Z bliska zobaczyli ledwie widoczną, cieniutką żyłkę zwisającą od nasady skrzydła na smoczy brzuch.

Tymczasem Valerian wyłaził ze skóry, żeby oczarować zarządcę. Rozumował, że człowiek owładnięty taką obsesją z pewnością jest nie tylko trochę szalony, ale też wybitnie egocentryczny. Wychwalał więc geniusz zarządcy, jego intuicję i umiejętności.

- I przeklinam pecha, który cię przesiaduje - ciągnął.
- Masz rację! - wykrzyknął zarządca z płonącymi oczami. - To zwykły pech.
Cóż innego nie pozwala ożyć ani jednemu z moich pięknych kreatorów?
- Istotnie - zgodził się Valerian.
- Ja nie tylko składam ciała - ciągnął zarządca. - O nie! Patrz!
Zaprowadził ich do innego stołu, gdzie leżała rozpoczęta robota. Podniósł skórę nad zadem niedużego jelonka i pokazał, gdzie przymocowywał nogi orła.
- Widzisz? Mocuję każdy mięsień do jego odpowiednika, łączę wszystkie tkanki, włókna i ścięgna tak, jak należy. Pamiętam o każdym organie, każdej żyłce i arterii! Pompuję z powrotem całą krew, którą tracą. Dlaczego nie chcą ożyć?
- Istotnie, dlaczego? - powtórzył jak echo Valerian.
Chłopiec i Willow wymienili spojrzenia.
- Żadne z nich nie było chore - gadał dalej zarządca - zanim je tu przywieziono. Wszystkie były zdrowe. Żadnych chorób, nawet skaleczeń. Biorę pod nóż tylko najzdrowsze zwierzęta. Więc dlaczego nie chcą żyć?
- Istotnie - przyświadczył Valerian. - Chyba że...
Zrobił przerwę dla efektu, a zarządca połknął przynętę.
- Co?! - wykrzyknął bez tchu.
- Chyba że... posiadam nieco wiedzy z dziedziny filozofii naturalnej. Może chodzi o to... może potrzebna jest jakaś drobna, lecz niezbędna iskierka, żeby obudzić w nich życie.
- Co to za niezbędna iskierka?
Valerian znowu wyszedł na scenę, pomyślał Chłopiec. Odgrywa swoją rolę, pokazuje magiczne sztuczki, jak co noc od lat na scenie Wielkiego Teatru.
Zarządca wpadł w sidła. Valerian z rozmachem odwrócił się do Chłopca i Willow.
- Aparat! - rozkazał.
Chłopiec i Willow postawili brezentowe worki na podłodze i zaczęli je ostrożnie rozpakowywać.
Zarządca wytrzeszczył oczy. Teraz wyglądał jeszcze bardziej żałośnie: połączenie strachu, podniecenia i ignorancji. Dzieci pod kierunkiem Valeriana ustawiły urządzenie.

Z drewnianej skrzynki Chłopiec wyjął szklaną rurę długości ramienia, grubą na dwa palce. Na obu końcach miała metalowe nasadki i małe nakrętki do mocowania miedzianego drutu.

Willow podniosła swoją część. Był to okrągły przedmiot z drewna i metalu, wielkości wiadra. Przypominał małą beczkę z korbką na jednym płaskim boku. Na nim znajdowała się następna nakrętka, do której Valerian szybko przymocował kawałek miedzianego drutu. Drugi koniec przyczepił do szklanej rury Chłopca.

- A więc - zagadnął - który okaz chcesz najpierw ożywić?

Zarządca, nieprzytomny z podniecenia, podskakiwał i przestępował z nogi na nogę.

- Teraz?! - zawołał. - Możesz to zrobić teraz? Tak po prostu?

- Mogę - oświadczył Valerian grzmiącym głosem. - Pod jednym warunkiem. Zarządca nawet nie zgubił rytmu.

- Tak! Wszystko! Wszystko! Tylko ożyw moje zwierzęta!

- Potrzebujemy informacji. O pogrzebie w Mieście. Przyrzekniesz nam to, jeśli... kiedy ożywie twoje zwierzęta?

- Tak. - Zarządca prawie płakał z przejęcia. - Przyrzekam! Masz moje słowo!

- Doskonale. Pokaż nam swoje najnowsze dzieło. Co ostatnio skończyłeś?

- Smoka! Smoka! - krzyknął zarządca, gorączkowo podskakując w miejscu.

Chłopiec o mało wszystkiego nie zepsuł.

Przenieśli sprzęt w pobliże smoka.

A jeśli naprawdę go ożywimy? - rozmyślał Chłopiec. A jeśli nie ożywimy?

Ale wtedy odezwał się Valerian.

- Teraz! - rozkazał. - Tak, jak ci mówiłem.

Nagle skrzywił się z bólu. Pociągnął kolejny łyk z małej buteleczki i po kilku sekundach spuścił głowę. Kiwnął na nich, żeby zaczynali.

Willow uklękła obok beczki i zaczęła kręcić korbą. Nikt się nie odzywał. W pomieszczeniu narastało prawdziwie elektryczne napięcie. Beczka syczała i trzeszczała.

Potem Chłopiec, który trzymał szklaną rurę, popełnił błąd.

Trzymaj tylko za szkło, ostrzegał go Valerian, ale Chłopiec zapomniał. Rura wyslizgiwała mu się z ręki i w strachu, że ją upuści, dotknął jednej metalowej nasadki.

Natychmiast wrzasnął. Włosy stanęły mu dęba, a stopy lekko zadymiały. Upuścił rurę.

Cudem się nie rozbiła.

- Co to za sztuczki? - ryknął zarządca. - Chcesz mnie ośmieszyć?

Valerian postąpił naprzód.

- Nie, przyjacielu! Nie! To tylko demonstracja ogromnej mocy, którą przelejemy w twoje stworzenia!

Podniósł rurę i wepchnął ją z powrotem do rąk Chłopca.

- Zrób to porządnie, idioto! - syknął mu do ucha. - Bo cię pokroję jak te zwierzaki!

Otepiały Chłopiec znowu ścisnął rurę. Przez parę chwil nie bardzo wiedział, co się dzieje. Miał wrażenie, że usmażono mu mózg. Włosy ciągle stały mu dęba; wyglądał jak wielka szczotka. Czuł się jak wtedy... jak wtedy, kiedy próbował się włamać do Żółtego Domu i odrzuciło go na drugą stronę ulicy.

Chłopiec zrozumiał, że Valerian używał teraz tej samej mocy. Niewątpliwie pokazał mu ją Kepler.

- Jeszcze raz! - krzyknął Valerian. - Willow, bardzo proszę.

Willow znowu zakręciła i tym razem Chłopiec trzymał rurę tylko za szkło. Po minucie Valerian krzyknął:

- Dostyc!

Odebrał rurę od Chłopca.

- Chłopcze! Druty! - rozkazał.

Chłopiec odpiął drut od rury, uważając, żeby dotykać tylko skórzanej osłony, nie metalowych zacisków. Valerian rzucił ostatnie spojrzenie na zarządcę i podszedł do smoka.

- Spójrz! - zawołał melodramatycznie i dotknął jednym metalowym końcem rury nóg stworzenia.

Nogi natychmiast naprężyły się i zadrgały.

Potem Valerian dotknął skrzydeł, które również zbudziły się do życia, rozłożyły się i opadły.

- Ono żyje! - cieszył się zarządca. - Żyje! Ty to sprawiłeś!
Zaczął podskakiwać w miejscu, bijąc się rękami po głowie.
- Wreszcie tego dokonałem! Jestem geniuszem!
Podszedł do Valeriana z szeroko otwartymi ramionami. Valerian cofnął się o krok i podniósł rękę.
- Obiecałeś - przypomniał.
Zarządca uśmiechnął się.
- Czego tylko sobie życzysz! Tylko powiedz.
- Muszę wiedzieć, gdzie jest pochowana pewna osoba.
- Znasz nazwisko? - spytał zarządca, biegnąc pod ścianę.
Tam pociągnął za fioletowy sznur zwisający z sufitu. Zabrzęczał daleki dzwonek i pojawił się jeden ze służących. Wydawał się lekko zdziwiony tym wezwaniem i jeszcze bardziej zdziwiony, że jego pan ma gości.
- Panie? - zapytał.
- Dasz temu człowiekowi, czego zażąda. Będziesz potrzebował alfabetycznego rejestru pogrzebów. Teraz zostawcie mnie! Muszę ożywić jeszcze wiele zwierząt!
Valerian zerknął nerwowo na Chłopca i Willow, którzy wpatrywali się w smoka.
- Tak - zwrócił się do zarządcy - na pewno masz dużo roboty. Zostawimy cię samego. Musisz tylko pokręcić korbą, żeby naładować różdżkę, a potem dotknąć nią zwierzęcia. Możesz zatrzymać urządzenie - do dał łaskawie.
Chłopiec wciąż patrzył na smoka. Zwierzak przestał drgać i spoczywał bez życia na marmurowym blacie, ale zarządca miejskich cmentarzy nic nie zauważył. Za bardzo był zajęty obracaniem korby, mówieniem do siebie, decydowaniem, którego z dziwacznych stworów ożywić w następnej kolejności.
Valerian spojrział na służącego.
- Pozwolisz? - zapytał.
Służący zaprowadził ich do biblioteki pełnej książek zawierających nazwiska zmarłych.
Po dwóch minutach znali odpowiedź, ale nie taką, jakiej Valerian oczekiwał. W rejestrze zmarłych, których nazwiska zaczynały się na literę „H”, znaleźli krótki, wyraźny wpis:
HEEHE, GAD. CMENTARZ MATKI BOSKIEJ ŻAŁOSNEJ, LIPY.

- Lipy? - zapytał Valerian. - Nie znam takiej dzielnicy Miasta.
- Dlatego że to nie jest w Mieście - odpowiedział służący. - To wioska.
- Poza Miastem? - zdziwił się Valerian.
- Poza Miastem? - powtórzył jak echo Chłopiec, nie rozumiejąc. - Musimy wyjść poza Miasto?

5

Minęła dopiero dziesiąta rano, chociaż zdążyli już ożywić fantastyczne martwe potwory i znaleźć miejsce pochówku Gada Heehe, czyli zrobili więcej, niż do nich należało.

Ale nawet nie podejrzewali, jakie zmagania jeszcze ich czekają, zanim dwudziesty dziewiąty grudnia dobiegnie końca.

Ranek był przenikliwie zimny. Stali przed rezydencją zarządcy miejskich cmentarzy, trzęsąc się w cienkich ubraniach. Przechodnie mijali ich pospiesznie, zakutani w futra i peleryny. - I co zrobimy? - zapytał Chłopiec.

- Najpierw - odparł Valerian - musimy stąd odejść. Niedługo ten szaleniec zrozumie, że jego zwierzaki tylko drgają przez chwilę, a wtedy będziemy mieli kłopoty. Jakby nie wystarczyło, że straż już nas ściga.

Willow i Chłopiec prawie o tym zapomnieli. Prawie, ale nie całkiem.

- To znaczy, że nie ożywiłeś ich naprawdę? - spytała Willow.

Valerian prychnął.

- Skąd! Nikt nie potrafi tego zrobić. To tylko sztuczka, którą odkrył jeden z nauczycieli Keplera kilka lat temu. Zabawna, lecz bezcelowa. Jednakże, tak jak zaplanowałem, ogłupiła go na tyle, że dostaliśmy, czego chcieliśmy.

Zagrałeś o dużą stawkę, pomyślał Chłopiec, ale nic nie powiedział.

- A teraz - ciągnął Valerian - musimy się dostać do tej wioski. I to szybko. Musimy znaleźć zajazd z dyliżansami.

- Ja taki znam! - zawołała Willow. - Posłali mnie, żebym przywitała madame w Czarnej Czwórce, kiedy przyjechała do Miasta. Znajdziemy tam dyliżans.
- Dobrze - ucieszył się Valerian. - Prowadź. Potrzebuję tej książki.

6

Czarna Czwórka była porządną gospodą, jedną z najlepszych, jakie Chłopiec widział. Żałował, że nie znał jej w czasach, kiedy mieszkał na ulicy, ponieważ roilo się tam od bogatych i roztargnionych podróżnych, zostawiających swoje bagaże i kosztowności byle gdzie. Aż się prosili, by ich okradać.

Z boku znajdowały się ogromne podwójne wrota, przez które wjeżdżały i wyjeżdżały powozy. Akurat kiedy nadchodzili, ogromny czarny dyliżans ciągnięty przez cztery czarne konie skręcił z drogi na dziedziniec za gospodą.

- Patrz! - powiedziała Willow do Chłopca, ciągnąc go za rękaw. - Całkiem jak na szyldzie!

Wskazała szyld Czarnej Czwórki z namalowanym dyliżansem i końmi.

- Znasz tu kogoś? - zapytał ją Valerian.

- Rozmawiałam z gospodarzem, kiedy madame odpoczywała. Była zmęczona po podróży.

- Biedactwo - rzucił Valerian zgryźliwie. - No więc jak on się nazywa?

- Budge. Albo Bridge, albo jakoś tak.

Valerian mruknął zniecierpliwiony i wszedł w drzwi gospody zamaszystym krokiem, w rozwianym czarnym płaszczu. Wyglądał jeszcze groźniej niż zwykle. Wysoki, czarno odziany, z siwymi włosami opadającymi na ramiona, zazwyczaj wywierał spore wrażenie. Teraz, ze złamaną ręką na temblaku, ukrytą pod płaszczem powalany ziemią i błotem, z płonącymi oczami, przypominał jakiegoś demona.

Kiedy wszedł do gospody, zapadła cisza. Goście i służba zapełniali salę. Wszystkie oczy zwróciły się na Valeriana i dwoje obdartych młodych ludzi, którzy nerwowo szurali nogami tuż za nim.

Valerian zatrzymał się na środku sali.

- Gospodarz? - zapytał, przygważdżając najbliższą posługaczkę swoim najgroźniejszym spojrzeniem.

Dziewczyna, oniemiała ze strachu, wskazała drzwi z mleczonego szkła w kącie sali.

- Zaczekajcie tutaj - powiedział Valerian, po czym wszedł bez zapowiedzi.

Chłopiec i Willow stali i czekali. Stopniowo ludzie w barze przestali się gapić i wrócili do własnych spraw.

- Jak myślisz, co to za księga? - zapytała Willow.

- Co? - bąknął bezmyślnie Chłopiec.

Dlaczego ona zawsze musiała zadawać pytania? Teraz chciał tylko spać. Od trzech dni biegali po Mieście prawie bez jedzenia i bez spania. Marzył, żeby zwinąć się w jakimś ciemnym kącie i zasnąć.

- Księga - powtórzyła niecierpliwie. - W jaki sposób go uratuje?

- Och - mruknął. - Nie mam pojęcia. Ale jeśli Valerian uważa, że to zadziała, pewnie ma rację.

- A w ogóle co się z nim stanie w Nowy Rok?

Chłopiec wzruszył ramionami.

- Zapytaj go - zaproponował.

- Zapytam. Po prostu myślałam, że coś wiesz.

- Głodny jestem - zmienił temat. - Spróbujmy namówić Valeriana, żeby nam kupił coś do jedzenia.

Zgodziła się i oboje nieśmiało wśliznęli się w drzwi, przez które wcześniej wszedł Valerian. Zastali go ściskającego rękę gospodarza.

- Ach, to wy - powiedział tonem dobrego wujka. - Czas jechać. Umówiłem cenę na powóz, który natychmiast zawiezie nas do Lip.

Gospodarz uśmiechał się od ucha do ucha.

- Wprawdzie nie mój najlepszy dyliżans, ale skoro wam się spieszy, to nie szkodzi...?

Valerian kiwnął głową.

- Valerianie - poprosił Chłopiec - możemy dostać coś do jedzenia?

- Owszem - powiedział Valerian. - Obecny tu pan Birch zapakował lunch do naszego pojazdu. Teraz musimy już ruszać. Nie ma czasu do stracenia. Dostał pan swoje pieniądze, czy tak? - zwrócił się do gospodarza.

- Tak, w rzeczy samej, bardzo sowita zapłata - przyświadczył gospodarz. - Wobec tego tędy.

Birch wyprowadził ich tylnymi drzwiami z biura na dziedziniec. Wielki, wspaniały czarny dyliżans, ten sam, który widzieli wcześniej, gotował się do drogi.

- Nasz pojazd? - zapytał przyjaźnie Valerian.

Gospodarz zawahał się.

- Ee... nie. Wasz stoi za nim.

Nie mówiąc ani słowa więcej, odszedł w pośpiechu. Czarny powóz powoli ruszył i odsłonił... nie, to musiał być żart! Mała furmanka, niewiele lepsza niż wóz z sianem, powinna raczej wozić marchew z pola na targ. Nie dawała żadnej ochrony przed kapryсами pogody, na twardych wąskich ławkach ledwie starczało miejsca dla trzech osób.

Do furmanki zaprzęgnięto jednego, bardzo sędziwego konia siwej maści, z sakwą na grzbiecie. Sakwa zawierała lunch, czyli bochenek chleba i torbę marchwi, pewnie dla konia. Równie zgrzybiały woźnica trzymał lejce.

Patrzył na nich, wsysając policzki.

- Kanciarz! - wrzasnął Valerian. - To się nie nadaje! Dokąd on poszedł?

- Po co te nerwy? - odezwał się woźnica. - Zawiozę was tam. Dzisiaj i tak nikt inny nie wyjedzie z miasta. Będzie śnieg.

Valerian wciągnął ze świstem powietrze, jakby miał wybuchnąć.

- Chodźcie - rzucił ponuro.

Wgramolili się na furę.

- Jazda! - krzyknął Valerian.

Woźnica szarpnął lejce i w przyzwoitym tempie wyjechali truchtem przez bramę na ulicę. Wspaniały dyliżans wytoczył się za nimi. Valerian z pewnym trudem, ze względu na ramię, wychylił się do przodu, żeby porozmawiać z woźnicą. Może stary coś wie o tej wiosce, do której zmierzali.

- To tam spotkałaś madame? - zagadnął Chłopiec, wskazując gospodę. Willow odwróciła się do niego z uśmiechem.

- Zabawne. Też właśnie o niej myślałam.

- Możesz jeszcze do niej wrócić - szepnął Chłopiec. - Musisz tylko wyskoczyć. Wracaj do teatru. Ona cię przyjmie z powrotem.

Willow spojrzała na niego smutno.

- Nie - odparła. - Nienawidziłam jej. Ona też mnie nienawidziła. Mam tego dosyć. Zresztą i tak pewnie wydałaby mnie strażnikom za zamordowanie Korpa.

- Nie wierzę, że wolisz pracować u Valeriana - mruknął Chłopiec.

- Nie wolę. To znaczy, ja nie pracuję u Valeriana.

- Więc co tu robisz? - zapytał Chłopiec.

- Nie wiesz? - odpowiedziała tylko.

- Nie. Nie rozumiem.

- Myślałam, że odgadniesz. Powinieneś się domyślić. Tak długo byłeś sam. Te wszystkie lata na ulicy, których teraz nawet dobrze nie pamiętasz. A potem znalazłeś Valeriana, czy raczej on znalazł ciebie.

Zerknęła na Valeriana, żeby sprawdzić, czy wciąż dyskutuje z woźnicą.

- On jest okropny - szepnęła. - Bije cię i zaniedbuje, jest podły, niewdzięczny i złośliwy. A jednak zostałeś z nim. Dlaczego?

- No bo... - zaczął Chłopiec. - Bo chciałem być z kimś.

- Właśnie - zakończyła Willow i spojrzała w bok, na mijane budynki. - Chciałam być z tobą - dodała tak cicho, że Chłopiec nie usłyszał.

Jechali w stronę miejskich murów.

Valerian próbował usiąść z powrotem, niewiele się dowiedziawszy od woźnicy. Chłopiec pomógł mu się usadowić. Valerian stęknął z bólu.

- Bogowie! Ale zimny poranek - wymamrotał.

- Patrz, mamy koce. - Willow poszperała pod bocznymi ławkami, które służyły za miejsce do siedzenia.

Wyciągnęła dwa duże, zżarte przez mole koce, które przyjęli z wdzięcznością. Jednym okryła Valeriana i opatuliła go szczelnie.

- Dziękuję - powiedział i przymknął oczy, chociaż wóz podskakiwał na bruku.

Willow i Chłopiec jak najdokładniej owinęli się drugim kocem. Powoli przeżuwali chleb i marchewki, wdzięczni za trochę jedzenia. Chłopiec jednak myślał o czym innym. Furmanka była odkryta, każdy mógł ich zobaczyć. Chłopiec spodziewał się, że lada chwila otoczy ich oddział czerwonopiórych albo różowopiórych strażników. Ale nikt ich nie ścigał.

Codziennie mnóstwo takich furmanek krążyło po Mieście, przewożąc ludzi i towary. Nikt nie zwracał na nich najmniejszej uwagi. Nikt by nie podejrzewał, że troje podróżnych jadących na tej właśnie furmance wplątało się w niezwykłą i śmiertelnie niebezpieczną historię.

7

Jazda do granic Miasta zajęła im resztę poranka. Panowało dotkliwe zimno i kiedy skuleni pod kocami przejeżdżali pod masywnym łukiem Południowej Bramy, spadły pierwsze nieśmiałe płatki śniegu, zgodnie z przepowiednią woźnicy.

Południowa Brama była ogromną kamienną budowlą, pokrytą płaskorzeźbami. Wykute w kamieniu scenki miały skłonić ludzi do refleksji, a tych, którzy wstąpili na drogę występku, sprowadzić znów na drogę cnoty. Wydawało się, że niemal cała ludność właśnie zgromadziła się wokół Południowej Bramy, na ruchliwym targu. Nikt jednak nie zwracał uwagi na pouczające płaskorzeźby, jako że wszyscy przekrzykiwali się i targowali zawzięcie. Mury miejskie wciąż jeszcze wyglądały odświętnie, obwieszane dekoracjami z jodłowych gałęzi i innej zieleni.

Kilka dni, pomyślał Chłopiec, a wydaje się, jakby minęły miesiące. Martwe dni zwykle ciągnęły się bez końca. W dniach wyrzuconych poza normalny bieg czasu, sam czas znacznie zwalnia tempo. Cały czas i żaden czas. Martwy czas martwych dni.

Wóz podjechał do bramy, przez jedno uderzenie serca osłonił ich wyniosły kamienny łuk, a potem znaleźli się na zewnątrz.

- Wyjeżdżałeś już kiedyś z Miasta, Valerianie? - zapytał Chłopiec.

- O tak - odparł mag. - Mnóstwo razy, chociaż od wielu lat już nie. Ostatnio... ostatnio chyba piętnaście lat temu.

- I od tamtej pory nigdy nie wyjeżdżałeś? - odezwała się Willow.

Valerian milczał zatopiony we wspomnieniach. Potem jakby usłyszał pytanie i pokręcił głową.

- Wystarczyło mi na całe życie - oświadczył. - Na całe życie.
- Jak tam jest? - zapytał Chłopiec.
- Zobaczysz - powiedział Valerian, wskazując zmieniający się krajobraz.

Chłopiec i Willow nie wierzyli, że może być tak mało wszystkiego. Tak dużo pustego miejsca.

Już kiedy zbliżali się do granic Miasta, zauważyli subtelną zmianę. Na obrzeżach gnieździli się najbiedniejsi, zamieszkujący najgorsze rudery. Woźnica nieco przyspieszył, kiedy przejeżdżali przez tę paskudną okolicę, chociaż był środek dnia.

Teraz nie widzieli nic. Dookoła jak okiem sięgnąć rozciągały się puste pola. W oddali czerniał las, a za nim wznosiły się wzgórza. Chłopiec i Willow czuli się obnażeni i bezbronni. Ogarnął ich strach.

Śnieg sypał gęsto. Od kilku dni wisiał w powietrzu jak powstrzymana groźba. Zupełnie jakby cały ten śnieg trzymano w zapasie aż do tej chwili. Świat szybko zniknął pod pierzyną czystej bieli.

Willow znowu zobaczyła siebie jako małą dziewczynkę, bawiącą się w śniegu gdzieś na wsi. Tym razem wspomnienie wydawało się bardziej realne. Była z rodzicami i chyba wybierali się do kogoś z wizytą. Ale nic więcej nie zdołała sobie przypomnieć i wizja się rozwiła.

- Gdzie jest to miejsce? - zapytał Chłopiec. - Lipy?

- Robisz się za bardzo podobny do tej dziewczyny - burknął Valerian z irytacją. - Za dużo pytań.

Pociągnął łyk z butelki.

Ale kiedy Willow zapytała o to samo, ustąpił.

- Pewnie będziemy jechali kilka godzin.
- Byłeś już tam kiedyś?
- Nie.
- Valerianie?

Valerian z pewną trudnością schował buteleczkę z powrotem do kieszeni płaszcza i podniósł wzrok na dziewczynę.

- O co chodzi?
- Valerianie, co się z tobą dzieje? Co się z tobą stanie?

Valerian popatrzył na ośnieżone pola.

- Mówiłeś, że nam powiesz.

Furmanka wlokła się dalej. Woźnica ani razu się nie obejrzał. Śnieg sypał coraz gęstszy, kiedy skręcili w boczną drogę, która zawiodła ich do gęstego zagajnika srebrnych brzoź. Drzewa, огоłocone z liści, sprawiały upiorne wrażenie opuszczenia i smutku. Koła wozu ślizgały się na zamrożonym błocie, tworzącym głębokie koleiny. Wokół panowała absolutna cisza uspiętego lasu.

A kiedy stara szkapo wiozła ich coraz bliżej do grobu Gada Heehe w odległej wiosce, Valerian zaczął mówić.

- Pamiętajcie, jak mówiłem, że ostatni raz wyjeżdżałem z Miasta piętnaście lat temu. Opowiem wam o tej wycieczce.

Byłem wtedy jeszcze młody. Dość młody. Ale już czułem, że czas przemija. Przemija zbyt szybko dla mnie. Opuściłem Akademię. Nie byłem wtedy popularny. Właściwie pogardzano mną. Na moją obronę mogę tylko powiedzieć, że robiłem to, czego moi potulni koledzy bali się robić! Jeśli mnie rozumiecie.

Chłopiec pokręcił głową, ale nie odezwał się, żeby nie przeszkadzać Valerianowi. Czekał na tę historię przez całe lata.

- Jak mam wyjaśnić? Ja też wtedy studiowałem filozofię naturalną. Badałem każdy jej aspekt... rzeczy, które teraz młodszy nazywają „nauką”. Pracowałem pilnie. Jak Kepler pracuje do dziś... jak Kepler. Zgłębiałem wszelkie dziedziny wiedzy naszego świata. Jak my wszyscy. Ja, Kepler i ci, którzy później na mnie donieśli. Żarliwe poświęcenie dla każdej idei, która całkowicie mną zawładnie, to jedna z cech odróżniających mnie od innych ludzi... czasem na lepsze, czasem, nie boję się powiedzieć, na gorsze. Właśnie dlatego, że czułem większą żądzę wiedzy, większy głód i pragnienie, by poznać wszystko, co można poznać, zainteresowałem się co dziwniejszymi aspektami tych badań. Mroczna, tajemna wiedza. Ukryta wiedza. I wkrótce się przekonałem, że nasze nowoczesne myślenie to zaledwie połowa prawdy. Że istnieje ukryty świat, wspaniały i potężny, znany od tak dawna, jak długo człowiek działa i myśli. Powodowany pychą i głupotą, pospieszyłem podzielić się tą wiedzą z kolegami, lecz odtrącili mnie. Podążałem zapomnianymi, czasem niebezpiecznymi ścieżkami poznania, tak, a oni się mnie bali. Wyrzucili mnie! Odwrócili się do mnie plecami! Wzgardzili mną. Rozgniewany, że tak mnie potraktowali, coraz bardziej zgłębiałem się w badania owych tajemnych sił.

Pracowałem ciężko i długo, stworzyłem rzeczy, jakich nie powinienem robić. Przywoływałem moce, których lepiej nie znać. Wzywałem je. Najpierw małe duchy, potem coraz większe, posiadające dostateczną moc, żeby zmienić świat, gdyby tego zapragnęły. Myślałem, że potrafię nad nimi zapanować. I rzeczywiście potrafiłem. Przywoływałem te istoty z ich kryjówek, a one mnie słuchały. Drobne sprawy, jak pieniądze, nie stanowiły już problemu. To było łatwe w tamtych czasach. Demony spełniały moje rozkazy. Teraz nie miałbym odwagi...

Przerwał na chwilę.

Tyle było pytań, które Chłopiec pragnął zadać, ale wciąż bał się przełamać czar. Willow jednak nie miała takich oporów. Zadała proste pytanie.

- Dlaczego?

- Jest coś jeszcze - wyznał Valerian. - Coś, czego wam nie mówiłem. .. a raczej ktoś. Kobieta. Była piękna jak czysty księżyc, który oświetlał moje trudy noc po nocy. Była cudowna. Włosy miała długie i jasne jak złocista kukurydza, ale zawsze ubierała się na czarno. Piękno tego kontrastu doprowadzało mnie do szaleństwa. Tak, była piękna. Więcej niż piękna. Światło tańczyło w jej oczach, takich oczach, jakich nigdy jeszcze nie widziałem. Głos jej płynął niczym strumyk rozmigotany w słońcu, a umysł miała bystry i zarazem swawolny. Wywodziła się z potężnego arystokratycznego rodu. Była bogata i niedosiężna. Nie spójrzałyby nawet na takiego jak ja, wyrzuconego z uczelni. Więc postanowiłem stać się kimś. Kimś znanym, wielkim i bogatym. Wtedy ją zdobędę, tak sobie myślałem. I tak, wyuczywszy się najsilniejszych zaklęć, wywołałem istotę... której nie powinienem wzywać. Myślałem, że mi pomoże, spełni moje życzenia. I spełniła. Nie zważałem wtedy na cenę, jaką przyjdzie mi zapłacić.

Valerian ponownie przerwał i skrzywił się z bólu.

- Spójrzcie na mnie teraz! - rzekł z goryczą, wygrzebując z kieszeni prawie całkiem opróżnioną buteleczkę. Wysączył ostatnie krople i cisnął ją przez krawędź wozu na śnieg. - Wrak człowieka! Ten wóz, który nas wiezie nie wiadomo dokąd w tej zakazanej krainie, równie dobrze mógłby wieźć moją trumnę na cmentarz.

- Nie mów tak! - krzyknął Chłopiec.

- Nie? - rzucił kąśliwie Valerian. - Zostało mi niewiele ponad dwa dni życia, chyba że znajdę jakieś wyjście. Jeszcze wam nie powiedziałem, jaką cenę zgodziłem się zapłacić. Otrzymałem władzę i bogactwo. I ją. Otrzymałem władzę, żeby ją zdobyć. W zamian oddałem swoje życie. Początkowo niewiele sobie z tego robiłem, ale warunki zostały jasno określone. Otrzymałem piętnaście lat. Piętnaście lat, żeby wykorzystać moją potęgę i pieniądze najlepiej, jak potrafię, a potem stanę się własnością demona, którego wezwałem. Moje życie należy do niego. Moja dusza i ciało należą do niego. Skończone. Minęło prawie dokładnie piętnaście lat, odkąd zawarłem ten układ, ten pakt, w środku lasu. W wigilię Nowego Roku. Myślicie, że to dziwne, tak ryzykować?

Ani Chłopiec, ani Willow nie odpowiedzieli.

- Byłem ślepy. Miłość mnie zaślepiła i myślałem, że jedna noc... nawet godzina z nią wystarczy. I byłem zadufany, bo wierzyłem, że w ciągu piętnastu lat znajdę sposób, żeby się wykręcić z umowy. Jaki byłem wtedy sprytny! Jaki głupi! Z biegiem lat stawałem się coraz starszy i mądrzejszy, wtedy dopiero pojawiły się wątpliwości. Wydałem wszystkie pieniądze i nigdy więcej nie wezwę tych mocy, żeby pomogły mi zdobyć więcej.

Willow chciała zapytać Valeriana o imię tej kobiety, ale Chłopiec wyprzedził ją innym pytaniem: - I Kepler pomagał ci szukać wyjścia?

Valerian przytaknął.

- Więc czemu wcześniej się do niego nie zwróciłeś? Czemu czekałeś do ostatnich lat, żeby go poprosić o pomoc?

Valerian odpowiedział Chłopcowi, ale patrzył przez niego na wskroś.

- Kepler i ja rozstaliśmy się w czasie, kiedy zawarłem ten pakt. My... pokłóciliśmy się o coś. Nie spotykaliśmy się przez jakieś dziesięć lat. Ale człowiek wiele potrafi wybaczyć i kiedy znowu do niego przyszedłem, zgodził się mi pomóc w poszukiwaniu księgi.

- O co się pokłóciliście? - chciał wiedzieć Chłopiec.

Cień przemknął przez twarz Valeriana. Pytanie pozostało bez odpowiedzi, ale Willow wyczuła intuicyjnie, że chodziło o tę kobietę.

- Mój czas się kończy - powiedział tylko Valerian. - Moja jedyna szansa to ta księga. Słyszałem o niej i kiedy powiedziałem to Keplerowi, poświęcił wiele

miesiący na poszukiwania. W wiedzy o starożytnych bibliotekach nikt mu nie dorównuje. Gromadził wskazówki na temat do księgi... tu jakaś wzmianka, tam pół zdania... dopóki nie ustaliliśmy, że jeśli w ogóle jeszcze istnieje, znajduje się prawdopodobnie w naszym Mieście. Wtedy uwierziliśmy, że mamy szansę ją znaleźć.

- To księga pełna wiedzy tak starożytnej i potężnej, że powinna również zawierać zaklęcie czy inny sposób na zerwanie umowy, którą zawarłem. Kepler rzeczywiście głęboko wierzy, że znajdziemy tam odpowiedź. Podczas swoich badań odkrył, że to nie jest zwykła książka. Nie tylko zadrukowane stronicy, zapisane informacje. Nie, to coś więcej. Kepler uważa, że sama księga jest magiczna i każdy, kto do niej zagłąda, dowiaduje się czegoś innego... czegoś tylko o sobie, co wypełnia jego myśli, na czym najbardziej mu zależy...

- Od pięciu lat jej szukamy. Jakiś rok temu już myśleliśmy, że ją mamy. Myliliśmy się. Potem kilka miesięcy temu obiecano ją nam i znowu nic. To potężna rzecz i wielu ludzi na przestrzeni lat walczyło o jej posiadanie.

- Liczyłem na to, że sprawy potoczą się szybciej, ale może wciąż jeszcze zostało trochę czasu. Może. Kepler jest tego pewien i pomimo... historii, która nas poróżniła, tylko on może mnie ocalić.

Valerian zamilkł, widocznie myśląc o Keplerze.

Willow patrzyła na niego i zastanawiała się.

- Valerianie? - zagadnęła, strzepując z włosów coraz liczniejsze płatki śniegu.

- Co? - szepnął prawie niedosłyszalnie.

- Ta kobieta. Kobieta, dla której to wszystko zrobiłeś. Co się z nią stało?

Valerian podniósł głowę i jego zimne spojrzenie przeszło dziewczynę na wylot.

- Ona? Ona mnie... odrzuciła. Pomimo wszelkich czarów jednak mnie odrzuciła. Nigdy więcej jej nie widziałem.

Zapadło milczenie.

Willow wciąż chciała poznać jej imię, ale nie mogła się zdobyć na pytanie. Chłopiec dziwił się, jak można tyle ryzykować, tak się poświęcić, zawrzeć taki potworny pakt, wszystko dla kogoś, kto cię odepchnie, ale Willow, patrząc na Chłopca, poczuła, że to rozumie.

Zaryzykować dla kogoś wszystko... tak, rozumiała to.

- Chłopcze - powiedziała cicho - zimno mi.

- Chodź tu - powiedział i objął ją ramieniem.

8

Otoczyła ich cisza, kiedy wóz toczył się przez las zasypany śniegiem. Chłopcem szarpały mieszane emocje, wszystkie niedobre - strach, groza, smutek, żal. Willow czuła litość i przerażenie.

A sam Valerian? Kto wie jakie głębokie i niebezpieczne myśli przebiegały przez jego rozkojarzony umysł?

Martwi dla świata, przemierzali ośnieżony las srebrnych brzoź. Chłopcu wydawało się jakoś niemożliwe, żeby gdzieś rośło tyle drzew i żeby śnieg padał tak długo. A jednak drzewa ciągnęły się bez końca i śnieg sypał nieprzerwanie.

Willow, choć z pozoru zubożętniała na otoczenie, mocno trzymała koc, który ich okrywał. Pod wpływem rytmicznego kotysania wozu Chłopiec zapadł w półsen. Przez chwilę rozum walczył z jego pobudzoną wyobraźnią, a potem wyobraźnia zwyciężyła. Zdawało mu się, że powrócił do swojego ulubionego miejsca: małego, ciemnego i zamkniętego. Lecz gdzieś w pobliżu czaiła się groza, coś, co chciało go skrzywdzić. Umykał głębiej w ciemne zakamarki, bo tam czuł się bezpieczniej, ale polujący na niego stwór znowu podchodził bliżej, coraz bliżej. W tym szalonym świecie snu Chłopiec jakby pozwalał się wyciągać z siebie, aż wreszcie nadeszła odpowiedź i sam stał się ciemnym, ciasnym miejscem, i wtedy osiągnął wolność.

A Valerian?

Albo zemdlał, albo zasnął, kiedy jechali wśród papierowobiałych drzew przez miękki cichy śnieg.

A jednak... a jednak drzewa wreszcie się skończyły.
Pozostała najwyższej godzina do zmierzchu, kiedy wyłonili się z lasu. W oddali leżała mała, nędzna wioska.
Wóznica wypluł jedno słowo przez ramię:
- Lipy!
Potem zaczął śpiewać skrzekliwym, beczącym głosem. Żałosna piosenka pasowała do nastroju pasażerów, wyrwanych z niespokojnej drzemki.

*Rano pewnie myślisz sobie,
Że nie dożyjesz do nocy,
A wieczorem myślisz sobie,
Że nie dożyjesz do rana.
Zanim legniesz w ciemnym grobie,
Tańcz, tańcz, moja kochana.*

Kończył śpiewać, kiedy wjeżdżali do Lip. Wioska składała się z kilku chałup, ze starego młyna i z dziwacznej stodoły. Tym bardziej zdumiał ich widok kościoła - imponującej wiekowej budowli, wznoszącej się w mroku niczym potężna góra.

Tam, za krzywym płotem, leżał ich cel - cmentarz.
Wóznica zatrzymał konia.
- Nie zejdzie nam długo - zapewnił go Valerian.
- Wszystko jedno, ile wam zejdzie - odparł wóznica. - I tak dzisiaj nie wrócimy.
Zsiadł i zaczął wyprzęgać konia.
Valerian chciał się spierać, ale stary nie dopuścił go do głosu.
- Jeśli nie zsiądziesz, zanim wyprzęgnę, to spadniesz - ostrzegł gderliwie. - Chyba tego nie chcesz z tą ręką, co?
Pokonany Valerian zlął na ziemię, krzywiąc się z bólu.
- Pogorszyło ci się? - zmartwiła się Willow.
- Zostało ci coś? - zatroskał się Chłopiec.
Valerian wyciągnął z kieszeni ostatnią, trochę większą buteleczkę magicznego napoju Keplera.
- To wszystko - oznajmił posepnie.
Odwrócił się do wóznicy, który prowadził konia do stodoły.
- Więc gdzie mamy nocować?

Woźnica, nie odwracając się, odkrzyknął:

- Powinniście o tym pomyśleć przed wyjazdem.

Wprowadził konia do stodoły i wszedł za nim. Drzwi się zamknęły. Kiedyś, nie tak dawno temu, pomyślał Chłopiec, Valerian kłóciłby się z woźnicą, zmusił go do posłuchu. Teraz jednak Valerian nie był już tym człowiekiem, któremu Chłopiec służył. Był człowiekiem załamany, prawie wykończonym.

Rozejrzeli się po wiosce. Nawet w zapadającym zmierzchu widzieli ją całą z tego miejsca.

Każdy z trzech domów stał na skrawku ziemi, ogrodzonym niskim drewnianym płotem. Za każdym tłoczyły się niechlujne szopy i przybudówki, a dalej ogródki warzywne. Za ogródkami rozciągały się pola.

Na skraju wioski nad dużym stawem wznosił się młyn. Zamarznięty staw pokrył się już śniegiem. Cała młynówka też wydawała się zamarznięta. Koło młyńskie tkwiło uwięzione w lodzie, z łopatek zwisały długie sople, które na wiosnę runą do strumienia.

Obok stały dwie duże stodoły. W jednej znikł wcześniej woźnica z koniem. Druga była trochę mniejsza. A dalej wznosił się kościół.

Wokół nie było żywego ducha, chociaż w kilku oknach widzieli odbłask ognia. Zapadł wczesny zimowy zmierzch i ludzie szykowali się już pewnie na spoczynek. Za jednym domem szczekał pies. Trzasnęły wypaczone drzwi. Podróżni poczuli się całkowicie opuszczeni.

- Nie lubię wsi - skrzywiła się Willow.

- Hm - mruknął Valerian. - Bywa tu trochę... cicho.

- Co zrobimy? - zapytał Chłopiec. - Gdzie będziemy spać?

- Nie będziemy - oświadczył Valerian. - Po pierwsze, znajdziemy to, po co przyjechaliśmy: księgę. Potem zdobędziemy konia i wrócimy.

- To znaczy... ukradniemy? - upewniła się Willow.

- Jeśli będzie trzeba - odparł Valerian. - Prędzej szlag mnie trafi, niż spędzę noc w tej dziurze.

Umilkł, kiedy uświadomił sobie dwuznaczność własnych słów.

Nie poszło dobrze.
Weszli na cmentarz.

- Musimy znaleźć łopatę - oświadczył Valerian. - Może we młynie... Potknął się i upadł na kolana.

- Przeklęte ramie! - syknął.

Willow i Chłopiec ukłękli obok niego.

- Nie róbcie przedstawienia! - warknął, więc odskoczyli. Dźwignął się na nogi, ale tym razem, kiedy wyciągnęli ręce, żeby mu pomóc, nie odtrącił ich.

Podtrzymując Valeriana z obu stron, doczłapali do kościoła, gdzie oparli go o niską przyporę wystającą z muru.

Potrząsnął głową.

- Wy musicie to zrobić - szepnął. Wypił pierwszy łyk z ostatniej buteleczki i skrzywił się. - Musicie to zrobić we dwoje.

Chłopiec i Willow wymienili spojrzenia.

- Do diabła! - zaklął Valerian. - Nie mogę się ruszać z bólu. Nie mogę chodzić i na pewno nie mogę kopać. Wy musicie to zrobić.

Jednocześnie kiwnęli głowami.

- Chłopcze! Ty idź do młyna. Tam na pewno mają jakąś szufłę do przegarniania kukurydzy. Dziewczyno! Zaczynj szukać. Pamiętaj, Gad Heehe...

- Oczywiście, że pamiętam - przerwała mu. - Przecież to ja odkryłam dla ciebie nazwisko!

Spiurunowała wzrokiem Valeriana, który zwiesił głowę. Podniósł rękę i odesłał ich słabym gestem.

- Chodź - powiedział cicho Chłopiec.

Dzień szybko dogasał, ale światła wystarczyło, żeby zobaczyć nazwiska na nagrobkach, chociaż Willow musiała zdrapać z kilku śnieg, żeby odczytać litery.

Zanim Chłopiec wrócił z łopata, obeszła wszystkie groby na małym cmentarzu. Nie znalazła wśród nich nazwiska Heehe. Chłopiec zastał ją w odległym kącie cmentarza.

- Który to? - zapytał, ściskając drewnianą łopatę na długim trzonku.

Pokręciła głową.

- Żaden z nich. On się pomylił - oznajmiła.

Chłopiec wytrzeszczył na nią oczy.

- Za bardzo się boję, żeby mu powiedzieć.

- Na pewno coś przegapiłaś. Popatrzymy jeszcze raz.

- Chłopcze...

- Nie możemy mu powiedzieć - upierał się Chłopiec. Zerknął na drugą stronę cmentarza, gdzie Valerian opierał się bezwładnie o mur kościoła.

- Poszukamy jeszcze raz.

Więc szukali. Dziwne wrażenie ogarnęło Chłopca, kiedy oglądali nagrobki. Zdawało mu się, że wyszedł z siebie, że wcale nie powinien trafić do tej wioski zasypanej śniegiem. Tak, był głodny, zmarznięty i nieszczęśliwy, ale chodziło o coś więcej. Czuł, że jest w niewłaściwym miejscu, że zmierza w niewłaściwym kierunku.

Chyba miał rację, bo chociaż dokładnie przeszukiwali cmentarz, dopóki nie zapadł zmrok, nie znaleźli miejsca ostatniego spoczynku Gada Heehe.

Kiedy wrócili do Valeriana, wyglądał jak śmierć. Śnieg przestał padać, ale zrobiło się bardzo zimno. Valerian wydawał się stary i na wpół zamarznięty.

Podniósł głowę, kiedy podeszli. Wyczytał wszystko z ich twarzy, nawet nie musieli mu przekazywać złych wieści.

- Nie ma go tutaj, tak? - mruknął, ale to nie zabrzmiało jak pytanie.

Głowa mu opadła.

Chłopiec, wciąż ściskając łopatę, otworzył usta.

- Tylko nie pytaj, co zrobimy - powiedział Valerian, nie podnosząc wzroku - bo nie wiem.

- Musimy się gdzieś schronić - odezwała się Willow.

Chłopiec kiwnął głową.

- Valerianie? - powiedział. - Wejdźmy gdzieś. Tak?

Valerian nie odpowiedział.

- Może tutaj? - zaproponowała Willow, patrząc na kościół.

- Dobrze - zgodził się Valerian. - Pomóście mi wstać.

Niemal z wdzięcznością dźwignęli Valeriana. Nogi dosłownie mu przy-marzły do śniegu. Chłopiec wsunął mu łopatę pod ramię zamiast kuli i powoli powlekli się do przodu.

Znowu poczłapali ścieżką przez cmentarz do drzwi kościoła. Nie były zamknięte na klucz. Wciągnęli Valeriana do środka, gdzie nie docierał ostry, kłuszący wiatr.

Ciężkie dębowe odrzwia zamknęły się za nimi. Otoczyła ich majestatyczna kościelna cisza.

Posadzili Valeriana w ławce z boku nawy. Wszędzie dookoła ołtarza i we wnękach płonęły świece. Zapalone na święta, miały nie gasnąć przez dwanaście dni. Willow ogromnie się ucieszyła na ich widok.

- Chodź - powiedziała do Chłopca i zaczęła je zbierać.

Zanieśli ze dwa tuziny grubych, wysokich, białych jak gęsi smalec świec do ławki, gdzie leżał Valerian, i ustawili przed nim na płytach posadzki. Płomienie łojowych świec dawały sporo ciepła, prawie jak małe ognisko, i Valerian powoli powrócił do życia.

Podpierając się łopatą jak laską, dźwignął się i usiadł mniej więcej prosto.

- No - powiedział - mam dla was pytanie. Co teraz zrobimy?

- Nie żartuj - obruszyła się Willow.

- Wcale nie żartuję - zapewnił. - Wszystko, czego próbowałem, zawiodło. Na każdym kroku ponosiłem porażkę. Każda moja decyzja okazała się błędna i teraz siedzimy w zimnym kościele na końcu świata, nie mamy jak wrócić do domu, a nawet jeśli wrócimy... moja przyszłość nie wygląda różowo. Więc myślę, że może wy dla odmiany zdecydujecie, co robimy dalej.

Co jeszcze możemy zrobić? - pomyślał żałośnie Chłopiec.

- Musimy znaleźć coś do jedzenia - powiedział. - Możemy zapytać w którymś domu. Woźnica przecież gdzieś się zatrzymał. On nam pomoże.

- On? - burknął Valerian. - Ta świnia?!

- No, nie możemy tak tu siedzieć - stwierdziła Willow. Spojrzała na Valeriana, który patrzył w przestrzeń nad jej głową.

- *Non omnem videt molitor aquam molam praeterfluentem!* - powiedział.

- Valerianie! - zawołał Chłopiec. - Przestań! Nie strasz mnie!

Lecz Valerian podniósł się i wskazał na ścianę.

- *Non omnem videt molitor aquam molam praeterfluentem!* - powtórzył.
- Valerianie! - krzyknął Chłopiec. - Przestań!
- Nie! Patrzcie! *Non omnem videt molitor aquam molam praeterfluentem.*
„Młynarz nie widzi całej wody, która przepływa przez jego młyn”. Willow i ja już to widzieliśmy!

Na ścianie za nimi znajdowała się ogromna tarcza herbowa, wymalowana na kamieniu. W środkowym polu widniało koło młyńskie, całkiem jak tamto zamrożone w zimową noc za kościelnym cmentarzem. Szczyt tarczy zdobiło motto, które Valerian właśnie przeczytał.

- Nie rozumiem - powiedział Chłopiec. - Co jest takiego ważnego...

- Patrz! - zawołała Willow. - Tam!

Podbiegła i wskazała nazwisko poniżej herbu.

William Heeche.

- Heeche! To jego rodzinny herb! - powiedział Valerian. - Widocznie to zamożna rodzina. Nie pochowano go na cmentarzu. On jest gdzieś tutaj! Patrzcie! Następny!

Pokazał ręką.

Trochę dalej znajdowała się ta sama tarcza herbowa, ale z innym nazwiskiem. Daniel Hawthorn Heeche.

- Szybko! - krzyknął Valerian, cudownie odzyskując siły. - Szybko!

Ale Chłopiec już biegł przez kościół.

Joseph i Sophia Heeche.

John Israel Heeche.

A potem znalazł. Gad Heeche.

- Tutaj! - zawołał. - Jest tutaj!

Willow podbiegła do niego. Valerian deptał jej po piętach.

- Nie mogę uwierzyć! - wysapał. - On naprawdę istnieje! Czy raczej istniał. Widzę jego nazwisko!

- Ale gdzie on jest? - zapytał Chłopiec. - Przecież nie leży w ścianie.

Valerian odwrócił się i spojrzał na niego ze swoim najbardziej diabelskim uśmiechem. Potem wznosił palec i przechylił go powoli tak, że wskazywał dokładnie pod nogi Chłopca.

- Istotnie - przyznał. - Leży pod tobą.

Chłopiec pisnął i odskoczył. W blasku świecy Willow ujrzeli inskrypcję wyrytą na kamiennej płycie.

- Przynies tę łopatę, co, Chłopcze? - zaproponował Valerian. – Do roboty.
Chłopiec przyniósł łopatę.

- Kiedy go... no wiesz... tutaj położono? - zapytał.

- Nie mam pojęcia - odparł Valerian. - Bo co?

- No, zastanawiałem się, co za... co tam znajdziemy.

- Aha. No, w takim razie spójrzmy na datę.
Valerian przykleknął, krzywiąc się z bólu.

- Daj świecę trochę bliżej, dobrze? Tak. No tak. Kilka lat temu, więc nie masz się czym martwić. Nie będzie zanadto śmierdziało. Zresztą i tak chodzi o księgę, nie o zwłoki.

Chłopiec jednak się wahał.

- Bierz się do roboty - rozkazał zimno Valerian.

Chłopiec wetknął krawędź łopaty w szczelinę pomiędzy kamiennymi płytami. Przechylił trzonek i nacisnął. I upadł na plecy, kiedy łopata pękła. Kamienie nawet nie drgnęły.

Podniósł się na nogi.

- Nic ci nie jest? - zapytała Willow.

- Mniejsza o niego - rzucił Valerian. - Musimy znaleźć coś innego, żeby podważyć kamień. Szybko. Ktoś może wejść w każdej chwili.

Znaleźli ciężki, wysoki świecznik z masywnym szpikulcem, z którego Willow zdjęła świecę.

Włożywszy szpikulce w szczelinę, Chłopiec i Willow razem naparli na świecznik całym ciężarem. Dźwignia była krótsza niż przy łopacie, ale mocniejsza. Płyta nagle drgnęła i uniosła się odrobinę.

- Szybko! - zawołał Valerian. - Podłóżcie coś!

Chłopiec wsunął stopą trzonek łopaty pod krawędź kamiennej płyty. Zmarznięci i wygłodniali po całym dniu bez ciepłej strawy, szybko się zmęczyli. Odpoczywali przez chwilę, dysząc z wysiłku.

- Na co czekacie? - warczał Valerian. - Dalej, do roboty!

Ze znużeniem dźwignęli świecznik i wepchnęli szpic jak najgłębiej pod płytę. Naparli w dół i płyta uniosła się jeszcze trochę.

- Przechylcie na bok - rozkazał Valerian.

Usłuchali. Płyta przetoczyła się po świeczniku i odsunęła znad otworu. Powtórzyli tę czynność kilkakrotnie i całkowicie odsłoniли otwór.

- Teraz kopcie - polecił Valerian, wskazując skrawek odsłoniętej ziemi.

Chłopiec podniósł pękniętą łopatę. Jeszcze jako tako nadawała się do użytku. Zaczął rozkopywać ziemię.

Ustępowała ze zdumiewającą łatwością i zaledwie po kilku minutach brzeg łopaty uderzył w drewno.

Valerian nie potrafił opanować zniecierpliwienia. Pochylał się nad otworem, stękał i przeklinał, kiedy Chłopiec i Willow gołymi rękami rozgrzebywali ziemię.

- Dlaczego zawsze w końcu mu ulegamy? - burknęła dziewczyna, znowu ubrudzona cmentarną ziemią.

- Zamknij się i kop - rzucił Chłopiec.

A potem skończyli. Odsłanili wieko trumny.

- O nie! - jęknął Chłopiec. - Znowu?

- O co chodzi? - zaniepokoił się Valerian.

Chłopiec pokręcił głową.

- Trumna jest rozbita.

Nachylił się i jedną ręką bez trudu podniósł górną część wieka. Tak jak w trumnie, gdzie Valerian o mało nie spoczął na wieczność, jedną trzecią wieka wyłamano. Drzazgi sterczały z nierównej krawędzi lichego drewna.

Chłopiec odrzucił wieko na bok. Zajrzał do środka. Willow stłumiła okrzyk. W trumnie leżał szkielet, prawie czysty. Prawie.

Ramiona miał skrzyżowane na piersi, okrytej strzępami szmat.

I to wszystko. Nie było żadnej księgi.

- Niemożliwe! - krzyknął Valerian. - Poszukajcie dalej! W nogach!

Chłopiec stał bez ruchu. Spoglądał na szkielet i wiedział, że nie potrafi się zmusić, żeby podejść bliżej.

- Rusz się! - krzyknął Valerian.

- Nie... nie mogę - wyjąkał Chłopiec.

Valerian milczał przez chwilę, a potem mocno kopnął świecznik, który potoczył się pomiędzy ławki.

- Ja to zrobię - pospiesznie zaofiarowała się Willow.

Zanim Valerian zdążył coś jeszcze powiedzieć, podniosła świecę i zajrzała w głąb grobu. Potem się wyprostowała.

- Nic - oznajmiła.

- Oszukano mnie! - stwierdził z goryczą Valerian.

- Więc...? - zaczął Chłopiec.

- Tak - powiedział Valerian. - Tak. Zabrałem w ślepy zaułek.

Nie możesz po prostu uciec? - zapytał Chłopiec. - Schować się? Dopóki nie minie ten dzień?

- Gdyby to było takie proste - odparł Valerian - już dawno wyjechałbym na drugi koniec świata. Moc, z którą zawarłem pakt... jest potężna. Wykracza poza czas i przestrzeń. Przyjdzie po mnie wszędzie w wigilię Nowego Roku. Pojutrze.

Siedzieli w kościele przy świecach i próbowali się rozgrzać.

- Ale jest coś jeszcze - powiedział nagle Valerian. - Jak mogłem zapomnieć... motta? Motto rodziny Heehe! Willo w, wspomniałem, że już je widzieliśmy! Gdzie?

- W domu Keplera. W piwnicy. Dlaczego?

Valerian wstał.

- Dlaczego? - powtórzył powoli. - Ponieważ Kepler musiał wiedzieć o Gadzie Heehe. Znał jego rodzinne motto. Może już ma księgę! Idziemy!

- Co?! - zawołał Chłopiec. - Dokąd?

- Z powrotem do Miasta. Znaleźć Keplera. Musimy go znaleźć! On coś wie. Znajdziemy go, a on znajdzie księgę.

- Myślisz, że był tutaj?

- Nie. Nie, nie myślę, ale on wiedział o Gadzie Heehe. Więc musimy się zastanowić, dokąd poszedł.

- Ale jak wrócimy? - zapytała Willow.

W tej samej chwili zegar na kościelnej wieży zaczął wybijać północ.

- Willow - odezwał się Valerian - już czas ukraść konia.

30 grudnia

Dzień Absolutnych Przypadków

Ale nie tak miało się stać.

- Nie! - powtórzyła Willow po raz czwarty, a Chłopiec przestraszył się, że Valerian coś jej zrobi.

- Nie - upierała się. - Nie możesz tak po prostu zabrać komuś konia!

Ale Valerian nic jej nie zrobił. Zupełnie jakby miał do niej słabość. Chłopiec słuchał zdumiony, jak wyklócała się z nim w nieprzerwanie sypiącym śniegu przed stajnią wieśniaka.

- Nie mam już pieniędzy! - wrzeszczał Valerian. - Musimy wrócić do Miasta i nie ma innego sposobu.

W końcu Chłopiec zdołał ich nakłonić, żeby przynajmniej przenieśli kłótnię do środka. W stajni zobaczyli, dlaczego nie znaleźli ani śladu woźnicy - wóz zniknął, podobnie jak stara szkapa.

Ale czuli zapach i dostrzegali sylwetki dwóch młodych koni.

- Ci ludzie nic nie mają! - krzyczała Willow. - Nie możesz im zabrać koni!

- A jeśli nie zabiorę, zginę - burknął Valerian, ale jego słowa nie zabrzmiały tak stanowczo, jak powinny. Chłopiec podejrzewał, że złamana ręka bardzo mu dolega. Chwilami wydawał się majaczyć z bólu.

- To nie ich zmartwienie, prawda? - zauważyła Willow.

- Nie - przyznał Valerian, wyraźnie wyczerpany. - To moje zmartwienie.

Spojrzał jej w oczy. Klótnia na chwilę utknęła w martwym punkcie. Chłopiec wstrzymał oddech i w ciszy zimowej nocy usłyszeli gniewny okrzyk.

Dobiegł od strony kościoła.

Chłopiec wytknął głowę za drzwi i równie szybko ją cofnął.

- Już wiemy, co zrobiliśmy! - syknął. - W kościele! Jest ich co najmniej trzech. Idą w tę stronę!

Valerian spojrział na Willow.

- Kiedy to się skończy, wrócę i kupię im tuzin koni - oświadczył. - Przynajmniej!

Nie odpowiedziała.

Chłopiec podbiegł do niej.

- Willow! No chodź!

Chłopcu nigdy nie przyszłoby do głowy, że kradzież koni jest złem. Dorastając, najpierw samopas, później z Valerianem, odebrał inne lekcje. Jeśli czegoś potrzebowałeś i mogłeś to zabrać bezkarnie, zabierałeś. Willow myślała inaczej i Chłopiec widział, że traktowała to bardzo poważnie.

- Willow! - krzyknął.

- No dobrze! - ustąpiła w końcu. - Biercie! Ale musisz obiecać! Tuzin koni! - dodała pod adresem Valeriana.

- Tak, tak - rzucił. - Szybciej!

Ale już było za późno.

Chłopiec otworzył wrota stajni i zobaczył czterech czy pięciu wieśniaków. Wysocy mężczyźni trzymali pochodnie i ostre narzędzia, błyszczące upiornie w ciemności i wirującym śniegu.

Chłopiec cofnął się w głąb stajni i próbował szybko coś wymyślić, ale bez powodzenia.

- Jedziemy! - krzyknął Valerian.

Popędził ostrogami swojego konia, ale kiedy zwierzę zbliżyło się do swoich panów, przystanęło. Jeden z wieśniaków podniósł rękę i coś szepnął. Koń natychmiast stanął dęba i zarżał głośno. Valerian zsunął się z końskiego grzbietu i spadł na cienką warstwę słomy.

Kiedy uderzył o ziemię, zawył z bólu i zemdłał.

Dwaj mężczyźni wystąpili do przodu i Chłopiec zobaczył za nimi woźnicę. W duchu sklął siebie i Valeriana za głupotę. Nie pomyśleli, że woźnica opowie w wiosce o swoich pasażerach. Drugi wieśniak wyciągnął w stronę Chłopca

solidne widły i wycelował trzema zębami w jego gardło. Niezbyt wysoki, lecz przysadzisty i krzepki, miał brudną twarz, wygarbowaną przez wiatr i pałającą gniewem.

- No - zaczął - mój piękny chłopcze z Miasta, coście zrobili w naszym kościele?

- My? - bąknął Chłopiec.

Wieśniak machnął widłami i trzasnął Chłopca trzonkiem w skroń. Willow przyskoczyła do niego, kiedy upadł obok Valeriana.

- Nie tak szybko! - krzyknął ktoś, ale ona nie słuchała. Chłopiec nie dawał znaku życia.

- Zabiłeś go! - wrzasnęła.

Wieśniak splunął na słomę.

- Jeszcze nie - odparł. - On jeszcze dycha.

Willow z ulgą spostrzegła, że mówił prawdę. Rozejrzała się dookoła. Chłopiec i Valerian leżeli nieprzytomni w cuchnącej stodole, gdzieś w wiosce odległej szmat drogi od Miasta. Otaczała ich banda żądnych zemsty wieśniaków. Sytuacja wyglądała beznadziejnie.

2

Wstał świt trzydziestego grudnia, ale Chłopiec i Willow nie widzieli, jak wstawał. Valerian w ogóle nic nie widział.

Chłopiec szybko oprzytomniał po ciosie w głowę. Pomacał ręką, poczuł krew i rozciętą skórę. A potem zwymiotował na słomę. Głowa pękała mu z bólu.

Wieśniacy zaprowadzili Willow i Chłopca z powrotem do kościoła, a Valeriana zanieśli niezbyt delikatnie.

Zaciągnęli ich do dziury w kościelnej posadzce, miejsca wiecznego spoczynku Gada Heehe. Widząc ją ponownie, Willow przeraziła się, że dokonali takich zniszczeń.

- To wasza robota? - spytał mężczyzna o zapadniętych policzkach.
Chłopiec za bardzo się bał, żeby odpowiedzieć. Willow rozumiała, że nie ma sensu zaprzeczać, ale nie mogła się zdobyć na przyznanie się do winy. Potem odezwał się wieśniak z widłami:

- Co z nimi zrobimy?
- Zabijemy ich od razu - zaproponował jeden.
- Powinniśmy posłać po straż - podsunął wyższy, bardziej nerwowy.
- To zabierze kilka dni - sprzeciwił się ten z widłami. - Utopimy ich w młynówce.
- Przecież zamarzła, ty głupcze! Musiałbyś wyrąbać przerębę, a to robota na parę godzin.

Tak się sprzecali i w końcu postanowili zamknąć więźniów w krypcie, zanim postanowią, co z nimi zrobić.

Mężczyzna o zapadniętych policzkach popchnął Chłopca i Willow przed siebie, groźnie wywijając kosą. Na samym końcu kościoła, w kącie nawy, otwierało się niskie łukowe przejście. Cztery stopnie prowadziły od niego w dół do metalowej kraty. Wieśniak o zapadniętych policzkach, który najwyraźniej tu dowodził, posłał młodszego po klucze. Posłaniec wrócił nie tylko z kluczami, ale i z kobietami z wioski, żądnymi sensacji.

Człowiek o zapadniętych policzkach otworzył bramę do podziemnego świata i pokazał palcem.

Chłopiec i Willow zawahali się, ale kiedy wieśniak pogroził im kosą, zanurzyli się w ciemność. Za kratą znajdowało się jeszcze co najmniej tuzin stopni, które zakrecały pod budynek kościoła. Na dole przystanęli. Nie mieli wyboru, ponieważ otaczała ich kompletna ciemność.

Rozległ się szmer jakby umykającego zwierzątka, potem za ich plecami buchnęły iskry i zobaczyli, skąd dochodził hałas - wieśniacy zrzucili ze schodów płonąca pochodnię, żeby oświetlić drogę. Znieśli Valeriana, i rzucili go brutalnie na ziemię.

- Ciężki - zauważył jeden z wieśniaków, zanim odeszli. Ten nerwowy pochylił się i podniósł pochodnię.
- Proszę! - zawołała Willow. - Proszę, zostawcie nam trochę światła!

Starła się przybrać możliwie żalosny ton, co przyszło jej bez trudu. Wieśniak spojrzął na nią i przypomniał sobie własną córkę, śpiącą bezpiecznie w swoim łóżku w chacie.

Bez słowa podał dziewczynie pochodnię i ruszył za towarzyszami po krętych schodach z powrotem do kościoła.

Chłopiec rzucił się za nim, ale brama została już zamknięta i zaryglowana.

- Proszę - błagał przez kraty - czy możemy dostać koc dla Valeriana? Ten o zapadniętych policzkach zmierzył go wzrokiem.

- Nie - odparł.

Kroki mężczyzn przebrzmiały na czterech kamiennych stopniach i ucichły.

3

Krypta była mała - ciasny pokoik z łukowym sklepieniem tak niskim, że czuli się jak uwięzieni w szkatułce. Pośrodku stał duży kamienny sarkofag, a pod obiema dłuższymi ścianami umieszczono po trzy urny z nagrobkami upamiętniającymi zmarłych, których kości spoczywały w środku.

Na jednej krótszej ścianie zamocowano żelazny uchwyt, w który Willow wetknęła pochodnię. Chłopiec odwrócił się od kraty i zszedł na dół.

- Nic z tego - oznajmił. - Zamknięta na glucho.

Pokręcił głową.

- Chyba nie muszą pilnować, żeby ludzie stąd nie uciekali?

- Nie - zaprzeczyła. - Chodzi o to, żeby ludzie tu nie wchodzili. Żeby nie...

- Kradli zwłok. - Chłopiec dokończył zdanie, którego nie potrafiła wypowiedzieć na głos.

- Chłopcze! - krzyknęła nagle. - Co my robimy? W co się wpakowaliśmy?

- To znaczy ty - sprostował. - Ja zawsze w tym tkwiłem. Robiłem wszystko, co kazał. Ty miałaś wybór.

Spojrzała na Valeriana.

- Zobaczmy, co możemy dla niego zrobić.

Podnieśli mu głowę, poskładali szeroki kołnierz płaszcza i oparli głowę z powrotem. Ręka wyglądała gorzej. Wydzielała wyraźny nieprzyjemny zapach. Szczelnie nakryli ją płaszczem.

- Gdzie jest ta ostatnia buteleczka? - zapytała Willow.

Chłopiec pogrzebał w kieszeniach Valeriana i wydobył resztki mikstury Keplera.

Ponownie unieśli Valerianowi głowę i włali mu do ust odrobinę rzadkiego zielonego płynu.

Przełknął odruchowo i zakaszał.

Chłopiec powąchał płyn, zanim ponownie zakorkował buteleczkę. Skrzywił się. Nagle owładnęła nim paląca ciekawość. Kiedy Willow układała głowę Valeriana z powrotem na kołnierzu płaszcza, Chłopiec, zatykając nos, pociągnął mały łyżeczek z butelki.

Zakrztusił się, ale przełknął. Natychmiast poczuł ogień rozchodzący się po ciele. Smak był okropny, ale wkrótce zastąpiło go cudowne uczucie - wrażenie siły, potęgi i lekkości. Nie czuł się tak dobrze od wielu dni, od wieków, i to mu się podobało.

Już go nic nie bolało, nie czuł też głodu, zmęczenia, strachu. Spojrzał na buteleczkę w rękę, a potem na Valeriana, który powracał do przytomności.

Willow obejrzała się na Chłopca.

- Co ty robisz? - zapytała.

- Nic - odpowiedział. - Nic.

Uśmiechnął się. Sam się dziwił, że czuł taki spokój, pewność siebie, wręcz zadowolenie.

- No - zagadnął - co teraz zrobimy?

Willow załamała się na jego oczach.

- Co możemy zrobić? - jęknęła. - Siedzimy zamknięci w kamiennej dziurze pod ziemią, pod kościołem, w zapomnianej przez Boga wiosce, taki kawał od domu. Valerianowi zostały dwa dni, jeżeli nie znajdziemy księgi, ale ciągle nie wiemy, gdzie jej szukać!

Urwała.

- Nie wiemy? - odezwał się głos za jej plecami.

Valerian patrzył na nich przytomnie. Dźwignął się na jednej ręce, a potem podniósł się na nogi. Willow była zdumiona, ale Chłopiec już nie. Znał sekret ukryty w zielonym płynie Keplera.

- Chłopcze! - zawołał Valerian, szperając po kieszeniach. - Gdzie jest moja butelka?

- Tutaj. - Podał mu flaszeczkę. - Daliśmy ci trochę. Myśleliśmy, że to pomoże.

Nie potrafił ukryć uśmiechu na widok Valeriana przywróconego do życia, a Valerian odpowiedział mu takim samym uśmiechem, odbierając od niego butelczkę zdrową ręką.

Chłopiec poczuł się silny i szczęśliwy.

Valerian spojrział na butelczkę, opróżnioną do połowy.

- Mielicie rację - powiedział - ale już mało zostało. No, czas się za brać do roboty.

Na chwilę położył rękę na policzku Chłopca, potem jakby się opamiętał i natychmiast cofnął dłoń. To się stało tak szybko, że Chłopiec sam nie wiedział, czy mu się nie zdawało.

- Ale co możemy zrobić? - zapytała Willow.

Valerian odwrócił się do niej, ze złamaną ręką luźno dyndającą z boku.

- Przestań, dziewczyno, to do ciebie niepodobne! Przecież to on zwykle okazuje słabość.

Chłopiec parsknął śmiechem. Nawet mu nie przeszkadzało, że Valerian z niego żartuje. Czuł się świetnie i już.

Valerian zaczął okrażać kryptę. Rozglądał się z coraz szerszym uśmiechem na twarzy.

- Nie wiemy wszystkiego o tym kościele - oświadczył. - Na pewno jest coś jeszcze... to za wielki kościół na taką dziurę jak Lipy.

Położył rękę na wieku sarkofagu.

- Słuchajcie! - zawołał. - Słuchajcie! Słyszycie?

Willow wytrzeszczyła na niego oczy, przekonana, że zwariował. Chłopiec, który spędził z Valerianem parę lat więcej niż ona, zorientował się, że jego pan na coś wpadł.

- Co? - zapytał.

- Słuchajcie! - syknął Valerian, zataczając się lekko. - Nie! Patrzcie!

Wskazał na ścianę krypty, naprzeciwko tej, na której Willow zatknęła pochodnię. Tam również widniały tajemnicze słowa.

Non omnem videt molitor aquam molam praeterffuentem.

- „Młynarz...?” - zaczął Chłopiec.

- „... nie widzi całej wody, która przepływa przez młyn” - dokończyła Willow.

- A obok kościoła stoi... Chłopcze! Co?

- Młyn! - stwierdził stanowczo Chłopiec.

- Właśnie! - przytaknął Valerian.

- Nie rozumiem! - zawołała Willow. - Co to znaczy?

- To znaczy - oświadczył Valerian - to znaczy, że to nie tylko motto! Rodzinne powiedzenie, może, ale nie tylko. Słuchajcie! Przyłóżcie uszy do sarkofagu i słuchajcie!

- Do... do czego? - bąknął Chłopiec.

- Do sarkofagu, Chłopcze! Przecież wiesz, co to jest sarkofag, prawda? Znasz grekę! Zjadacz ciał. Sarko-fag.

Chłopiec spojrział na niego tępo.

- Kamienna trumna, Chłopcze!

Willow już zrozumiała i stanęła na palcach, żeby przyłożyć ucho do pokrywy sarkofagu.

- Zdawało mi się, że coś słyszałem, kiedy leżałem na podłodze. Słabo, ale przez kamień słycać lepiej.

Chłopiec podbiegł do Willow. Nie musiał nawet przykladać głowy do kamiennej skrzyni, żeby usłyszeć szum wody płynącej gdzieś pod spodem.

- Valerianie! - zawołała dziewczyna. - Valerianie! Patrz! Czy to...?

Wpatrywała się we wzór wryty na wieku trumny.

- Tak. Ten sam wzór, który Kepler wrył w podłódze swojej piwnicy, powtarza się tutaj, na pokrywie tego rzekomego grobu!

Rzeczywiście wieko sarkofagu przecinały głębokie rysy, chaotycznie splecione, krzyżujące się i rozdzielające. Willow, chociaż nie pamiętała dokładnie, rozpoznała wzór.

Chłopiec zagapił się na nią.

- Co to jest? - zapytał.

- To znaki - wyjaśniła. - Takie same doktor wrył w podłódze piwnicy i napenił wodą. Wodą, która płynie z pomocą maszyny. A nad wodą na ścianie napisał te słowa.

Wskazała napis.

Chłopiec zrozumiał.

- Młyn na zewnątrz... nie cała woda przez niego przepływa. Część płynie tutaj. Więc młynarz...

- ..nie widzi całej wody, która...

- Właśnie! - zawołał Valerian.

Popatrzył na nich trochę jak szaleniec, z pewną dumą, czekając na właściwą chwilę, żeby przekazać ostatni fragment mądrości.

- Widzicie tę długą linię, która wychodzi ze wzoru i biegnie prosto przez całą długość sarkofagu?

Kiwnęli głowami.

- Jak myślicie, co to jest na końcu linii? Ten symbol?

Rysunek przedstawiał koło, z którego promieniście wychodziły krótkie kreski.

- To młyńskie koło! - odgadł Chłopiec.

- Otóż to! - przytaknął Valerian i spoważniał. - Teraz razem podniesiecie wieko i zabieramy się stąd!

Willow odwróciła się do niego.

- Nie chcę żadnych trupów więcej! - oznajmiła. - Czy to jasne? Mam dosyć!

Valerian obdarzył ją irytująco protekcyjnym uśmiechem.

- Ale tam nie będzie żadnego trupa - zapewnił, stukając w wieko. - Żadnego ciała ani kości, żadnych gnijących szczątków. Po prostu droga powrotna do Miasta.

- Zwariowałeś - mruknęła.

Valerian puścił to mimo uszu.

- Myślałem, że Kepler zwariował, ale się myliłem. Powinienem od razu się zorientować, co widzieliśmy w jego piwnicy. To mapa. Mapa starożytnych kanałów pod Miastem. I nasza droga powrotna.

- Niemożliwe - sprzeciwił się Chłopiec. - W Mieście nie ma kanałów.

- Nie w Mieście, tylko pod nim - warknął Valerian. - Pod Miastem jest starożytna sieć kanałów. Niegdyś były widoczne, ale stopniowo zakrywano je mostami i zabudowywano coraz bardziej, aż pozostały po nich tylko legendy. Sam zwiedziłem ich drobną część pewnego feralnego dnia, kiedy byłem jeszcze studentem. Szybko się zgubiłem. Upłynęło wiele godzin, zanim znalazłem drogę powrotną, i nigdy nie odważyłem się tam wrócić... Podobno kanały wpadają do rzeki albo rzeka je zasila. Niewielu zna do nich wejścia. A teraz chyba znaleźliśmy jedno tutaj, w tej śmierdzącej wiosce. Widocznie młynówka płynie pod ziemią i wpada do kanałów!

Valerian zdjął pochodnię ze ściany.

- Szybko! - ponaglił. - Szkoda czasu.
- Ale nawet nie wiemy, czy masz rację - zaprotestowała Willow. -Może tam w środku nic nie ma.
- Mam rację - zapewnił ją Valerian. - A wy musicie otworzyć wieko. Ja nie dam rady. Szybciej!

Willow zerknęła na Chłopca, a Chłopiec zerknął na Valeriana, który spojrzał tak groźnie, że Chłopiec drgnął i spróbował przesunąć ciężkie kamienne wieko. Nie chciało ustąpić.

- Czekajcie! - zawołał Valerian. - Powinniśmy skopiować tę mapę. - Zabębnił w wieko.
- Mam kawałek papieru! - oznajmił dumnie Chłopiec i wyjął z kieszeni złożony arkusik pergaminu. Uradowany, że znowu na coś się przydał, z uśmiechem podał pergamin Valerianowi.
- Chłopcze, zadziwiasz mnie! Co to jest? Czyżbyś w końcu rozpoczął naukę...

Urwał.

- Skąd to masz? - zapytał ostro.
- To moje! - odparł Chłopiec, żałując, że w ogóle wyjmował pergamin.

Była to kartka, którą znalazł na stole w pokoju na wieży, kartka z jego imieniem na górze, z dziwnymi słowami i symbolami pod spodem.

- To nie twoje! - krzyknął Valerian. - To o tobie.

Odwrócił się do dziewczyny.

- Trzymaj - rozkazał. - Mam kawałek węgla. Przerysuj mapę na odwrocie. Postaraj się jak najlepiej!

W pełgającym świetle pochodni Willow zabrała się do kopiowania mapy na odwrocie pergaminu, używając kawałka miękkiego węgla, który ciągle się łamał.

- Nic nie widzę! - poskarżyła się, ale dalej pracowała.
- Opuściłaś kawałek - zwrócił jej uwagę Chłopiec. - Patrz, tutaj! A ta linia łączy się z tą, nie z tamtą.
- Sam to zrób, skoro jesteś taki...
- Chłopiec tego nie zrobi - uciął Valerian trzymający pochodnię. - Ty to zrobisz. Jesteś szybsza i dokładniejsza.

Trudno jednak było się skupić, kiedy Valerian patrzył jej przez ramię.

- Szybciej! - ponagłał. - Nie wiadomo, kiedy wrócą te bandziory.
- To tylko ludzie - burknęła. - Obraziliśmy ich, chcieliśmy okraść, więc się rozgniewali. Może gdybyśmy zwyczajnie poprosili...
- O co? - przerwał jej Valerian. - Żeby nam pozwolili wybić dziurę w podłodze ich kościoła i wykopać szczątki jednego z miejscowej szlachty? Skup się raczej na swojej robocie.
- Już! - oznajmiła. - Skończyłam!
- Na pewno? - spytał Valerian, porównując wyryte linie z rysunkiem.
- Tak - potwierdziła, ale sama nie miała pewności. Nie wierzyła nawet, że pod pokrywą sarkofagu jest coś innego niż gnijące zwłoki.
- Więc dalej, zaprzyjcie się plecami. Nie zsuwajcie wieka do końca... musimy zatrzeć za sobą ślady.

Jeśli Willow nie wierzyła, Chłopiec uwierzył bez trudu. Wciąż jeszcze wypełniało go poczucie siły po ukradkowym łyku z butelki. Nigdy w życiu nie czuł się równie pewny siebie i nigdy równie dobrze nie rozumiał Valeriana. Zupełnie jakby Valerian przekazał mu część swojej mocy.

- Chodź, Willow, potrzebuję twojej pomocy - powiedział, opierając się plecami o wieko sarkofagu.

Niechętnie przyłączyła się do niego.

- Róbcie to razem! - zażądał Valerian. - Na mój znak! Teraz!

Oboje pchnęli jednocześnie i kamienna płyta nie tylko ustąpiła, ale całkiem ześliznęła się z sarkofagu, spadła na kamienną posadzkę krypty i roztrzaskała się na kawałki.

Huk rozbrzmiał echem w małej krypcie. Spanikowane dzieci rzuciły trwożne spojrzenia w stronę schodów. Valerian nachylił się nad odsłoniętym otworem i uśmiechnął z satysfakcją. Rząd żelaznych szczebli osadzonych w ścianie szybu prowadził w ciemność. Teraz nie tylko słyszeli szum płynącej wody, ale czuli również zapach wilgoci.

- Tyle z zacierania śladów - stwierdził Valerian, patrząc na rozbite wieko. - Ale mamy mapę, a oni nie mają, więc jeśli spróbują nas ścigać...

- Czemu nas tutaj zamknęli, jeśli wiedzieli o tym wyjściu? - zapytał Chłopiec.

- No, widocznie nie widzieli - odparł Valerian. - Domyślam się, że to była tajemnica rodziny Heehe. Ale nie mamy czasu, żeby nad tym debatować.

Oni wrócą prędzej czy później, a pochodnia wystarczy najwyżej jeszcze na godzinę albo dwie. Ruszajmy.

Pociągnął łyk z fiolki. Kiedy opuścił głowę, spostrzegł, że Chłopiec wpatruje się w niego.

- O co chodzi, Chłopcze?

- Ja... tylko myślałem, że może Willow i ja... powinniśmy dostać po łycku... na pokrzepienie.

- Jak śmiesz! Nie! Co za pomysł! To na moją rękę. Zresztą wam to zaszkodzi. Nadmiar może... Nie twoja sprawa. Bierz pochodnię i złaż do dziury, Chłopcze, zanim zechcę cię tutaj zostawić.

Chłopiec wypełnił rozkaz, próbując ukryć rozczarowanie.

- Ty następna, Willow.

A potem Valerian przerzucił długie nogi przez krawędź szybu i oparł stopy na szczeblach. Światło pochodni przestało już się kotłować w dole.

Valerian ucieszył się, że dno jest blisko. Gdyby przyszło mu złażyć po drabinie więcej niż kilka metrów, chyba nie dałby rady. I tak nieźle się namęczył, nim wreszcie stanął obok dzieci na deskach pomostu.

- Patrz! - powiedział Chłopiec. - Łodzie!

Znajdowali się w jaskini, żelazny szkielet pomostu wpuszczony był w skałę. Obok nich w ciemności powoli i jednostajnie płynęła rzeka. Przy pomocy cumowało kilka łódek. Miały płaskie dna i zamiast wiosł w każdej leżał krótki drąg.

- Ciekawe, kiedy ostatnio ktoś tędy płynął - odezwała się dziewczyna.
- To wygląda jak zapomniane miejsce.

Miała rację. Wydawało się, że nikt niczego tu nie dotykał od wielu lat. Rdza na żelaznych stopniach była nienaruszona. Pomost spróchniał w kilku miejscach i musieli stapać ostrożnie, żeby ominąć przegniłe deski, ale łódki podskakiwały lekko na falach, jakby się cieszyły, że wreszcie kogoś widzą po latach opuszczenia w ciemności. Wybrali jedną, która wydawała się najmocniejsza.

- Odplywamy - zarządził Valerian.

Zaczęło się dobrze. Po odcumowaniu łódka jakby sama chciała ich zabrać do tunelu prowadzącego z jaskini. Przeciekała tylko trochę. Willow siedziała z przodu z pochodnią, Valerian pośrodku z mapą, a Chłopiec przykucnął z tyłu i w razie potrzeby odpychał ich drągiem od ścian. Prawie nie musiał popychać łódki do przodu - prąd niósł ich w przyzwoitym tempie. Raz czy dwa Chłopiec próbował przyspieszyć, ale tylko rozkołysał łódź tak mocno, że wszyscy się przestraszyli.

Wkrótce powrócą do Miasta.

Czas. Kto wiedział, ile czasu minęło, kiedy płynęli długim, prostym tunelem?

Odległość. Żadne z nich nie wiedziało, jaką drogę pokonali. Coś, co zaczęło się tak łatwo, stopniowo zmieniło się w surrealistyczną podróż znikąd donikąd. Tunel widocznie ciągnął się bez końca.

Po drodze narkotyk Valeriana przestał działać i złamana ręka znowu zaczęła mu dokuczać. Pod wpływem bólu z nową wyrazistością uświadomił sobie swoje rozpaczliwe położenie.

Nawet gdyby wrócił do Miasta, co z tego? Wiedział, co go czekało w wigilię Nowego Roku, gdziekolwiek by się nie skrył. Po raz dziesięciotysięczny zastanowił się, czy jest jakieś wyjście, którego jeszcze nie wziął pod uwagę. Może przegapił coś oczywistego. Ale piętnaście lat to długi czas do namysłu i nic nowego nie przychodziło mu do głowy.

Dryfowali w półmroku. Dopalająca się pochodnia syczała i pluła iskrami.

W podziemnym kanale panowało dojmujące zimno i w dodatku straszna duchota. Pomimo silnego prądu śmierdziało tu wilgocią i zgnilizną. Raz czy dwa poczuli na twarzach muśnięcie mokrych pnączy, pewnie korzeni roślin zwisających z niskiego ceglanoego sklepienia. Tunel zdawał się nie mieć końca.

Zgroza i cierpienie wypełniły myśli Valeriana. Chłopca również opuściła euforia. W blasku pochodni widział jedynie niewyraźną sylwetkę Willow.

W co ją wciągnął? W związek z tym szaleńcem, swoim panem. Pewnie mordercą, który teraz miał zapłacić życiem za coś, co się zdarzyło przed piętnastu laty. Valerian pozbawił się wszystkiego w zamian za jedną noc z kobietą, która go odrzuciła.

Nic nie miało sensu, zwłaszcza ten idiotycznie prosty tunel.

- Chłopcze - powiedziała cicho Willow - boję się.

- Wszystko w porządku - uspokoił ją. - W porządku...

Nagle wrzasnęła i upuściła do kanału pochodnię, która natychmiast zgasła z krótkim sykiem protestu.

- Willow! - zawołał Chłopiec. - Nic ci się nie stało?

- Upuściłam pochodnię - zaszlochała bez sensu. - Coś mnie uderzyło! Przepraszam... och, przepraszam!

- Nic ci nie jest? - powtórzył Chłopiec.

- Nic, ale nie mamy światła! Co teraz zrobimy? Nic nie widać!

- Jakie to ma znaczenie? - powiedział Chłopiec. - Płyniemy tylko w jedną stronę, czyli do przodu. Nie wiem, co jeszcze moglibyśmy zrobić.

- Ale nie możemy tak płynąć bez końca - chlipnęła Willow.

A jednak wciąż płynęli dalej w całkowitych ciemnościach.

Valerian ledwie zauważył, co się stało. Chłopiec ostrożnie zsunął się na dno łodzi ze swojego miejsca na rufie, a lekko rozhisteryzowana Willow po omacku przysunęła się do Valeriana i skuliła u jego stóp. Potem usiadła prosto.

- Mam jeszcze kawałek świecy! - zawołała do Chłopca.

- Ale nie mamy jak jej zapalić - odparł żałośnie.

Znowu zamilkli i tak płynęli, nie wiedząc nic; Chłopiec i Willow odrętwiali z zimna i na wpół uśpieni, a Valerian prawie nieobecny, otumaniony bólem i ostatnimi kroplami narkotyku.

Gdyby zdawali sobie sprawę z upływu czasu, wiedzieliby, że już dawno minęła północ przedostatniego dnia roku.

Gdyby zdawali sobie sprawę z przebytej odległości, wiedzieliby, że już dawno wrócili do Miasta, czy przynajmniej pod Miasto.

Valerian miał rację. Valerian zawsze miał rację. Znajdowali się w labiryncie podziemnych kanałów, ukrytych głęboko przed ludzkim wzrokiem, zapomnianych i gnijących, podczas gdy Miasto rozrastało się na górze.

Wpłynęli do właściwego systemu kanałów. Gdyby mieli jakieś światło, mogliby zobaczyć zrujnowane drzwi i schody, pomosty i zabite na głucho okna tam, gdzie niegdyś kwitł ożywiony handel nad kanałami Miasta. Teraz życie wносиła tutaj tylko woda, płynąca z pluskiem i chlupotem w stronę licznych ukrytych wylotów, przez które wpadała niewidoczna do zakażonej rzeki dzielącej Miasto na pół.

Chłopiec częściowo się rozbudził. Pomimo wyczerpania nie mógł długo spać. Strach wypełniał całe jego ciało i nie pozwalał mu zaznać spokoju. Valerian znowu stracił przytomność. Willow u jego stóp popiskiwała przez sen niczym wystraszone psiak. Więc tylko Chłopiec zorientował się, że łódź nagle uderzyła o coś w ciemności i znieruchomiła.

Powoli wyciągnął obie ręce przed siebie. Łódź opierała się o niski murek po lewej. Z przodu dochodził odgłos drewna trącego o drewno. Po drugiej stronie łodzi Chłopiec poczuł pod palcami inny dziób. Słusznie odgadł, że wpadli na inną łódź zacumowaną przy przystani.

- Valerianie! - zawołał najgłośniejszym głosem, jak się odważył. - Willow! Obudźcie się!

Pomacał ścianę i znalazł szczelinę pomiędzy dwoma kamieniami. Wetknął w nią palce i odkrył, że bez zbytniego wysiłku utrzymuje łódź w miejscu. Nie zwalniając chwytu, zawołał ponownie:

- Valerianie! Obudź się! Chyba możemy wysiąść. Willow! Jesteśmy znowu na jakiejś przystani. Wreszcie gdzieś dopłynęliśmy.

- O co chodzi? - dobiegł z ciemności głos Valeriana. - Gdzie jesteśmy?
Czemu jest tak ciemno?

- Pochodnia zgasła - wyjaśnił Chłopiec. Nie musiał tłumaczyć Valerianowi, że Willow ją upuściła. - Wypaliła się przed wiekami..

- Gdzie jesteśmy? - zapytała Willow.

- Co to za różnica? - odparł Chłopiec. - Wszędzie jest ciemno.

- Wcale nie - zaprzeczyła. - Spójrzcie tam!

- Gdzie? - spytał Valerian.

W ciemności nie widzieli, gdzie wskazywała Willow, ale po chwili Chłopiec też coś dostrzegł. Daleko w tunelu jaśniał punkcik światła. Wydawał się bardzo odległy.

- Możesz wysiąść z łodzi? - zapytał Valerian.

- Do kogo mówisz? - nie zrozumiał Chłopiec.

- Do któregoś z was! - warknął Valerian.

Jego głos rozbrzmiał echem dookoła i wreszcie ucichł, po wielu uderzeniach serca.

- Chyba mogę - powiedziała Willow, ale Chłopiec już prześlizgiwał się przez burtę łodzi. Wygramolił się na przystań, dawno opuszczoną w tym zapomnianym podziemnym świecie.

- Znajdź moją rękę - poprosiła Willow, wyciągając ramię w ciemność.

Chłopiec przesunął się po deskach przystani, ściskając niską burtę łodzi, aż natrafił ręką na rękę Willow.

- Weź sznur - poleciła.

Podążyła koniec sznura Chłopcu, który po omacku znalazł żelazny pierścień i przywiązał łódź.

Wciągnął dziewczynę na górę, a potem oboje pomogli się podnieść Valerianowi. Stąpawszy na twardym gruncie, doszedł do siebie i znowu objął dowodzenie.

- Powinniśmy chyba pójść do tamtego światła. Może wpada z zewnątrz.

Więc poszli.

Maszerowali jakby przez ciemną noc, oświetloną tylko kilkoma gwiazdami. Wyraźnie widzieli swój cel, ale grunt pod nogami już nie bardzo.

Raz po raz potykali się na nierównym podłożu, a Willow dwukrotnie się przewróciła, kiedy pechowo wpadła na niskie kamienne pachołki. Wędrowali przez ogromy starożytny plac, który jakby lekko się wznosił po obu stronach

kanalu. Z każdym krokiem wiedzieli wyraźniej, że zbliżają się nie do światła dziennego, lecz sztucznego.

Padło z niskiego łukowego wejścia, za którym widniał szereg mniejszych łuków prowadzących do niziutkich tuneli, nie wyższych niż na metr.

Chłopiec i Willow zawahali się, ale Valerian śmiało przeszedł pod łukiem i pochylił się w niskim korytarzu.

Odskoczył.

Światło zamigotało nagle, bliskie i oslepiające. Z tunelu wyszedł mężczyzna.

- Valerian! - wykrzyknął.
- Kepler! - wybełkotał Valerian.

6

Valerian i Kepler wpatrywali się w siebie, jakby im odebrało mowę. Potem Kepler spostrzegł, że Valerian stoi jakoś dziwnie.

- Co ci się stało w rękę? - zapytał.
- Złamana - odparł Valerian. - Wpadłem na Meada i jego bandę.
- Ostrzegałem cię...
- Ostrzegałeś mnie przed wieloma rzeczami. Ale skąd się tu wzięłeś? Księga!

Co z księgą?

- Lepiej byś zrobił, gdybyś mnie posłuchał - burknął Kepler, puszczając mimo uszu pytanie Valeriana. - Nie wpakowałbyś się w takie kłopoty.

Kepler był chudy i przy Valerianie wydawał się karłem. Rzadkie kosmyki czarnych włosów lepiły mu się do czaszki. Nosił małe okulary, własnoręcznie zaprojektowane i wykonane, czarny surdut i zniszczone buty. W ustach błyszcząły mu dwa złote zęby.

Chłopca i Willow zdumiało osobliwe źródło światła, niewątpliwie jeden z jego wynalazków. Na szerokiej parcianej taśmie przerzuconej przez ramię doktor

niósł skrzynkę z mosiężną korbką. Odchodził od niej specjalny drut połączony z drewnianym uchwytem zakończonym szklaną kulą. Ta kula promieniowała silnym żółtym światłem. Chwilami światło słabło, a wtedy Kepler gorączkowo kręcił korbką. Wówczas światło odzyskiwało pełną moc. Podszedł do Chłopca i Willow, żeby ich obejrzeć przy świetle.

- Chłopca znam. Kto to jest?

- Dziewczyna. Całkiem przydatna. Mądrzejsza od Chłopca.

Kepler odchrząknął.

- Co ty tu robisz? - zapytał Valeriana.

- Nie! Słuchaj! - zażądał Valerian. - Znalazłeś księgę?

Chwycił Keplera zdrową ręką.

Kepler westchnął głęboko.

- Niestety, Valerianie, nie znalazłem.

- Ale co tam robisz? - zapytał Valerian, wskazując ciasny tunel.

Kepler zawahał się na moment, zanim odpowiedział.

- To była moja ostatnia próba - wyznał. - Dociekania w twojej sprawie zaprowadziły mnie aż tutaj. Miałem powody wierzyć, że rozwiązanie kryje się w katakumbach. Nie było łatwo. Już dostatecznie trudno znaleźć bezpieczne wejście do tego świata. Udało mi się, teraz jednak poniosłem porażkę. Przepraszam, Valerianie. Nie ma innego wyjścia. Jutro w nocy musisz stawić czoło swojej przyszłości i przeszłości.

- Ale motto! - krzyknął Valerian. - Motto rodu Heeche doprowadziło cię tutaj?

- Tak, motto. Doprowadziło mnie blisko. Dowiedziałem się, że Heeche znali katakumby. Rodzina przez wiele lat służyła cesarzowi. Byli jego doradcami. Przybywali z Lip do Pałacu przez kanały. Myślałem, że tutaj ukryto księgę. Ale nie. Jutro w nocy musisz stawić czoło swojej przeszłości i przyszłości.

Valerian szalał z furii, przeklinał siebie, przeklinał Keplera i Chłopca, przeklinał samo życie. Raz po raz wykrzykiwał: „Nie!” Wydawało się, że nigdy nie przestanie, ale wreszcie furia się wyczerpała. Valerian ucichł i głowa mu opadła.

- Nie ma innego wyjścia - powtórzył w końcu Kepler. - Wiesz o tym. Wszystko skończone.

Valerian osunął się na kolana i zastygł bez ruchu.

Chłopiec złapał się za głowę. Co mógł powiedzieć? Willow spojrzała na Chłopca, a potem na Valeriana.

- Nie może tak być! - krzyknęła nagle. - Nie możesz się poddać!

Valerian nawet nie drgnął, chociaż objęła go za szyję.

- Przestań! - zawołała. - Chłopcze, powiedz mu!

Ale Chłopiec wiedział, że to beznadziejne. Łzy popłynęły mu po twarzy.

Kepler patrzył bez słowa. Wszyscy czworo trwali tak przez długi czas.

Wreszcie Kepler przemówił:

- Powinniśmy wracać. Do Miasta.

Nikt nie odpowiedział.

- Nie ma sensu zostawać tutaj na dole - ciągnął.

- Nie dla was trojga - przyznał Valerian. - Idźcie. Zostawcie mnie tutaj.

- Nie możemy cię zostawić! - krzyknął Chłopiec.

- To się może stać równie dobrze tutaj, jak gdzie indziej - odparł Valerian. -

Nie ma już przed tym ucieczki. Jeśli umrę tutaj, przynajmniej nikt nie musi mnie grzebać.

- Nie! - zapłakał Chłopiec. - Nie poddawaj się!

- Nigdzie nie idę - oświadczył Valerian. - Daj mi resztę lekarstwa, Chłopcze.

Kepler, nie masz więcej tego przy sobie? Nie? Mniejsza z tym. I tak nie odejdę daleko.

Usiadł pod ścianą i zwiesił głowę.

- Nie wierzę, że on się poddał - szepnęła Willow do Chłopca, on jednak nie odpowiedział.

Kepler podszedł i kucnął przy Valerianie.

- Valerianie! Posłuchaj! Zrobisz, co ci każę. Pójdiesz ze mną.

- Nie pójdę! Tylko dlatego cię lubię, że nigdy nie prawileś mi kazań, więc nie zaczynaj teraz. Jestem zbyt chory i zmęczony, żeby stąd odejść. Zostanę tutaj.

Kepler podniósł się i znowu kilka razy pokręcił korbką, żeby wzmocnić światło.

- Doskonale - oświadczył. - Nie zostawiasz mi wyboru. Nie pozwolę, żebyś umarł w taki sposób. Przynajmniej nastawię ci ramię. Wezmę Chłopca do pomocy.

Dziewczyna może zostać z tobą.

- Ale ja nie chcę odejść! - sprzeciwił się Chłopiec.

- A ja nie chcę zostać bez Chłopca! - zaprotestowała Willow.
- Oboje zrobicie, co każe - uciął Kepler - dla Valeriana. Potrzebuję Chłopca, żeby pomógł mi przynieść narzędzia do opatrzenia ręki. Ktoś musi przy nim zostać.

Jeszcze przez chwilę się sprzeczali, ale Kepler nie ustąpił i w końcu Chłopiec i Willow się zgodzili. Valerian patrzył na nich obojętnie, jakby to go nie dotyczyło.

Kepler przyniósł kilka pochodni na wypadek, gdyby jego świetlne urządzenie przestało działać. Podał jedną Chłopcu i zapalił ją chemiczną zapalniczką.

Potem odeszli, zostawiając lampę Valerianowi i Willow.

- Po prostu pokręć korbką, kiedy zaczniesz przygasać - pouczył dziewczynę Kepler. - Nie będzie nas najwyżej parę godzin.

Potem Chłopiec i Kepler poszli do łodzi. Willow zawołała za nimi:

- Wracajcie szybko!

Głos jej zadrżał, kiedy znikli w ciemnościach.

- Proszę!

7

Kepler trzymał pochodnię nad dziobem łodzi. Chyba nie potrzebował mapy. Chłopiec siedział z tyłu. Płynęli z prądem w kierunku jednego z ujść do rzeki. Pokonali dwa trudne zakręty. Chłopiec nie wiedział, czy bez Keplera potrafiłby znaleźć drogę powrotną do Valeriana i Willow.

- Wcale nie tak daleko - rzucił Kepler przez ramię. - Po prostu trzeba wiedzieć którądy, bo inaczej możesz tu zostać na zawsze.

Zaśmiał się. Nie był to przyjemny śmiech.

Potem wykrzykiwał następne rozkazy, które Chłopiec wypełniał.

- Dobrze znałeś tę dziewczynę? - zapytał.

Chłopiec zaniepokoił się. Dlaczego on mówi: „znałeś”?

- Willow to moja przyjaciółka - odpowiedział z nutą zdziwienia w głosie, jakby dopiero teraz to rozumiał. Ale czuł, że to prawda. - Dobra przyjaciółka.

- Fatalny los spotkał Valeriana - ciągnął Kepler. - Ale nic nie można poradzić. Tak musi być.

- O czym ty mówisz? - zapytał Chłopiec, wciągając bosak do łodzi. Dryfowali dalej.

- Cóż, znalazłem księgę. O tak, znalazłem już kilka dni temu, ale kiedy zobaczyłem... zrozumiałem, że muszę znowu ją ukryć. Właśnie ją chowałem, kiedy zjawił się Valerian z tobą i z dziewczyną. Mielście szczęście. Gdyby ją znalazł... Tak. Szkoda, że muszą umrzeć. Chociaż myślę, że dziewczyna chyba znajdzie drogę do wyjścia. Dlatego zostawiłem jej lampę, bo inaczej...

Chłód ogarnął Chłopca. Potem załaty go gniew i strach. Oto siedzi w małej łódce obok szaleńca. Kepler chyba musiał uznać Valeriana za wroga, skoro ukrył przed nim księgę. Widocznie całkiem pomieszało mu się w głowie.

Kepler gadał dalej:

- Znam go od dawna, ale zasłużył sobie na to przez swoje uczynki. Będziemy musieli się obejść bez niego!

Znowu się zaśmiał i spojrzał w ciemność.

- Teraz chyba w lewo. Tak. Chłopcze? W lewo! W lewo!

Chłopiec jednak użył bosaka do czego innego. Starannie się przymierzył i rąbnął Keplera w głowę. Wycelował dobrze i Kepler gładko spadł przez burtę do wody.

Na szczęście dla Chłopca pochodnia upadła do wnętrza łodzi.

Zaczął mocno popychać łódkę pod prąd. Musiał znaleźć drogę powrotną do Valeriana. Od tego zależało jego życie i Chłopiec nie zamierzał go zawieść.

- Valerianie! - krzyknął w mrok. - Wracam. Wracam!

Za jego plecami Kepler na chwilę zanurzył się pod wodę. Potem, kiedy zimno go ocuciło, kaszląc, wypłynął na powierzchnię.

- Chłopcze! - wykrztusił. - Chłopcze! Wracaj! Chłopcze! Nie rozumiesz! Wracaj!

Ale głos miał za słaby, a Chłopiec odplynął już daleko.

Chłopiec spieszył z powrotem do swego pana. Wstąpiła w niego jakaś dziwna moc. Pamiętał każdy zakręt, który przedtem pokonali. Pochodnia migotała na dnie łodzi i drewno zaczęło dymić w miejscu, gdzie leżała, ale Chłopiec nie odrywał oczu od tuneli, aż ponownie zobaczył przed sobą przystań.

Wyskoczył z łódki i pobiegł przez podziemny plac, trzymając przed sobą pochodnię.

- Valerianie! Willow! Valerianie! Valerianie!

Willow dźwignęła się na nogi i podniosła wysoko lampę.

- Valerianie! Wiem, gdzie jest księga! Wiem!

Te słowa wyrwały z odrętwienia nawet Valeriana. Chłopiec pobiegł prosto do wylotu niskiego tunelu, skąd wcześniej wyszedł Kepler.

- Księga jest tam! Kepler oszalał. Próbował ją ukryć przed nami! Nie mogłem na to pozwolić. Uderzyłem go! Może go... nie wiem, ale nie chcę, żebyś odszedł, Valerianie.

Valerian prawie skoczył na nogi.

- Kepler... - wymamrotał do siebie. - Kepler! Pomyliłem się, kiedy myślałem, że przeszłość minęła. Kto jak kto, ale ja powinienem wiedzieć lepiej!

Popatrzył na Chłopca.

- Dobrze się spisałeś - przyznał. Oczy błyszcząły mu nadzieją. - Jestem z ciebie zadowolony.

Chłopiec stał oniemiały.

- No! - zawołał Valerian. - Daj mi światło, Willow. Wchodzę do środka.

Opadł na kolana i popychając przed sobą lampę, wpełznął do tunelu niczym pies kuśtykający na trzech łapach. Chłopiec odwrócił się do Willow.

- Chyba zabiłem Keplera - wyznał.

Nie odpowiedziała. Chłopiec mówił dalej, nie mógł przestać. Słowa wylewały mu się z ust.

- On chciał cię tutaj zostawić, żebyś umarła razem z Valerianem. Nawet nie myślałem. Po prostu to zrobiłem.

- Co zrobiłeś? - zapytała.

- Uderzyłem go bosakiem. Wpadł do wody. Ja...

- Chłopcze... - urwała i wyciągnęła do niego rękę. - Oby Valerian znalazł w księdze rozwiązanie. Wtedy się okaże, że było warto.

Chłopiec usiadł obok niej. Oparli się o siebie w wilgotnym mroku i patrzyli, jak płomień pochodni migocze i pluje iskrami. Dym kłębił się pod niskim sklepieniem przejścia, z którego odchodziły liczne mniejsze tunele.

- Dopala się - powiedział Chłopiec.

- Nie, wcale nie - zaprzeczyła stanowczo Willow. - To niemożliwe.

Ale pochodnia się dopalała. Obracali ją na różne strony, żeby z powrotem pobudzić płomień do życia, lecz daremnie. Zgasła, a oni przywarli do siebie, próbując przewyciężyć panikę.

- On zaraz wróci - zapewnił Chłopiec. - Niedługo.

Czekali.

W końcu usłyszeli hałas i zobaczyli, że tunel wypełnia się blaskiem.

Pojawił się triumfujący Valerian. Wycofywał się tyłem z ciasnego korytarza, wlokąc coś za sobą. Była to ogromna księga, nadzwyczaj stara i niewiarygodnie wystrzępiona. Na twarzy Valeriana malowały się dziwne uczucia. Radość. Więcej niż radość - radość, wdzięczność, zachwyt i nadzieja połączone w jedno. Oczy mu płonęły, kiedy spoglądał na Chłopca i Willow, a potem na grubo, cudem odnaleziony tom.

- Czy to jest to? - zapytał Chłopiec, całkiem niepotrzebnie.

Odnaleźli księgę, której szukali tak długo. Okazała się tak ciężka, że Valerian nie mógł jej utrzymać jedną ręką, więc położył ją przed sobą na ziemi.

- Teraz zobaczmy... - powiedział cicho, dziwnie cienkim głosem.

Podniósł księgę tak, że opierała się na grzbiecie.

- Nakręć to piekielne urządzenie, dobrze? - poprosił. - Dobrze. Teraz przytrzymaj tutaj.

Pozwolił, żeby księga upadła otwarta, jakby chciał, żeby sama wybrała stronicę, które mu pokaże, sekrety, które mu zdradzi.

Chłopiec patrzył, jak Valerian kartkuje księgę do tyłu i do przodu, szukając odpowiedzi. Żadne z nich się nie poruszyło, tylko Valerian od czasu do czasu przewracał kartkę albo Willow nakręcała światło, kiedy zaczynało słabnąć.

Valerian przysunął twarz bliżej do księgi, jakby znalazł to, czego szukał. Albo może księga pokazywała mu to, co chciała mu pokazać?

Willow, trzymając lampę, próbowała coś przeczytać, ale księga została spisana w wielu obcych i dziwnych językach, więc dziewczyna rozumiała tylko parę słów.

Nagle Valerian chwycił krawędzie księgi tak mocno, jakby chciał ją rozedrzeć na pół. Pochylił się jeszcze niżej, ręce mu drżały.

Trzęsącymi się palcami sięgnął głęboko do kieszeni płaszcza i wyciągnął kartkę, którą Chłopiec natychmiast rozpoznał - tę samą kartkę, którą Kepler o nim napisał i na odwrocie której Willow skopiowała mapę.

Teraz Valerian śleczął nad kartką i pewną stronką księgi. Twarz mu spochmurniała, a potem wygładziła się równie szybko.

Podniósł wzrok.

- Chłopcze - powiedział cicho - znam odpowiedź.

- Co... co to jest, Valerianie? - zapytał Chłopiec.

- Ty. Ty jesteś moją odpowiedzią - oznajmił Valerian, szczerząc zęby.

Willow, która po cichu próbowała czytać księgę nad ramieniem Valeriana, nagle się zachłysnęła. Nawet już nie usiłowała odcyfrować dziwacznych słów, ponieważ w jej głowie nagle pojawiła się wiedza - wizja, która nappełniła ją zgrozą.

- Och... Chłopcze! - krzyknęła. - On chce cię zabić! Chłopcze! Uciekaj!

Uśmiech spełzył z twarzy Valeriana. Mag zamachnął się zdrową ręką i mocno trzasnął dziewczynę w twarz. Upadła na ziemię, upuszczając lampę. Leżała bez ruchu.

Valerian odwrócił się do Chłopca.

- Nie ma się czego bać - zapewnił gładko, spokojnym głosem. - Chodź tu. Wszystko w porządku. Podejdź bliżej.

Ale Chłopiec nie podszedł.

Rzucił szybkie, niepewne spojrzenie na nieruchome ciało Willow, spoczywające na kamiennych płytach, po czym odwrócił się i uciekł.

31 grudnia - wigilia Nowego Roku

Dzień Absolutnego Orędownictwa

Chłopiec uciekł odruchowo, bezmyślnie, nie bardzo wiedząc, co robi. Pobiegł na ślepo w ciemność i dopiero po jakimś czasie uprzytomnił sobie, że przecież nie ma światła. Przystanął. Otaczała go atramentowa czerń. Poczul się jak sparaliżowany, nie był w stanie wykonać żadnego ruchu.

Spostrzegł za sobą światło.

Przebiegł może pięćdziesiąt kroków przez ciemny plac. Odwrócił się i zobaczył z przerażeniem, że Valerian powoli idzie za nim. Idzie chwiejnie, prawie się zatacza.

On nie wie, gdzie jestem, pomyślał Chłopiec.

Sam widział go całkiem wyraźnie. Valerian przystanął, podniósł lampę Keplera i znów ruszył przed siebie. Ale nie sięgał wzrokiem dostatecznie daleko, żeby zobaczyć Chłopca.

Wszystko to w okamgnieniu przemknęło Chłopcu przez głowę.

Lampa dawała dosyć światła, żeby wydobyć z mroku niewyraźne zarysy starych budynków stojących dookoła. Jeśli zachowa ostrożność, wielką ostrożność, może wykorzystać lampę Valeriana, żeby oświetlała mu drogę. Jeśli będzie się trzymał dostatecznie daleko, Valerian nawet się nie domyśli jego obecności.

Będzie musiał zachować najwyższą ostrożność - jeśli źle oceni odległość, Valerian go zobaczy.

Chłopiec zaczął się nerwowo przesuwac do tyłu, ale potknął się o niski kamienny krawężnik. Upadł z jękiem i zobaczył, że Valerian zamarł,

podniósł lampę wyżej, wysoko nad głowę, i spojrzął dokładnie w miejsce, gdzie siedział Chłopiec.

- Chłopcze! - zawołał. - Chodź tu, Chłopcze!

Chłopiec pozbierał się z ziemi i umknął dalej w ciemność.

- Tam jesteś! - krzyknął Valerian i ruszył za nim, teraz już szybciej.

Chłopiec pospiesznie i jak najciszej zaczął zataczać krąg.

Przypadł do bruku i patrzył, jak Valerian, nieświadom jego manewrów, maszeruje prosto dalej. Wyglądał demonicznie, kiedy mijał Chłopca w odległości kilku kroków. Lampa oświetlała jego twarz od dołu, wydobywając cienie i podkreślając zmarszczki.

- Chłopcze! - wołał. - Wiem, że tam jesteś, Chłopcze!

Ale najwyraźniej nie wiedział.

I całe szczęście. Chłopiec zczekał, aż Valerian go minie i odejdzie spory kawałek, a potem ruszył za nim.

Może w końcu Valerian wyprowadzi go na zewnątrz. Albo natrafią na wylot jakiegoś kanału, gdzie dochodzi dzieńne światło, jeśli na zewnątrz panuje dzień, a wtedy Chłopiec sam znajdzie drogę do wyjścia.

Nie miał pojęcia, która to godzina ani jaki dzień. Może tylko Valerian wiedział gdzieś w głębi duszy, że nadszedł jego ostatni dzień życia.

Rzeczywiście, północ już minęła i pierwsze godziny wigilii Nowego Roku przepływały ponad Miastem. Większość mieszkańców spokojnie spała. Warto się było porządnie wyspać przed huczną zabawą, która ogarnie całe Miasto na powitanie Nowego Roku.

Chłopiec skradał się za Valerianem, słuchając jego nawoływań:

- Chłopcze! Jesteś tam? Chodź tu, Chłopcze! Nie zrobię ci krzywdy!

2

Willow ocknęła się i wpadła w panikę. Nigdzie nie widziała nawet śladu światła. Im bardziej wyteęzała wzrok, żeby coś zobaczyć - cokolwiek

- tym większą czuła rozpacz. Nie mogła uwierzyć, że nie widzi żadnej różnicy, czy ma oczy otwarte, czy zamknięte. Zrozumiała, co znaczy ślepotą. O mało nie zaczęła wrzeszczeć, ale przypomniła sobie, że gdzieś tam w mroku czai się Valerian z morderczymi zamiarami.

Mord? Czy naprawdę to ujrzała w jego oczach, kiedy przeczytał księgę i znalazł odpowiedź? Trudne do uwierzenia, ale nie niemożliwe. Przecież patrzyła Valerianowi przez ramię, próbowała zrozumieć dziwne słowa i symbole. Widziała też kartkę Chłopca. Ale nie ostrzegła jej żadna z tych rzeczy.

Nie. Ostrzeżenie po prostu pojawiło się w jej głowie, kiedy patrzyła na stronicę księgi. Zobaczyła, co Valerian zamierzał zrobić z Chłopcem. Księga jej to pokazała.

Zresztą... Jeśli Valerian nie miał morderczych zamiarów, to dlaczego uciszył ją tak brutalnie? Ciągłe czuła ten cios w ciemnościach. Oko ją bolało. Zdawało jej się, że palce ma lepkie od krwi.

Usłyszała jakiś dźwięk i zamarła.

Niski zgrzyt. Próbowała go umiejscowić, określić kierunek i źródło, ale nie mogła. Pozbawiona wzroku, kompletnie straciła orientację. Zemdliło ją ze strachu. Znów o mało nie wrzasnęła. Opanowała się jednak.

Starła się oddychać głębiej i powoli. Jeszcze raz nadstawiła uszu. Może się przesłyszała... ale nie, dźwięk rozległ się znowu, bliższy i głośniejszy.

Próbowała zdecydować, co dalej, ale w ciemnościach zatraciła też jasność myśli. Mogła odpuścić od hałasu, chociaż... dokąd miała uciekać? Może lepiej zostać na miejscu - nie widziała tego hałaśliwego czegoś, więc chyba „to” jej też nie widziało. Chyba. Z drugiej strony, jeśli ten stwór mieszkał w kanałach, potrafił się poruszać po ciemku. Może nawet widział w ciemnościach i zmierzał prosto do niej.

Doleciał ją inny dźwięk, ciche skrobanie, i zobaczyła - albo sobie wyobraziła - króciutki przeblysłk światła. Usłyszała czyjś głos.

Zerwała się na nogi. Natychmiast zakręciło jej się w głowie, obolałej po uderzeniu Valeriana. Potknęła się i upadła.

Wyrwał jej się jęk, kiedy uderzyła o ziemię, podpierając się rękami.

- Chłopiec? - rozległ się głos. - Willow?

Leżała bez ruchu, serce jej waliło, dyszała szybko i urywanie. Zaledwie centymetry dzieliły jej twarz od kamiennych płyt i czuła, jak nasiąka ich wilgocią.

- Willow! - dobiegł głos z ciemności. - To ja. Kepler.

Za bardzo się zdumiała, żeby odpowiedzieć. Wolałaby, żeby znalazł ją ktoś inny, nie Kepler, który ją zostawił, żeby umarła razem z Valerianem. Chłopiec mało go nie zabił, żeby ratować... Valeriana, który czyhał gdzieś w ciemnościach, grożąc śmiercią.

Nic innego jej nie pozostało.

- Kepler! - zawołała. - To ja, Willow!

- Gdzie jesteś, dziecko? Czy Chłopiec jest z tobą? Lękam się o jego bezpieczeństwo.

- A moje bezpieczeństwo? - zapytała z goryczą.

Nie otrzymała odpowiedzi.

- No więc? - odezwała się ponownie w ciemnościach.

- Ty jesteś bezpieczna - odparł Kepler. - Nic ci nie grozi ze strony Valeriana. Tylko Chłopiec może go ocalić. Tylko życie Chłopca jest zagrożone. Wrócilibyśmy po ciebie...

- Och! Nie wierzę ci! - przerwała mu.

- Przysięgam - zapewnił. - Przysięgam, że byłeś bezpieczna. Zagrożenie dotyczy tylko Valeriana i Chłopca. Po... odejściu Valeriana wróciłbym po ciebie.

- Nie rozumiem - zawahała się. - Nic nie rozumiem. Nie wiem, co się dzieje. Nie wiem, gdzie jest Chłopiec...

- Tak - podchwycił Kepler. - Musimy znaleźć Chłopca. To jemu grozi niebezpieczeństwo.

- Dlaczego? - zapytała Willow. - Do czego Valerian go potrzebuje?

- Wyjaśnię ci - obiecał - ale najpierw muszę cię znaleźć. Gdzie jesteś?

- Nie wiem - mruknęła. - A gdzie ty jesteś?

- Tutaj. Mam kilka zapalek, ale trochę zamokły...

Willow usłyszała ten sam dźwięk co przedtem - ciche skrobanie, a potem trzask iskierek, które szybko zgasły.

- Mokre. Gdzie jesteś?

Willow prawie się roześmiała, pomimo całej grozy swojego położenia.

Znowu rozległ się trzask, nieco głośniejszy, i teraz już wiedziała, że Kepler się zbliża. Nie podobało jej się to, ale jeszcze bardziej nie podobała jej się samotność w mrocznych podziemiach.

- Dobrze - powiedziała. - Tędy. Jestem tutaj.

A potem Kepler potknął się o jej stopę.

- To dostatecznie blisko - oceniła. - Teraz powiedz mi, co się dzieje.

Jakoś się udawało. Chłopiec pełznął na czworakach kilka kroków za Valerianem, który powoli szedł przed siebie. Z każdą chwilą coraz bardziej zwalniał. Chłopiec zastanawiał się, czy Valerian się zmęczył, czy ramię bardziej go bolało, ale bez względu na powód z łatwością dotrzymywał mu tempa, nawet na czworakach.

Powoli wędrowali przez katakumby. Od czasu do czasu trafiali na odgałęzienie kanału, wypełnione cicho bulgoczącą wodą, która jak oleisty czarny wąż wpływała do następnego odcinka tunelu.

Teraz szli długim korytarzem, prostą drogą o niskim sklepieniu, utworzonym zapewne przez fundamenty domów wystzelających w Miasto nad ich głowami, w dawno zapomnianą jasność dnia.

Był to niepokojący świat. Głęboko pod ziemią trwało opustoszałe królestwo, prawie nikomu nieznanne. W niskim tunelu dźwięk dziwnie się rozchodził. Szuranie butów Valeriana wzbudzało echo, ale krótkie i suche, ucięte niemal natychmiast. Z sufitu zwisały miniaturowe stalaktyty, na ich końcach drżały małe, lodowate kropelki wody. Kiedy jedna kropla spadła Chłopcu na szyję, mało brakowało, a wrzasnąłby i zdradził swoją obecność. No i śmierdziało tutaj - stęchlizną i wilgocią, zarodnikami niewidzialnych grzybnii, które rozrastały się w mrocznych jaskiniach i tunelach.

Przeszli przez bramę - żelazną bramę z masywną zardzewiałą żelazną kłódką. Za bramą rozciągała się nieprzenikniona ciemność.

Po obu stronach korytarza biegły szeregi niskich drzwi. Valerian zatrzymywał się przed każdymi.

W świetle lampy Valeriana chłopiec dostrzegał dziwne numery na nadprożach drzwi, wyrzeźbione, a potem pomalowane. Liczby nic Chłopcu nie mówiły, ale na niektórych drzwiach zamiast numerów widniały inskrypcje. „*Czasami - głosila jedna - lepiej umrzeć niż żyć*”.

Och, tak, pomyślał Chłopiec. Te słowa z pewnością zachwyciłyby Valeriana.

Potem zobaczył coś, co go zaniepokoiło, chociaż nie wiedział, dlaczego. Valerian zaczął nerwowo drapać się po nosie. Przez długi czas Chłopiec patrzył i daremnie próbował zrozumieć, co go wytrąciło z równowagi.

Valerian zerknął na drzwi. Nagle zwolnił jeszcze bardziej i na palcach, powolutku, podkraść się do drzwi, zataczając lampą szerokie kęgi.

- Chłopcze?! - zawołał.

Coś w jego głosie sprawiło, że Chłopcowi ścierpła skóra. Dla pewności trzymał się jeszcze dalej od światła. Valerian znowu ruszył.

- Chłopcze! - wołał. - Chłopcze, wiem, że tam jesteś. Wyjdź. Porozmawiajmy. Naprawdę nie masz się czego bać. Potrzebuję twojej pomocy.

Chłopiec nie chciał słuchać, ale nie miał wyboru. Pełznął naprzód i ciągle miał nadzieję, że odkryje jakąś drogę wyjścia, może zobaczy światło albo poczuje powiew świeżego powietrza.

Valerian przystanął. Światło lampy przygasało, a on nie mógł jej nieść i nakręcać jedną ręką. Postawił urządzenie na ziemi, przytrzymał stopą, pochylił się i zaczął miarowo kręcić korbką, rozglądając się jednocześnie. Kula znowu zajaśniała silnym blaskiem i Valerian ją podniósł.

- Nie chcę cię skrzywdzić - zapewnił.

Chłopiec pomyślał o Willow i zastanowił się, czy jeszcze żyła. Jeśli nie umarła, nie powinien jej zostawiać. Ale co mógł zrobić? Musiał uciekać, żeby Valerian go nie złapał. Złapałby go nawet ze złamaną ręką, w to Chłopiec nie wątpił. Valerian zawsze zdobywał to, czego pragnął. Zawsze.

- Wyjdź, Chłopcze. Wiem, że tam jesteś. Wyjdź, Chłopcze. Potrzebuję twojej pomocy. Czy nie pomagałem ci przez te wszystkie lata?

W głosie Valeriana brzmiało zmęczenie. Wydawał się stary, żalony i smutny. Wolę, żeby milczał, pomyślał Chłopiec.

- Znalazłem cię. Na ulicy cię znalazłem, gdy kryłeś się w ciemnych kątach. Dałem ci życie, jedzenie i miejsce do spania. Przebyliśmy razem długą drogę, prawda, Chłopcze?

Prawda, Valerianie, pomyślał Chłopiec. I dokąd mnie to zaprowadziło? Znow muszę kryć się w ciemnościach.

Patrzył, jak Valerian prześlizguje się do następnych drzwi i powtarza sztuczkę z pokonaniem ostatnich centymetrów na palcach. Nic nie znalazłszy, ruszył dalej.

- Zawsze się tobą opiekowałem, prawda, Chłopcze? Wiesz, że tak. Ale teraz potrzebuję twojej pomocy. Chyba proszę o niewiele? Mam kłopoty, Chłopcze, przecież wiesz! Potrzebuję pomocy. Jesteś moim famulusem! Potrzebuję twojej pomocy, Chłopcze. Tylko ty możesz mi teraz pomóc.

Chłopiec słuchał, jak Valerian przeciąga każde słowo zbolałym głosem, budzącym litość. Poczł, że łzy płyną mu po twarzy.

- Proszę, Chłopcze. Wyjdź. Będzie jak dawniej. Nie chcę cię skrzywdzić, Chłopcze. Potrzebuję cię. Nie wiesz, ile dla mnie znaczysz. Poza tym muszę ci powiedzieć wiele rzeczy... rzeczy, których ci nigdy nie mówiłem. Kim jesteś i skąd pochodzisz. Chciałbyś wiedzieć, kim naprawdę jesteś, co?

Teraz Chłopiec słuchał z wyteżoną uwagą. Przecież Valerian nie mógł nic wiedzieć o jego rodzicach! Ale jeśli wiedział? Jeśli Valerian umrze i Chłopiec nigdy się nie dowie?

- Tak, mogę ci powiedzieć, kim jesteś, Chłopcze. Mogę ci opowiedzieć o twojej matce i ojcu. Więc wyjdź i porozmawiaj ze mną.

Chłopiec wstał. Valerian jeszcze nie mógł go zobaczyć, ale Chłopiec powoli, z sercem łomoczącym w piersi, ruszył w stronę światła.

- Naprawdę potrzebuję twojej pomocy. I mogę ci powiedzieć, kim jesteś, Chłopcze. Kim jesteś i skąd pochodzisz.

Teraz Chłopiec stał zaledwie o krok za Valerianem.

- Kim jestem, Valerianie? - zapytał cicho.

Valerian obrócił się gwałtownie i podniósł wysoko lampę, chcąc się upewnić, że to naprawdę Chłopiec.

- Chłopcze! - krzyknął. - Tu jesteś! Chodź, nie ma czasu do stracenia!

Ale Chłopiec stał bez ruchu i chociaż krew w nim tętniła, jakby chciała rozsadzić żyły i arterie, przemówił spokojnie do swojego pana:

- Nigdzie nie pójde, Valerianie, dopóki mi nie powiesz, kim jestem.

Valerian zrobił krok w stronę Chłopca z nieruchomą twarzą.

- To ja wydaję rozkazy, Chłopcze, chyba wiesz. Chodź tutaj. Nie zrobię ci krzywdy.

Chłopiec cofnął się o krok.

- Kim jestem, Valerianie?! - zawołał. - Mówiłeś, że mi powiesz.

- Chłopcze - warknął Valerian, podchodząc bliżej, i Chłopiec się zawahał. Widział teraz wyraźnie oczy Valeriana, które jakby wgrzyzały się w jego własne

oczy, znajdowały drogę do jego umysłu i sprawiały, że czuł się mały i bezradny. Zrobiłby wszystko, co mu rozkaże Valerian. Zawsze słuchał rozkazów...

Z wysiłkiem oderwał wzrok od Valeriana i odbiegł kilka kroków w ciemność.

- Chodź tutaj - nakazał Valerian. - Podejdź tutaj!

- Nie.

- Chodź tutaj! - wrzasnął Valerian wściekle. - Ty! Chłopcze! Chodź tutaj!

Chłopiec odwrócił się i skoczył w najbliższe drzwi prowadzące z korytarza. Za nim pomknęło światło lampy Valeriana.

4

Ale co możemy zrobić? - zapytała Willow. - Musimy znaleźć światło - odparł Kepler - bo inaczej tu zginiemy. Spróbuję zapalić jeszcze jedną zapałkę. Może trochę wyschły w ciepłe moich rąk.

Tym razem rozbłysnął jaśniejszy płomyk i trwał dłużej, ale zgasł, kiedy dotarł do drewna zapałki.

Przez tę krótką chwilę Willow zobaczyła rozcięcie nad prawym uchem Keplera. Jaskrawa smuga czerwieni przecinała mu twarz. Wpatrywał się w dogasającą zapałkę z napięciem i widoczną desperacją.

- Co ci się stało w głowę? - zapytała. - Upadłeś?

- W pewnym sensie - odparł. - Teraz to nieważne. Doszło do tego, kiedy rozstałem się z Chłopcem w kanałach.

- Ale kanały...?

- Nie są głębokie. Na ogół woda sięga tylko do pasa. Czasami trzeba uważać na nogi. Trochę dalej jest jedno miejsce, gdzie...

- Ale po co tutaj przyszedłeś? Żeby znaleźć księgę?
 - Nie - zaprzeczył Kepler i parsknął nosowym śmiechem, za który Willow go zniechęciła. - Nie! Przyszedłem tu, żeby ją ukryć.
 - Teraz całkiem się pogubiła.
 - Żeby ją ukryć? Ukryć?
 - Tak. Widzisz, Willow, dowiedziałem się czegoś. Pomagam Valerianowi od dawna. Nie widzieliśmy się przez... przez lata, aż pewnego dnia po prostu zjawił się w moim domu i opowiedział mi o upiorze, z którym się zmierzył. Zachowywał się tak, jakby nic nigdy się nie stało między nami! Ale kiedy powiedział mi o księdze, zrozumiałem, że muszę zostawić przeszłość za sobą. Teraz nie pora i z pewnością nie miejsce, żebym ci opowiadał o wszystkich trudnościach i przeszkodach, jakie napotkaliśmy po drodze. W każdym razie odkryłem, że w niej tkwi odpowiedź.
 - Ale czym jest ta księga? Czego się dowiedziałeś?
 - To coś jak almanach, ale znacznie więcej. Zawiera odpowiedzi na wszelkie pytania, które zadają ludzie. Mieści w sobie wiadomości o paktach różnego rodzaju, jasnych i ciemnych. A także informacje o... umowie, którą zawarł Valerian. I odpowiada na pytania... pytania ukryte w umyśle czytelnika. Potrafi rozwiązać problem Valeriana, co do tego nie ma wątpliwości.
 - To znaczy...
 - Tak, właśnie to. Życie Valeriana zakończy się w okropny sposób.
- Willow przypomniała sobie coś, co jej nie dawało spokoju. Coś ważnego.
- Dlaczego? - spytała.
 - Co? - nie zrozumiał Kepler.
 - Miałeś pomóc Valerianowi znaleźć księgę. A teraz mi mówisz, że chcesz ją ukryć przed nim. Dlaczego?
 - Myślałem, że zgadłaś. Horoskop. Horoskop Chłopca. Właśnie to stanowiło odpowiedź.
 - Co to jest ten...?
 - Horoskop? To pewna metoda myślenia o ludziach, wnioskowania na podstawie układów gwiazd i planet. Wyjaśnia, jaki jest człowiek i dlaczego. To niezwykle cenna nauka, choć niewiele osób naprawdę ją rozumie. Wymaga gruntownej znajomości nieba, planet, gwiazd i ich ruchów dookoła Słońca, które stanowi centrum wszechświata, oraz ich pozornych ruchów wokół Ziemi.

- Nie rozumiem - wyznała Willow, i znowu poczuła się samotna i zagubiona.
- Nieważne. Musisz zrozumieć tylko jedno. Pozycja tych wszystkich ciał niebieskich w chwili poczęcia danej osoby decyduje o naturze, czyli charakterze tej osoby. Nieodwołalnie.

Teraz zaczynała rozumieć.

- Ta kartka, którą znalazł Valerian, z imieniem Chłopca... to jego horoskop?

- Tak jakby - mruknął Kepler. - Tak jakby.

- Ale jak mogłeś obliczyć te rzeczy? Mówiłeś, że trzeba wiedzieć, gdzie były planety w chwili urodzenia danej osoby, ale nie mogłeś tego wiedzieć w przypadku Chłopca. Nikt nie wie, kiedy on się urodził... on sam nie wie!

- Posłużyłem się domysłem. Wyczułem zbieg okoliczności. Niezwykły zbieg okoliczności. Albo przeznaczenie. Przecięły się ścieżki życia Chłopca i Valeriana. I moja ścieżka też. A potem znalazłem księgę i księga to potwierdziła. Pokazała mi. Poznałem prawdę.

- Ale jaki zbieg okoliczności?

- Że dwaj ludzie zamieszkali razem. W tym rozległym mieście z dziesiątkami tysięcy mieszkańców ci dwaj ludzie odnaleźli się nawzajem. Nie, nie uważam, że to zbieg okoliczności. Myślę, że tak działa przeznaczenie.

- Więc dlaczego próbowałeś ją ukryć? Dalej nie rozumiem...

- Valerian zabije Chłopca - odparł Kepler. - Oto odpowiedź. Teraz tylko w ten sposób może się uratować... jeśli odda życie Chłopca zamiast swojego. Pakt można zerwać, ofiarowując życie dokładnie tak długie, jak termin umowy. Właśnie to odkryłem. Sam sporo odgadłem. Księga to potwierdziła. Domyślałem się, kim jest Chłopiec i kiedy został poczęty, więc sporządziłem jego horoskop. Stwierdziłem, że opisywał chłopca, którego bardzo dobrze znam. Tak więc, znając tożsamość Chłopca, zajrzawszy do księgi, zrozumiałem, co zrobi Valerian, kiedy się dowie. Dlatego zszedłem tutaj, żeby ukryć księgę. Za kilka godzin Valerian może ofiarować Chłopca na swoje miejsce i odejść wolno. W ten sposób i z tego powodu Valerian będzie chciał go zabić. Dlatego musimy znaleźć Chłopca, zanim Valerian go dopadnie.

Serce Willow tłuło się o żebra.

Chłopiec. Valerian zabije Chłopca, żeby się uratować. W końcu zaczęła rozumieć sens tej podróży, którą wspólnie odbywali. Taniec - ohydny taniec ze Śmiercią i z Przeznaczeniem.

Coś jeszcze przyszło jej do głowy.

- Ale dlaczego ci zależy na Chłopcu? - zapytała.

- A tobie? - zripostował.

Zanim znalazła odpowiedź, Kepler podjął:

- Mam swoje powody, tak jak ty. I chcę zatrzymać księgę.

- Więc gdzie ją znalazłeś? - zapytała. - Do kogo należy?

- Dowiedziałem się po latach szeroko zakrojonych poszukiwań, że stanowiła własność bogatej i potężnej rodziny. Rodziny nazwiskiem Heeche.

Willow podskoczyła na dźwięk tego nazwiska, ale Kepler nic nie zauważył.

- Duża i potężna rodzina - ciągnął - chociaż teraz podupadła i zdeprawowana. Niegdyś posiadali wiele kamienic w Mieście i duży wiejski majątek. Zbudowali tam kościół, swój prywatny kościół. Służył im za miejsce wiecznego spoczynku. Właśnie tam znalazłem księgę.

- Gdzie?

- W grobie Gada Heeche. Hojnie opłaciłem jednego z bardziej sprzedajnych dziedziców rodu i poznałem miejsce ukrycia księgi...

- Ale... - Dziewczynie zakręciło się w głowie. - Ale ja nie rozumiem.

- Czego? - zapytał Kepler.

- Gad Heeche. Szukaliśmy w grobie Gada Heeche... tam nic nie było, tylko jego kości... widocznie dotarłeś tam przed nami.

Teraz z kolei Kepler się zdziwił.

- Pojechaliście do Lip? Do grobu Gada Heeche? Ale jak? Skąd znaleźcie jego nazwisko?

Willow uśmiechnęła się.

- Odgadłam je z pozytywki, którą Chłopiec dostał od Greena. Nie wiem, skąd Green ją miał, ale nuty melodii, którą odgrywała, odpowiadały literom nazwiska. Gad Heeche.

W ciemności Kepler zaśmiał się z goryczą. Potem nagle urwał.

- To niesłychane!

- Co? - spytała Willow.

- Ta pozytywka... Sam ją dałem Greenowi. Znalazłem ją w grobie Gada Heeche i przywiozłem z Lip. Bawiła mnie. Potem posłałem po Greena,

chciałem, żeby poszedł na spotkanie z Valerianem. Zobaczył pozytywkę na moim biurku i zapytał, co to jest. Kiedy mu ją pokazałem, uśmiechnął się jak dziecko. Poprosił o nią, właściwie zażądał. Nie chciał wykonać roboty, jeśli jej nie dostanie. Ten bandzior! Ale nic dla mnie nie znaczyła, więc mu ją oddałem. Widocznie miał ją ze sobą, kiedy poszedł na spotkanie z Valerianem.

- Ale właśnie ona wskazała nam nazwisko! - wykrzyknęła dziewczyna. - Bez niej nigdy nie znaleźlibyśmy grobu...

- Znowu przeznaczenie - stwierdził Kepler. - Przeznaczenie kieruje nami wszystkimi dla własnych celów...

Willow zastanowiła się nad tym, co usłyszała od Keplera. Niezwykłe. Ta mała pozytywka zawędrowała z grobu Gada Heehe do Keplera, Greena, Chłopca i Valeriana, i tylko Willow wiedziała, co się w niej kryje. Bez niej Valerian wciąż szukałby odpowiedzi, a Chłopiec byłby bezpieczny. Tak mogło działać tylko przeznaczenie. Prawdziwy wyrok losu.

Potem coś ją uderzyło.

- Ale dlaczego? - zapytała. - Dlaczego wysłałeś Greena na spotkanie z Chłopcem w gospodzie Pod Trąbką?

- Wysłałem go na spotkanie z Valerianem... Czy on posłał Chłopca zamiast siebie? Może w ten sposób ocalił życie.

- Jak to?

- Miałem się spotkać z Valerianem tamtego wieczoru, żeby zameldować o postępach w poszukiwaniu księgi. Wiedział, że byłem blisko. I rzeczywiście byłem blisko. Więcej nawet: nie tylko dowiedziałem się, gdzie ukryto księgę, ale nawet zdążyłem ją wykopać. Wyczytałem z niej tyle, że na spotkanie z Valerianem postanowiłem posłać Greena w zastępstwie. Wysłałem list do Valeriana do teatru, żeby spotkał się z Greenem.

- Ale co kazałeś Greenowi powiedzieć? Przecież Valerian czekał na nowiny od ciebie.

- Nic mu nie kazałem mówić. Kazałem mu zabić Valeriana.

Willow zamarła.

- Tak, kazałem mu go zabić. Za kilka dni i tak miał zginąć, a wiedziałem, że jeśli znajdzie księgę, zagrozi życiu Chłopca.

- Ale to twój przyjaciel! Znasz go od lat. Pracowałeś z nim! Nie mogłeś po prostu kazać go zabić!

- Byliśmy przyjaciółmi. Kiedyś, dawno temu... może. Potem się rozstaliśmy. Zostaliśmy rywalami. On... skrzywdził kogoś, na kim mi zależało. Zdradził mnie. W tym samym czasie wydano go z Akademii. Nie widywaliśmy się przez dziesięć lat. Potem przyszedł prosić mnie o pomoc, ale nigdy nie zaprzyjaźniliśmy się ponownie... Powiedział mi o księdze. I zapragnąłem jej. Nigdy nie zamierzałem pomagać Valerianowi, chciałem tylko zdobyć księgę.

- Dalej ci nie wierzę - oświadczyła zapalczywie Willow.

- Posłuchaj, dziewczyno - zawołał rozniewany Kepler. - Albo on, albo Chłopiec. Zrozum! Tylko jeden z nich przeżyje! A ja chcę, żeby przeżył Chłopiec...

Przez długi czas siedzieli w milczeniu, aż nowe pytania w głowie Willow zaczęły domagać się odpowiedzi.

- A jak wróciłeś z Lip? Tunelem?

- Tunelem? - powtórzył Kepler.

- My tak tutaj dopłynęliśmy - wyjaśniła Willow. - Znaleźliśmy wejście do tunelu w krypcie kościoła i podziemną rzekę, która nas tu przyniosła.

- Tak przypuszczałem - powiedział Kepler. - Podczas poszukiwań księgi znalazłem mapę wszystkich katakumb i kanałów. Zbudowałem ich model w piwnicy, bo chciałem się nauczyć każdej trasy na pamięć. Tylko dzięki temu potrafiłem tu wrócić po ciemku.

- Aha! Te kanały i napis w twojej piwnicy?

Kepler kiwnął głową.

- Ale kiedy byłem w Lipach, nie miałem czasu sprawdzić, czy tunel biegnie stamtąd aż tutaj. Został zbudowany przez ród Heeche, kiedy byli u szczytu potęgi, jako połączenie z sercem Miasta. Ten tunel jest znacznie nowszy od reszty.

- Więc wróciłeś do Miasta górą?

- Tak. Wynająłem konia. Miałem księgę i pozytywkę. Powrót zabrał mi dużo czasu. A potem... potem sprawy zaczęły się komplikować. Teraz domu Valeriana pilnują strażnicy. Jak rozumiem, zginęli ludzie.

Willow milczała.

- Tak, wiem o zabójstwach - ciągnął Kepler. - Słyszałem o Greenie, chociaż pewnie nigdy się nie dowiemy, co zaszło tamtej nocy. Wczoraj poszedłem do Pod Trąbką. I o Korpie też wiem.

- Kto ci powiedział? - zapytała.

- Morderstwo Korpa to wielka sensacja - odparł.

- Valerian? Czy to zrobił Valerian?

- Nie mam pojęcia. Nawet ja nie potrafię pojąć wszystkiego, co się tutaj dzieje. Ciekawe, gdzie jest teraz księga. Valerian na pewno ją zabrał ze sobą.

- No, nie wiem - zastanowiła się Willow. - Przecież nie może jednocześnie nieść księgi i lampy.

- To prawda.

- Ale co z kartką? Tym horoskopem? Valerian znalazł go na twoim biurku.

- Horoskop? Tak, popełniłem kolejny błąd! Zostawiłem go tam przez nieuwagę. No, prawie jakbym włożył Valerianowi klucz do ręki. Ale i tak najważniejsza była księga. Dlatego musiałem ją ukryć. Kiedy wasza trójka mnie znalazła, właśnie chowałem księgę. Valerian okropnie się bał tego miejsca. Raz zszedł tutaj jako student. Zabłądził i mało nie zginął. Ślubował, że nigdy więcej tutaj nie przyjdzie. Pomyślałem, że to najlepsze miejsce.

- Mogłeś ją spalić. Wrzucić do rzeki!

- Prędeż bym sobie rękę uciął! - krzyknął Kepler. - Chcę mieć tę księgę, kiedy Valerian... Chcę ją mieć. Jest pełna wszelkiej wiedzy. Kryje ogromną moc, o czym świadczą sukcesy rodziny Heehe. Ale przede wszystkim pokazuje czytelnikowi różne rzeczy, tylko o nim i jego przeznaczeniu...

- Ale jeśli jest tak wspaniała, taka potężna, dlaczego pochowano ją razem z Gadem?

- Widocznie uważano, że jest niebezpieczna. Że jej moc nie zawsze jest... dobra. Że może deprawować.

Willow wzdrygnęła się.

- Na pewno można jej bezpiecznie używać? - zaczęła, ale Kepler jej przerwał.

- Oczywiście! - zapewnił lekceważącym tonem. - Oni byli głupcami. Korzystali z niej niemądrze, co doprowadziło ich do upadku. Więc postanowili pogrzebać księgę. Ale w odpowiednich rękach... To bzdura, że może zaszkodzić, ona tylko obdarza mądrością.

Siedzieli w milczeniu, kiedy ostatnie słowa Keplera rozplynęły się w ciemnościach. Willow poczuła przyływ paniki.

- Ciągłe nie mamy światła - rzuciła desperacko.
- Nie - zgodził się Kepler - nie mamy.
- Nie! - krzyknęła nagle Willow. - Nie! To znaczy, może mamy.

Poszperała w płaszczu. W kieszeni znalazła ogarek świecy, której używali na wielkim cmentarzu, a później w domu Keplera.

- Dlaczego wcześniej nie pamiętałam? - jęknęła, choć przecież bez ognia świeca na nic by się przydała.

- Co to jest? - dopytywał się Kepler.
- Mam kawałek świecy - wyjaśniła. - Wypróbuj jeszcze jedną zapalną i zobaczymy, czy uda się zapalić świecę.

- Doskonale! - zawołał.

Usłyszała, że się poruszył, a potem poczuła jego wyciągnięte ręce.

- Gdzie jest świeca? - zapytał. - Nie ruszaj się, zostań blisko. Dobrze.

Ponownie zapalną rozbłysła na mgnienie i zanim główka zdążyła się wypalić, Kepler przytknął ją do knota świecy. Knot zajął się i ogarek zajaśniał nikłą poświatą.

Poculi ogromną ulgę, chociaż mała plamka światła tylko pogłębiała otaczający ich mrok.

Teraz Kepler zobaczył twarz Willow.

- Uderzył cię? - zapytał.

Kiwnęła głową.

- Tak. Valerian.
- Musimy znaleźć Chłopca.

Potem, w blasku świecy, którą Kepler osłaniał jedną ręką, zobaczyli coś jeszcze.

- Księga! - krzyknęła Willow.
- To uśmiech fortuny. Szczęście zaczyna nam sprzyjać. Tak często działa przeznaczenie. Jeden szczęśliwy traf prowadzi do następnego. No chodź! Wstawaj! Mogę nas stąd wyprowadzić, ale najpierw musimy znaleźć Chłopca!

Chłopiec wiedział, że popełnił błąd, kiedy pokazał się Valerianowi. Jak mógł znowu mu zaufać? Jak mógł? Valerian pewnie popełnił już morderstwo. Korp albo Green... albo obaj? Nie, nie mógł zabić jednego i drugiego.

Natomiast z całą pewnością Chłopiec nie mógł samemu sobie ufać przy Valerianie. Wystarczyło, że trochę za długo patrzył mu w oczy, i już zapominał, co jest dobre, a co złe, co jest czarne, a co białe.

Gra w kotka i myszkę zaczęła się od nowa, ale tym razem nie Chłopiec śledził swego pana, tylko Valerian ścigał Chłopca. Nie mógł się szybko poruszać, a tunel był niski. Szedł zgarbiony, pochylony nad lampą. Tunel wybrany przez Chłopca biegł prosto, krótki i wąski, toteż Valerian wyraźnie widział przed sobą uciekiniera.

Chłopiec zdawał sobie z tego sprawę i przerażony pędził co sił w nogach.

A potem nagle sufit umknął znad jego głowy i Chłopiec stanął na rozległej otwartej przestrzeni, chociaż wciąż głęboko pod ulicami Miasta. Przed sobą widział jakby niewielkie pagórki - białe hałdy w ciemnościach. Usłyszał kroki Valeriana zbliżające się do wylotu tunelu.

Skoczył do przodu, potknął się i wpadł na jeden z białych stosów. Słyszał, jak coś pęka z trzaskiem. Valerian wynurzył się z tunelu i poświecił prosto na Chłopca.

- No! - krzyknął. - Mam cię nareszcie.

W świetle Chłopiec odkrył, że siedzi na stosie kości. Rozpoznał wśród nich ludzkie czaszki.

Wrzasnął.

Podniósł czaszkę i cisnął w zbliżającego się Valeriana. Mag uchylił się, ale zbyt wolno. Wiekowa czaszka trafiła go w złamane ramię. Zawył i zachwiał się na nogach. W tym ułamku sekundy Chłopiec podniósł się niezgrabnie, bo rozsypane kości umykały mu spod stóp, i wybierając jedną z wielu możliwych tras, pobiegł zygakiem pomiędzy stertami szkieletów, wypełniającymi ogromną salę.

Biegł i biegł, wpadał na jeden stos za drugim, czyniąc przy tym wiele hałasu. Nie wątpił, że Valerian zaraz go złapie.

Wreszcie zrobiło się tak ciemno, że nic już nie widział. Z rozpędu przebiegł jeszcze kilka kroków, potknął się o następną czaszkę i wpadł w kolejną stertę. Za bardzo się bał Valeriana, żeby się przejmować, na czym leży.

Trwał bez ruchu, oddychał jak najciszej i po chwili uświadomił sobie, że nie słyszy pościgu. Nigdzie nie widział światła. Valerian pewnie skradał się gdzieś na tym polu kości, ale Chłopiec na razie go zgubił. Bez światła nie mógł iść dalej, ale czuł się taki zmęczony i roztrzęsiony, że było mu wszystko jedno. Przez ostatnie kilka dni oglądał z bliska mnóstwo ludzkich szczątków, tysiące kości, które niegdyś należały do ludzi, a wszystko dlatego, że jeden człowiek za nic nie chciał do nich dołączyć.

Wyczerpany, oparł głowę na wyciągniętym ramieniu i zadziwiająco szybko zapadł w sen. Spał na podziemnym polu kości, które powstało setki lat temu. Przenoszono tu wówczas ekshumowane zwłoki z pękających w szwach cmentarzy wokół Miasta, żeby zrobić miejsce dla nowych przybyszów.

Obudził się z krzykiem. Zatkał sobie usta ręką i szlochał gwałtownie, dopóki przerażenie nie minęło. Podniósł się i ruszył przed siebie w ciemnościach.

Próbował udawać, że nie oślepl, że nadal widzi drogę. Postanowił iść, dopóki na coś nie wpadnie. Bardzo szybko wpadł na ścianę, ale jakąś dziwną w dotyku. Przesunął palce po powierzchni i wyczuł dziwne gałki, każda wielkości jego pięści. Ruszył wzdłuż ściany i dotarł do rogu. Wysunął rękę w prawo i wyczuł w pobliżu drugą ścianę, taką samą jak pierwsza. Znalazł się w następnym korytarzu. Przyłożył ręce do obu ścian i zaczął iść najszybciej, jak się odważył.

Gałki wydawały się dziwne - chłodne i gładkie, suche pomimo wszechobecnej wilgoci panującej w katakumbach. Rozmieszczone w jednakowych niewielkich odstępach, biegły niewiarygodnie prostymi szeregami od podłogi aż ponad głowę Chłopca. Pokrywały chyba całą ścianę. Próbował odgadnąć, co to takiego, a potem natrafił lewą ręką na inny fragment ściany i natychmiast zrozumiał.

Czaszka. Wpasowana w ścianę zbudowaną z kości - kości udowych, ułożonych jedna na drugiej tak, że grube głowy kości wystawały na zewnątrz.

Ponownie wezbrała w nim panika i zaczął uciekać na oślep, z wrzaskiem.
Dobiegł do końca korytarza. Gdyby miał światło i obejrzał się za siebie,
zobaczyłby inny napis nad drzwiami, z których właśnie wybiegł.
Stój! Oto Królestwo Śmierci.
Przynajmniej uciekał we właściwym kierunku.

6

Valerian skradał się dalej. Już dawno zgubił Chłopca. Ręka tak go bolała, że cierpienie zaćmiło wszelkie myśli, a jednak nie mógł się zatrzymać. Wiedział, że już na pewno wstał świt jego ostatniego dnia, lecz tutaj na dole, w piekielnych ciemnościach, nie miał pojęcia, która godzina i ile czasu mu jeszcze zostało.

Zadygotał z trwogi. Próbował odgadnąć, co się dzieje w Mieście ponad tym podziemnym królestwem. Pewnie ludzie zajmują się zwykłymi sprawami, śpią, budzą się, pracują albo szykują się do sylwestrowej zabawy.

Koniec Martwych Dni i koniec misji Valeriana, tak czy inaczej.

Musi znaleźć Chłopca, i to szybko. Tylko tyle wiedział. Wkrótce otworzą się bramy grozy i straszliwa moc wypuszczona na ziemię zacznie polowanie. Nie spocznie, dopóki go nie znajdzie, nie schwyta i nie porwie do piekła.

Valerian powoli, mozolnie wędrował dalej, skupiony tylko na jednym. Na Chłopcu.

A potem z prawej strony poczuł na twarzy podmuch powietrza. Tak wyraźnie świeży wśród stęchłej atmosfery katakumb, że Valerian natychmiast go zauważył.

Zmienił kierunek marszu i skręcił w stronę podmuchu. Szybko dotarł do większej sali, gdzie przepływał jeden z kanałów, chociaż tutaj z niewiadomego powodu woda płynęła szybko jak w górskiej rzece. Rozejrzał się, zobaczył

drzwi, a potem snop światła strzelający prosto w górę nad jego głową. Zaczął się zastanawiać.

Wkrótce zaczął się również uśmiechać.

Zawrócił do niskiego tunelu i czekał.

7

Kepler szedł przodem, trzymając przed sobą świecę. Willow dźwigała księgę przyciśniętą do piersi. Co pewien czas musiała się zatrzymać, żeby przełożyć nieporęczny ciężar na drugie ramię. Nie chciała mieć nic wspólnego z księgą, ale Kepler nalegał, żeby ją zabrali.

- Nie możemy jej tutaj zostawić? - prosiła. - Przecież chciałeś ją ukryć. Nie możemy później po nią wrócić ze światłem?

- Absolutnie nie! - sprzeciwił się Kepler. - Już raz popełniłem błąd. Teraz Valerian wie, że księga jest tu na dole. Nie wypuszczę jej z rąk... a raczej ty jej nie wypuścisz, dopóki stąd nie wyjdziemy.

Tak więc wędrowali przez otwarty plac, gdzie Willow, Chłopiec i Valerian po raz pierwszy wyszli na brzeg.

- Jeśli druga łódź wciąż tam jest, mamy jeszcze szansę – powiedział Kepler.

Rozległ się okrzyk i tupot nóg. Przed nimi stanął Chłopiec.

- Willow! - krzyknął i objął dziewczynę.

Kiedy tak trzymał ją w ramionach, nie czuł już lęku, tylko nadzieję. Willow odwzajemniła jego uścisk.

- Chłopcze! - powtarzała uszczęśliwiona. - Chłopcze! Chłopcze!

Chłopiec podniósł wzrok i wtedy zobaczył Keplera.

- Ty! -zawołał.

Nie wiedział, co powiedzieć, bo sam nie wiedział, co czuł.

- Nie powinieneś być tego robić - wyrwało mu się tylko.

- Wróciłibyśmy po nią - odparł Kepler. - Sama ci powie.
Ale ona milczała.

- Musieliśmy cię od niego zabrać - próbował wytłumaczyć Kepler. -To tobie grozi niebezpieczeństwo.

- Dlaczego?! - zawołał Chłopiec. - Czego on chce ode mnie?

- Później. Tutaj na dole, dopóki Valerian jest gdzieś w pobliżu, przez cały czas grozi ci niebezpieczeństwo. Odejdźmy stąd. To miejsce mnie przygnębia, bo stanowi schronienie przed wszystkim oprócz śmierci. Powiem ci, kiedy wrócimy na górę do Miasta.

- Łódka, Chłopcze - powiedziała Willow. - Szybko.

Rzeczywiście na przystani cumowała łódka, nawet z bosakiem.

Kepler zajął miejsce na dziobie, Willow usiadła pośrodku z księgą w objęciach, Chłopiec trzymał bosak z tyłu i tak wyruszyli z powrotem do świata na powierzchni.

Wiele myśli kłębiło się w głowie Chłopca, ale jedno pytanie dręczyło go szczególnie.

- Dlaczego on chciał mnie skrzywdzić? - zapytał.

Milczenie.

- Niech ktoś mi odpowie! - zażądał Chłopiec. - Odpowiadajcie! Do czego on mnie potrzebuje?

- Cicho! - szepnęła Willow. - Ktoś może usłyszeć!

- Więc odpowiedz!

- On potrzebuje twojego życia - odparł chłodno Kepler. - Twoje życie to teraz dla niego jedyny ratunek.

Chłopiec pokręcił głową.

- Nie - wykrztusił. - On nie mógł... nie wierzę!

- Więc powiedz mi, Chłopcze, dlaczego uciekałeś? - zapytał Kepler.

Chłopiec nie odpowiedział. Dryfowali z prądem. Kepler zaczął mamrotać do siebie, potem odezwał się głośniejszym głosem:

- Musimy skręcić w inny tunel. Na prawo, już niedaleko... Tam jest!

Chłopiec z całej siły odepchnął się bosakiem od dna, walcząc z szybkim prądem. Zdołał zmusić łódkę do skrętu, ale bosak nagle utkwił głęboko w mule.

- Szybko! - zawołał. - Pomóżcie mi!

Prąd szarpał łódkę. Chłopiec omal nie wpadł do wody, w ostatniej chwili puścił bosak. Pomknęli dalej, teraz zdani już tylko na wartki nurt.

- Nieważne! - zawołał Kepler. - Musimy tylko się dostać na tamten brzeg naprzeciwko. Tam wyjdziemy!

Kanał zwęził się jeszcze bardziej, prąd gwałtownie nabrał mocy.

Wreszcie znaleźli się w małym tunelu, przegrodzonym starożytną kratą o otworach nie większych od męskiej dłoni. Woda przelewała się przez kratę z ogromną szybkością, pędząc gdzieś w dół, ku otchłani. Łódka uderzyła w kratę tak mocno, że na dziobie wyrwało sporą dziurę.

Willow mało nie wypadła za burłę, kiedy łódź obijała się o kratę, pchana nieustępliwą siłą wody. Przynajmniej na razie nigdzie nie płynęli. Potem Chłopiec zobaczył z przerażeniem, że łódź trze o zardzewiałe pręty. Jeśli krata się rozpadnie, nic już ich nie uchroni, runą w czarną otchłań.

Chłopcu zawsze kazano wierzyć, że piekło jest rozpalone i gorące, teraz jednak zmienił zdanie. Jeśli piekło istniało, znajdowało się w tym miejscu, tu i teraz. Zimne, mokre i bardzo, bardzo ciemne.

Uczepili się brzegu i Willow z trudem wygramoliła się na kamienną przystań, rzuciwszy przed siebie księgę.

Obróciła się na plecy i odkryła, że patrzy w oczy Valeriana.

- Pomóż im wyjść - powiedział.

Zamarła, przejęta zgrozą.

- Pomóż im! - wrzasnął.

Nie miała wyboru. Za kilka chwil krata pęknie pod ciężarem łodzi i tamci przepadną na zawsze.

Pomogła wyjść Keplerowi, a potem oboje wyciągnęli Chłopca.

Stanął naprzeciwko Valeriana.

Księga leżała pomiędzy nimi na kamiennych płytach.

Valerian trzymał lampę Keplera. Blask zaczął słabnąć, więc Valerian, nie odrywając od niego wzroku, postawił ją na podłodze, przytrzymał nogą i pokręcił korbką, aż bańka zajaśniała mocno.

- No cóż, Chłopcze - zaczął.

- Zostaw go, Valerianie - zażądał Kepler.

- Milcz! Ty zdrajco! Uważałem cię za przyjaciela!

- Byłem kiedyś twoim przyjacielem. Kiedyś. Ty sam nauczyłeś mnie zdrady dawno temu. Już nie jest tak jak dawniej. Przyznaj, poniosłeś klęskę. Nie możesz kazać Chłopcu, żeby odszedł zamiast ciebie. To twoja sprawa, nie jego.

- Ale teraz wiemy, co Chłopiec może dla mnie zrobić - odparł Valerian z nieprzyjemnym uśmiechem. - W tym przypadku uważam za słuszne, żeby on odszedł zamiast mnie.

- Nie! - krzyknęła Willo w. - Nie! Jesteś zły!

Valerian zaśmiał się z jej słów.

- Nie jestem martwy! Tylko to się liczy. No, Chłopcze, podejdź do mnie!

Chłopiec zaczął się cofać.

Willow i Kepler przysunęli się do siebie, żeby zasłonić go przed Valerianem, ale on tylko się śmiał.

Lewą ręką wyjął spod płaszcza cienką czarną rurkę. Potrząsnął nią, zginając nadgarstek. Długi, ostry szpikulec wysunął się z sykiem i zablokował z metalicznym szczęknięciem. Valerian wycelował w nich ostrze.

- Chcę tylko tego chłopca - oświadczył i zrobił krok do przodu. Zaczęli krzążyć. Valerian prowadził w tańcu i spychał ich do tyłu, bliżej kanału.

Było ich troje przeciwko niemu. Miał tylko jedno sprawne ramię, ale trzymał ostry nóż. Stanęli nad brzegiem kanału. Valerian wydawał się pokonany, zraniony i stary. Widząc go takiego, nabrali pewności siebie i podeszli bliżej.

Chłopiec poczuł w sercu drgnienie litości dla swego pana. Teraz nadejdzie jego koniec, tak czy inaczej. Patrzył, jak Valerian spowolnionym ruchem wsuwa sztylet pomiędzy zęby, a potem jeszcze raz sięga pod swój obszerny czarny płaszcz.

- Nie! Powstrzymajcie go! - krzyknął Chłopiec.

Dłoń Valeriana wysunęła się spod płaszcza teatralnym gestem, który Chłopiec widział już wcześniej.

Oślepiający błysk oświetlił na mgnienie całą podziemną salę, a po chwili wypełnił ją purpurowy dym.

- Ho!

Chłopiec dobrze znał ten suchy głos, pełen gorzkiej ironii.

- Ho! W drogę do krainy czarów!

Krztusili się dymem i ciągle widzieli ten rozbłysk światła, nawet z zamkniętymi oczami. Dym rozwiewał się bardzo powoli w nieruchomym powietrzu, wreszcie jednak zaczął rzednąć.

Willow wpadła na Keplera, a potem rozejrzała się dzikim wzrokiem. Lampa leżała na podłodze i wciąż jasno świeciła. Ale nie było przy niej nikogo.

- Zniknął!
- Valerian! - zachrypiał Kepler, który wciąż miał pełno dymu w płucach i w oczach.
- O nie! - krzyknęła. - Och, proszę, nie! On ma Chłopca. Zabrał Chłopca ze sobą!
- Szybko! - zawołał Kepler. - Musimy go uratować.
- Ale jak? On znowu zniknął w magiczny sposób! Nie możemy go dogonić.
- Magiczny? - prychnął Kepler. - Magiczny? Valerian nie zna żadnej magii!
- Ale sama widziałam, jak zniknął! I ty też widziałeś!
- Nie, wcale nie widzieliśmy! To tylko sztuczka. Widocznie znalazł drogę wyjścia. Wyjdźcie z tej krainy zmarłych. Drzwi. Rozejrzyj się, Willowi

8

Chłopiec poczuł, że ktoś go chwyta i wlecze za kark. Znajome uczucie. Dreptał za Valerianem, kaszląc od dymu, nie rozumiejąc, jak mógł dać się nabrać na sztuczkę, którą widział już tyle razy. Ciągnięty w górę po długich, krętych schodach potykał się z początku, ale wkrótce Valerian jakby odzyskał swoją niewiarygodną siłę i Chłopiec dosłownie frunął po stopniach.

Wiedział, że Valerian nie władał już prawdziwą magią. Te czasy dawno minęły. Teraz prawdziwa magia, potężna i złowroga, pragnęła zawładnąć Valerianem.

Kiedy oczy Chłopca przestały łzawić, zaczął się rozglądać i zobaczył coś, co nim wstrząsnęło. Znajdowali się na powierzchni.

Co więcej, znajdowali się w ogrodzie Żółtego Domu.

- Jak... jak się tutaj dostaliśmy? - zakaszłał.

- Całkiem prosto - odparł Valerian - kiedy już określisz swoje położenie. Trochę wiedziałem, reszty się domyśliłem. To mi zabrało więcej czasu, niż powinno. Teraz bądź cicho i rób, co ci każe.

Chłopiec poczuł, jak wspomnienia z przeszłości łaskoczą mu umysł. Przypomniał sobie dni, kiedy siadywał w ogrodzie i wyobrażał sobie, że słyszy płynącą wodę. Widocznie wcale sobie nie wyobraził.

Odwrócił się do ucieczki, ale zamarł, kiedy poczuł na gardle czubek noża Valeriana.

- Jeszcze krok - syknął mag. - Jeszcze jeden krok będzie twoim ostatnim. Marsz na górę.

Niezręcznie operując kluczami i nie wypuszczając noża, Valerian otworzył tylne drzwi Żółtego Domu, prowadzące do kuchni. Popchnął Chłopca przodem.

- Pospiesz się! Zostało mało czasu!

Dotarli do holu, kiedy zegary wybiły za kwadrans godzinę. Ale którą godzinę?

- Przekleństwo! - krzyknął Valerian. - Północ!

Popędził Chłopca po schodach, w górę, w górę, aż na wierzchołek wieży.

Kopniakiem otworzył drzwi, wepchnął Chłopca do środka, zatrzasnął drzwi i przekręcił klucz w zamku. Schował klucz do kieszeni i pokuśtykał w stronę *camera obscura*. Zaczął poprawiać ustawienia, klnąc głośno, kiedy nie mógł sobie poradzić jedną ręką.

- Valerianie - odezwał się Chłopiec.

- Zamknij się, Chłopcze! - wrzasnęła, odwracając się gwałtownie. - Zamknij się. Nie mów nic. Nie rób nic.

- Ale...

- Powiedziałem, cicho!

Chłopiec zamilkł. Valerian na chwilę zamknął oczy, potem znowu po-majstrował przy soczewkach. Zadawolony, zaczął sprawdzać ulice wokół domu. Chłopiec usłyszał jego cichy głos:

*Gwiazdy wciąż wirują i czas ciągle płynie,
Zło przyjdzie, gdy zegar wybije godzinę.*

Nie zobaczył niczego niezwykłego, więc po chwili zrezygnował.

- Może Kepler miał rację - rzucił, odwracając się do Chłopca. - Może to była strata pieniędzy, ale jeszcze się nie poddałem.

Podszedł do fotela i usiadł.

- Teraz musimy tylko poczekać. Za kilka minut nadejdzie. Nadejdzie czas. Wtedy pójdziesz zamiast mnie i zostaną uratowani. Mam nadzieję, że to jasne.

Chłopcu się zdawało, że Valerian zadaje mu pytanie.

- Nie - odpowiedział.

- Milcz! - krzyknął Valerian. - Nie wolno ci pytać. Służyłeś mi przez te wszystkie lata; oddasz mi tę ostatnią usługę.

Na dworze sypał gęsty śnieg. Nagle coś huknęło za oknem i zabłysło światło. Valerian zerwał się z fotela.

Wtedy obaj zobaczyli pióropusze fajerwerków wybuchające nad Miastem i Valerian z powrotem opadł na fotel. Usłyszeli odgłosy sylwestrowej zabawy.

- Ludzie się bawią - mruknął Valerian. - Okazja do świętowania. No, niedługo i my będziemy mieli co świętować.

Zerknął na jeden z zegarów. Chłopiec rozejrzał się rozpaczliwie. *Camera obscura*, sceniczne rekwizyty, przybory, eksperymenty, chemikalia. Znikąd pomocy.

- Jak możesz być tak okrutny? Przecież nic złego ci nie zrobiłem. Pomagałem ci, jak umiałem, ale nie chcę...

- Umierać? Ani ja, Chłopcze. Dlatego pójdziesz zamiast mnie.

- Ale ja nie rozumiem! - krzyknął Chłopiec. - Dlaczego akurat ja, ze wszystkich ludzi?

- To pewnego rodzaju żart. Właśnie ty ze wszystkich ludzi i tylko ty możesz mnie uratować. Byliśmy sobie przeznaczeni, ty i ja. Kiedy spadłeś z sufitu w tamtym kościele, to też było przeznaczenie.

Chłopiec stał i wytrzeszczał oczy na swojego pana. Pana, który nim pomiałał, bił go, wrzeszczał na niego. To prawda, ale również pomagał mu, karmił go i ubierał, opiekował się nim na swój sposób. Nie mógł uwierzyć, że Valerian naprawdę zamierza posłać go na śmierć.

- Ale czemu? Dlaczego ja?

- Ty jesteś rozwiązaniem - odparł spokojnie Valerian. - Tak mi powiedziała księża. Przez cały czas miałem cię pod ręką. Teraz to wiem, tak jak Kepler. Ty jesteś rozwiązaniem.

Chłopiec tępo pokręcił głową.

Zegar na ścianie tykał dalej i jego długa wskazówka przesunęła się o następną minutę.

- Piętnaście lat temu... piętnaście lat temu dobiłem targu. Mówiłem ci. Na końcu miałem zapłacić okropną cenę. Ale nie powiedziałem ci tego, czego sam nie wiedziałem. Kiedy zawarłem pakt, powstało wówczas coś jeszcze. Ktoś, powinienem raczej powiedzieć. Nowa dusza.

Chłopiec znowu pokręcił głową, jakby nie chciał uwierzyć. Zegar zgrzytnął i zabrzączał. Jedna minuta do północy.

- Co... - wyjąkał Chłopiec. - Co...?

- Nie „co”, Chłopcze, tylko „kto”. Ty. Ty zostałeś poczęty tej samej nocy, kiedy zawarłem umowę, piętnaście lat temu w wigilię Nowego Roku. Jesteś naczyniem, które mogę wykorzystać. Tak mi powiedziała księża i pokazała mi również jedyne wyjście, które pewnie pokazała też Keplerowi. Życie tak samo długie, mierząc od chwili poczęcia, jak termin umowy. Więc pójdziesz zamiast mnie. Wtedy umowa zostanie wypełniona i odejdę wolno.

- Ale ja umrę!

- Tak - przyznał Valerian. - Ale ja nie.

Zegar zaczął wybijać północ. Kiedy ucichło dwunaste uderzenie, coś się pojawiło.

Pokój wypełnił się światłem i tym razem obaj wiedzieli, że to nie fajerwerki. Zrobiło się jasno jak w dzień, nawet jaśniej, a potem nadleciał silny wiatr, który poderwał wszystkie leżące luzem papiery i zakręcił nimi w obłądnym tańcu.

Chłopiec zatoczył się do tyłu i upadł na podłogę. Valerian wstał, walcząc z wichurą szalejącą po pokoju. Poły jego szerokiego czarnego płaszcza łopotały w porywach wiatru.

Chłopiec zmrużonymi oczami spojrział w światło, pośrodku którego pojawiła się teraz czarna dziura. Początkowo niewielka, rozrastała się i wydłużała, aż przybrała kształt i wielkość człowieka unoszącego się tuż nad podłogą.

Potem rozbrzmiał głos. Przynajmniej Chłopiec myślał, że to głos, chociaż nikt nie wymówił ani słowa. Chłopiec po prostu słyszał te słowa w głowie i wszędzie dookoła. Głos, chociaż cichy i spokojny, był zadziwiająco wyraźny. Brzmiał głucho i bezbarwnie.

- Valerianie, nadszedł twój czas. Wystąp.

Chłopiec poczuł falę bólu, mentalnego bólu, aż zeszywniał ze strachu. Valerian stał przed dziurą, chwiejąc się lekko.

- Nie - powiedział drżącym głosem. - Nie. Chłopiec pójdzie zamiast mnie. Zapadło milczenie.

- Czy nie mam do tego prawa? - zapytał Valerian.

- Niech chłopiec wystąpi.

Valerian odwrócił się do Chłopca.

- Wstawaj - rozkazał zimno.

Chłopiec ani drgnął.

- Wstawaj!

Tym razem ryknął na cały głos i Chłopiec odruchowo wstał. Zawsze tak robiłem, pomyślał. Zawsze wypełniałem rozkazy Valeriana.

- Naprawdę jestem tylko pustym naczyniem? - zapytał cicho.

Valerian kiwnął głową.

- Jesteś tylko naczyniem i wypełniłeś swoje zadanie. Stworzono cię dla mnie. Jestem twoją jedyną rodziną i twoja rodzina cię potrzebuje.

- Nie! - krzyknął Chłopiec. - Nie jesteś moją rodziną. Muszę mieć ojca i matkę! Wszyscy mają.

- Nie ty, Chłopcze. Ty nie masz nawet imienia.

- Mogłeś mi nadać imię. Dlaczego nie nadałeś?

Czerń za ich plecami zawirowała gniewnie, wylewając z siebie ohydne barwy. Ponownie odezwał się głos:

- Już czas! Wystąp!

- Mogłeś mi nadać imię, jeśli ci w ogóle na mnie zależało! - krzyczał Chłopiec. - Ale nigdy ci nie zależało! Tylko mnie biłeś i krzyczałeś, że jestem głupi, kopałeś mnie i poniewierałeś mną! Przez całe życie biegałem po Mieście, po wszystkich ciemnych dziurach, po zakazanych uliczkach, a tobie nigdy nie zależało! Nigdy!

- Chłopcze... - zaczął Valerian.

- Nie nazywaj mnie tak! Chcę mieć prawdziwe imię! Chcę wiedzieć, kim jestem! Muszę mieć prawdziwe życie. Muszę! To nie może być wszystko, co mnie czeka!

Valerian spojrział na Chłopca. Zdawało się, że chciał coś powiedzieć, ale zmilczał i odwrócił się w stronę wzbierającej nicości, która groziła, że pochłonie cały pokój.

A potem rozległ się inny dźwięk. Stukanie do drzwi wieży. Valerian go nie usłyszał. Całą uwagę skupił na atramentowym ośrodku wiru.

Stukanie powtórzyło się znowu, tylko głośniejsze, a potem Kepler i Willow wpadli do pokoju. Drzwi z rozmachem zatoczyły półokrąg na starych zawiasach, drzazgi z rozbitego zamka posypały się na podłogę. Przybysze w jednej chwili pojęli groźbę sytuacji.

- Nie! - krzyknął Kepler. - Nie!

Valerian obejrzał się na niego.

- Ty! - cisnął mu w twarz. - Ty! Jakie masz prawo mi mówić, co mam robić?

- Valerianie! Nie, nie, nie! Nie wolno ci zabić Chłopca! Nie wolno!

Willow podbiegła do Chłopca i oboje przywarli do siebie, kuląc się na upiornym wietrze. Inne, mniej dokładne zegary w całym domu kolejno wybiły północ.

- Nie możesz go zabić - powtórzył Kepler.

- A to dlaczego? - prychnął szyderczo Valerian. - Powiedz mi, dlaczego! On jest mój, zawsze był mój i zrobię z nim, co zechcę!

- Tak, on jest twój - jęknął błagalnie Kepler, wytrzeszczając oczy z rozpaczy.

- On jest moim niewolnikiem i...

- Nie, Valerianie! Nie! On jest twoim synem. - Kepler zrobił krok w stronę Valeriana.

- Nie bądź...

- Powiedziałem, że jest twoim synem! - krzyknął Kepler, wznosząc pięść nad Valerianem.

Valerian drgnął jak od fizycznego ciosu. Nie odpowiedział.

- Zobaczyłem to w księdze! To prawda! Przypomnij sobie, w jakim on jest wieku! Jego wiek, Valerianie!

Chłopiec z wysiłkiem dźwignął się na nogi.

Valerian spojrział mu głęboko w oczy. Chłopiec poczuł, że Valerian znowu do niego przychodzi jak tyle razy przedtem, poprzez oczy sięga do jego duszy, ale tym razem inaczej. Nie rozkazywał, nie kontrolował, tylko szukał, badał.

Chłopiec czuł, że umysł Valeriana ogląda jego umysł, jakby po raz pierwszy naprawdę poznawał jego zawartość, jakby wreszcie zrozumiał życie Chłopca. Lata, które spędził na niegościnnych ulicach Miasta, zdany tylko na siebie

i własny spryt. A potem... odnaleziony przez Valeriana, spodziewał się tak wiele, lecz otrzymał tak mało.

Valerian odkrył nagle, że jego własny ból nie liczy się w porównaniu z cierpieniem Chłopca.

Odsunął się krok do tyłu, ale wciąż wpatrywał się w oczy Chłopca.

Zrobił kolejny krok do tyłu w stronę wirującej otchłani, i jeszcze jeden krok, aż wpadł w ciemność, już martwy.

Wymówił jeszcze jedno, ostatnie słowo.

- Chłopcze!

Chłopiec stał odrętwiały.

Dziura, światło, wiatr znikły szybciej, niż się pojawiły i Chłopiec wpatrywał się w pustą przestrzeń. Pozostała tylko cienka smużka żółtego dymu wisząca w powietrzu i ostry fetor drażniący nozdrza.

Valerian zniknął.

Willow podbiegła do Chłopca i trzymała go w ramionach, kiedy wrzeszczał do utraty tchu.

W końcu wrzask ucichł, przerodził się w szloch, a potem Chłopiec usiadł prosto, zalany Izami, i popatrzył na Willow.

- Odszedł. Zmienił zdanie. Pozwolił mi żyć.

- Nie mów nic - poprosiła. - Nie teraz.

- Ale wciąż tak mało rozumiem. Mój ojciec... mój ojciec? Odwrócił się do Keplera, który stał i patrzył na niego z dziwną miną.

- Czy on... on naprawdę był moim ojcem? - zapytał Chłopiec.

Kepler spojrzał twardo na Chłopca. Mijały długie sekundy, a on ciągle milczał.

- Czy on był moim ojcem? Powiedz mi! - zażądał Chłopiec, tym razem bardziej natarczywie.

- Ależ skąd - warknął Kepler. - Nie bądź śmieszny. Powiedziałem tak, żeby uratować ci życie. Wiedziałem, że tylko to jedno go powstrzyma.

- Nie! - krzyknął Chłopiec. - Nie! Kłamiesz. Teraz kłamiesz! Powiedziałeś, że jestem jego synem.

- Nie wiesz wszystkiego, Chłopcze - oświadczył Kepler. - Nie wiesz o rzeczach, które zdarzyły się dawno temu. Ja tylko wykorzystałem te rzeczy, żeby cię uratować.

Odwrócił się do drzwi.

- Nie! - krzyknął Chłopiec. - Czekaj...

- Żyjesz, prawda, Chłopcze? Bądź za to wdzięczny.

Kepler pochylił się i podniósł księgę z podłogi, gdzie ją upuściła Willow.

- Zaopiekuję się wami - obiecał. - Obojgiem. Teraz, kiedy Valeriana już nie ma.

Wyszedł przez roztrzaskane drzwi.

Chłopiec osunął się w ramiona Willow i znowu zaczął szlochać. Otaczały ich ruiny tego, co niegdyś stanowiło serce świata Valeriana. Z ulic na dole dochodził gwar radosnych, pijanych ludzi, na niebie z hukiem wybuchały fajerwerki.

Minął długi czas. Łzy płynęły strumieniami po twarzy Chłopca, a Willow wciąż trzymała go w ramionach. Myślał o tym, co usłyszał, co zobaczył, ale nawet nie próbował zrozumieć.

Później przyjdzie czas na zrozumienie.

I było coś jeszcze. Ktoś jeszcze.

Jakby dopiero teraz zauważył Willow, poczuł dotyk jej ramion. Podniósł głowę i spojrzał jej w oczy, i wreszcie zobaczył miłość, która tam na niego czekała.

Zaświtał nowy rok i nowa, inna przyszłość, jakiej Chłopiec nie przeczuwał. Wiedział, że czeka go nieznana, pełna niespodzianek ścieżka, ale jedno było jasne.

Chłopiec i Willow pójną tą drogą razem.

Od autora

Czyście kiedy czuli martwość tego cichego okresu pomiędzy Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem? Dla mnie to Martwe Dni. Dni, kiedy otwierają się drzwi pomiędzy naszym światem a tym drugim, niewidzialnym, który leży tuż pod powierzchnią.

W tym czasie bez czasu powraca do nas pogańska moc starożytnego święta zimowego przesilenia. Wszystkie czasy stają się jednym. Tak mi się wydaje, ale nie ja pierwszy badałem Martwe Dni. Opierałem się na systemach starożytnych Egipcjan i Azteków. I jedni, i drudzy stworzyli mity dla wyjaśnienia pięciu dodatkowych dni, potrzebnych, żeby przystosować ich kalendarz do roku solarnego. Dla Egipcjan te dni były darem od bogów; Aztekowie uważali je za feralne i złowróżbne. Oczywiście te dni nie mają żadnego związku z naszym przesileniem zimowym, wydaje się jednak, że dni spoza czasu przynależą właśnie tutaj.

Potem zaczął rosnąć świat, a raczej miasto tak ogromne i rozległe, że stanowiło świat cały. Miasto zainspirowały magiczne miejsca, jak Paryż z kilometrami katakumb, Bolonia ze swoim ukrytym systemem kanałów i Kraków z zatłoczonymi cmentarzami i mnóstwem śniegu na Gwiazdkę.

Umieściłem je w czasie tkwiącym jedną nogą w mrokach starożytnych zabobonów, a drugą w epoce nowoczesnego racjonalizmu, kiedy nauka stawiała się dopiero rygorystyczną dyscypliną, jaką jest obecnie, jednak dla niewtajemniczonych pierwsze eksperymenty z elektrycznością i magnetyzmem z pewnością wyglądały na magię.

I kiedy wciąż jeszcze działała prawdziwa magia, zwłaszcza podczas Martwych Dni, które wprawdzie zdarzają się tylko raz w roku, ale towarzyszą nam zawsze, ukryte i wyczekujące.

Chciałbym podziękować wszystkim cudownym ludziom z Oriona, a zwłaszcza Fionie, której pomoc w tworzeniu Księgi Martwych Dni okazała się bezcenna.

Horsham, West Sussex, 31 grudnia 2002